

Lepsze jutro

Michał Frąckiewicz

SPIS TREŚCI

1 Kometa	3
2 Odrodzenie blokowiska	22
3 Urdu	40
4 Smog	48
5 Symulakr	67
6 Zakazany algorytm	80
7 Zniknięcie	97
8 Perymetr Czerenkowa	108
9 Dryfowanie	122
10 Wędrowcy	133
11 Betonowe zamki	167

Kometa

To było kilka dni po Wielkanocy, kiedy nad Workutą wybuchła kometa. To niespodziewane, kosmiczne wydarzenie zapoczątkowało cykl powolnych, lecz głębokich przemian. Choć dla mieszkańców, kontakt z pozaziemskimi obiektami nie był niczym nowym, nigdy nie dotknęło ich tak potężne i budzące trwogę zjawisko. Dotąd były to radzieckie sputniki i chińskie rakiety. To miejsce, odległa władza wybrała sobie bowiem na kosmiczny śmietnik, wrakowisko nieśmiałych prób wzbicia się ponad planetę. Tego dnia kometa wybrała okoliczne lasy na miejsce swojej zadziwiającej i spektakularnej katastrofy.

Pieczorin zdążył tylko podnieść wzrok, by ujrzeć lodową smugę na przyprószonym niebie. Potem huk rozerwał szybę na strzępy, a gazowy podmuch skosił ścianę drzew. Kula purpurowego ognia przeleciała nad tajgą i rozlała się w połyskującą zorzę.

Z podziwem spoglądał w niebo, nie czując drobinek szkła, które potem godzinami wybierali w szpitalu. Narastała w nim jakaś podniosła siła i przekonanie, że jutro nie będzie już takie samo. Igiełki kosmicznego lodu trafiły w serca mieszkańców.

– Wylądował kosmonauta – powiedziała kiedyś matka – widziano go w Sosnogorsku. Dziś już nie lądowali tu pionierzy kosmosu, ale spadało dużo satelitów telewizyjnych.

Wiatrołomy były jednym z tych miejsc, w których lubił leżeć fragment z orbity. Artyom spędził tu wiele godzin z wykrywaczem metalu, podczas gdy normalni mieszkańcy, raczej się tu nie zapuszczali. W zasadzie był jednym z nich, odróżniało go tylko to, że w wolnych chwilach snuł się po tajdze w poszukiwaniu złazisk. Nie był jedyny. Zbieraczy kosmicznego gruzu i orbitalnego szrotu było więcej. Jedni znajdowali kilka cennych fragmentów w ciągu wielu lat, inni wzbogacili się i stawali lokalną elitą.

Rzeczywiście panowało tam jakieś napięcie. Jakby przelot komety naelektryzował to miejsce. Ciemna ziemia, wystająca spod uschłych pni, wyglądała jak zwęglona. Natura nie chciała tu wzrastać, trzymała się ściany lasu, szerokim łukiem obrębiającego polanę.

Wydawało mu się, że zobaczył coś na jej skraju, jakby trójkąt odcinający się barwą od wyjałowionego otoczenia. Uwagę odciągnął pisk wykrywacza metalu. To był niezły, choć wysłużony model. Dzisiejsza elita miasta Worgaszor, czyli ci, którzy znaleźli drogie minerały z komety, sprzedawała swój sprzęt, tym którzy dalej szukali swojego szczęścia. Można powiedzieć, że kometa podzieliła ludzi na tych, którzy się dorobili i tych, którzy spoglądali na nich z zawiścią. Mawiano, że jej kryształki przyniosły ludziom zazdrość i poczucie niesprawiedliwości. To nie znaczy, że nie znali ich wcześniej, ale upadek komety, czy też raczej meteoroidu, spotęgował je do historycznego wymiaru. Nawiedziła okolicę niczym pozaukładowa planeta Nemezis.

Idąc śladem dźwięku, zbliżył się do trójkąta o jakieś dwieście metrów. Stąd mógł już dostrzec ruch w jego pobliżu. Poczul to dziwne wrażenie nierealności, płaskości świata, które towarzyszyło mu czasem i dodatkowo przerażało, gdy natłok myśli i lęków zmniejszał rzeczywistość do ciasnej bańki.

Zły na siebie, że zbliżył się do skraju polany, chciał zawrócić, ale wtedy rozpoznał w trójkącie zwykły namiot. Po kilkuset krokach dostrzegł człowieka siedzącego nad kuchenką gazową. Gdy był już całkiem blisko, zobaczył wykrywacz metalu, grube skóry reniferów i strzelbę. Stary wędrowiec pokazał mu, że może podejść. Z kilku metrów, rozpoznał jego ogorzałą twarz, obrębianą siwymi włosami. Pojawiał się czasami w mieście, przychodził z innego miejsca nad rzeką Pieczorą.

Stary był ufny, podał Artyomowi butelkę wody i wrócił do solianki dochodzącej na tefalu.

– Jakież znaleziska? – zapytał Artyom, nie oczekując szczerzej odpowiedzi. Orbitalne artefakty były tak rzadkie, że złomiarze nie dzielili się wiedzą, ani nie współpracowali ze sobą, pamiętając o niebezpieczeństwie ze strony swoich towarzyszy. Dlatego woleli rozmawiać o rzeczach ogólnych, na przykład o kosmogonicznych mitach minionej epoki podboju kosmosu. Tutejsi stalkerzy przechowywali w pamięci zapomniane legendy zimnej wojny, karmili się duchem Gagarina i Leonowa. Stożkowy cień rakiet z Bajkonuru padał na zapomniane połączenie tajgi.

– Traktor, parę śmieci, puszki na skup. Oto co znalazłem. – Westchnął stary.

– Podobno widziano, jak ludzie ciągną w stronę Uralu, mówią, że znaleźli Progres.

– Statek zaopatrzeniowy Progres spadł na wschód od Uralu, każdy o tym wie. Taki komunikat wydała sama władza.

– Nie wierzę we wszystko co mówi władza. Tak samo było z satelitą komunikacyjnym Meridian. Miał spaść za górami, a chłopak z Worgaszoru znalazł go dwa dni drogi stąd. Okradli go w mieście, owszem, ale część schował. Myślisz, że oni chcą, żebyśmy coś znaleźli? Wiesz, jak traktują złapanych złomiarzy. Wyrok za szpiegostwo i kierunek Kołyma.

– Wiem o tym lepiej, niż ci się wydaje. – Podniósł wzrok stary, a w jego oku błysnęło jakieś odległe wspomnienie. Zadrżała mu szczeka. Spojrzał w stronę lasu. Ciemna zieleń, nieprzenikniona i niepociągająca – taki kolor miała republika Komi, leżąca na północ od czegokolwiek.

– Dlaczego sam nie pójdziesz sprawdzić, gdzie spadł Progres? Widzę cię drugi dzień jak chodzisz po wiatrołomach, kręcisz się bez celu, bez systematyczności. Po co szukasz w miejscu, w którym już nic nie ma?

– Widziałem wyraźnie kometę, gdy spadała. Myślę, że jej część przeleciała tędy, spaliła las i wpadła do jeziora.

Stary Chrunow uśmiechnął się gorzko jak profesor nad buńczuczną, choć nietrafioną odpowiedzią studenta.

– Kometę, nadal jej szukacie?

– Tamci ją znaleźli.

– No znaleźli. Na zgubę miasta. Wiesz, spotkałem kogoś, kto tak jak ty wierzy w legendy. Jego dodatkowo jest na tyle głupia, że początkowo uznałem go za idiotę.

– Kto to? – zapytał Artyom, na dobre rozsiadając się przy namiocie starego.

– Wpadłem na niego kilka dni temu, w nocy na przedmieściach Worgaszoru. Szedł sam po zmroku przez tajgę, postrzelony przez myśliwych. Napadli go, gdy wracał z łupem. Nic ze stratosfery, raczej zabrane z fabryki. Był śmiertelnie blady i zmęczony, ale nie widziałem w nim cienia strachu. Potrafił poruszać się bezbłędnie, klucząc i myląc w nocy pościg. Zapytałem się jak to możliwe, a on odparł, że był kiedyś oblatywaczem myśliwców i zna się na kierunkach. Był spokojny, ale była od niego jakaś charyzma, jakiej nie widziałem w swoim życiu. Pojechałem z nim do przychodni i zaczęliśmy rozmawiać. Zapłacił mi za podwózkę, zauważyłem, że skądś ma trochę rubli. Opowiedział mi, że w młodości dużo jeździł, studiował i został pilotem migów. Potem coś się stało, musiał wyjechać i wrócił tutaj. Wtedy, jedyny raz, gdy o tym opowiadał, widziałem u niego emocje. Wydawał się trochę w swoim świecie, jakby po latach walki pogodził się ze swoim przeznaczeniem. Wypytałem go o poszukiwania. Opowiedział mi trochę o swojej przeszłości. Gdy pojawiła się kometa, znajomość trajektorii i geometrii, pozwoliła mu obliczyć tor jej lotu. Ruszył jej śladem i znalazł odłamki. Dużą część udało mu się wywieść, ale roztrwonił majątek, pozakładał jakieś firmy, zajmował się czymś i porzucał przed osiągnięciem celu. Twierdził, że u niego to rodzinne od czasów carskich. Chwalił się, że jego przodkowie za cara należeli do wyższej rangi urzędników. Mówił o tym, jakby to miało nadal znaczenie. W każdym razie, w tym czasie jak go nie było, wiadomo co się stało, ci co zarobili na odłamkach, wykupili władzę i wszystko wywrócili do góry nogami. Po powrocie postanowił szukać kolejnych odłamków i podpadł mafii. Poszło też o kobietę, dokładnie córkę jednego z nowych oligarchów, radnego Kropotkina. Zostawił ją. To Kropotkinom się nie spodobało. W każdym razie musiał zniknąć z miasta. Teraz wszyscy go szukają. Kropotkin i jego ludzie i wszyscy, którzy myślą, że wie, gdzie jest reszta komety. A on ucieka.

– Jak się nazywa ten człowiek?

– Pieczorin, nazywa się Pieczorin.

Głód zapędził białego lisa daleko od schronienia. Utykał na skaleczoną przez wilka nogę. Polowania nie przyniosły dziś żadnego wartościowego pokarmu. Zamiast węzami i myszami, żywił się teraz robakami. Zwierzę jednak nie miało zamiaru się poddać. Węsząc pomiędzy konarami drzew, nagle przystawało, kręciło nerwowo białą szyją i wylapywało leśne echo spiczastymi uszami.

Pomiędzy wystrzeliwującymi wysoko w górę sosnami, unosiły się wieczorne kłęby mgieł, tłumiące odległy stukot dzięcioła. Lis zatrzymał się na chwilę w miejscu, gdzie leżały powalone przez wiatr drzewa o porzewiałych igłach. Dalej rozpościerało się zdradliwe grzęzawisko, pułapka ukryta pod rozłożystym dywanem łopuchów. Za mokradłem siwiała, pochłaniająca światło głębia trudno dostępnego ostępu.

Lis nie zważając na ranę, szybko zmierzał w kierunku dwóch dominujących nad okolicą kominów. Był już tam kiedyś. Swoje schronienie miały tam różne leśne istoty.

Gdy zbliżył się na odległość kilku skoków, wyczuł czyjąś obecność. Nie było to nawoływanie siedzącego na gałęzi lelka. Coś warczało w półmroku. Ciszę zakłóciły głosy, od których natura zdążyła się odzwyczaić. Okrzyki, szczęk rygła, łomot wyginającej się blachy, skrzyp zawiasów wdarły się w krajobraz. Warczenie ożywiło się, a żółte snopy reflektorów omiotły okolicę.

Lis, który w swym długim życiu wywinął się z niejednej zasadzki, zbliżył się do siatki, szukając znanego przejścia. Ledwo widoczna sylwetka człowieka stała przed wejściem. Jarzący się w półmroku żar papierosa wędrował co chwilę powolnym ruchem do góry. Gdy siatka zaszeleściła, człowiek odwrócił się gwałtownie. Serce zabiło mu mocno, gdy w ciemności ujrzał dwa czerwone punkciki oczu i nastroszony grzbiet. Po sekundzie intruz z lasu zniknął za budynkiem.

Chwila dekoncentracji została wykorzystana. Drzwi furgonetki gwałtownie się otworzyły i wypadł z nich stary Chrunow. Pomimo tego, że miał skrępowane ręce, udało mu się dźwignąć na nogi. Zaczął biec, najszybciej jak tylko potrafił. Palacz nie zorientował się od razu, co się stało. Nim obszedł pojazd i zobaczył, że w środku nikogo nie ma, zbieg był już kilkadziesiąt

metrów dalej. Musiał być dobrym sprinterem. Strażnik natychmiast podniósł wrzawę, a z hali wypadł kilkusobowy pościg.

Pogoń rozdzieliła się, mając zamiar zamknąć go w pułapce. Chrunow wiedział że słabnie i dotarło do niego, że nie dotrze do ogrodzenia po drugiej stronie zakładów. Musiał się ukryć.

Dopał do uchylonych drzwi i wcisnął się do środka. Czuł, jakby serce miało mu zaraz wyskoczyć z klatki. Niskim korytarzem przeszedł obok młynów celulozowych i obok kadzi, w których kiedyś gęstniała masa zawiesiny, aż wreszcie przedostał się do ciemnego pomieszczenia, którego środkiem biegła taśma. Było tu ciasno z powodu licznych urządzeń, aparatów i zbiorników.

Za pomocą ułamanego ostrza krajarki, udało mu się przeciąć linkę i oswobodzić związane na plecach ręce. Chwila euforii trwała krótko, gdyż szybko usłyszał kroki. W ostatniej chwili przykucnął za cylindrem.

- Jest gdzieś tutaj.
- Zawołam resztę.
- Nie! Czekaj.
- No gdzie jesteś?
- No wylaż!

Chrunow nie miał chwili do stracenia. Tamci zbliżali się szybko. Musiał wycofywać się wzdłuż taśmy, schodząc im z pola widzenia. W ostatniej chwili wślizgnął się pod nawijarkę, lecz był to błąd. Jego kryjówka była potrzaskiem. Dalsza część hali była odcięta przez wielką prasę. Okrażali go. Zbieg dostrzegł niskie wejście w ścianie naprzeciwko. To była jego jedyna szansa. Rzucił się tamtędy i jakimś cudem go nie zauważyli. Podczas gdy błądzili po omacku, on labiryntem ciemnych piwnic dotarł do studzienki. Wydostał się na wolność.

Za lasem stały epokowe gmachy, petersburski XIX wiek pośrodku wychłodzonej tundry a ponad tym ciemnym krajobrazem, prześwietlona błona nieba. Miejsce to nosiło nazwę Prommyslenyi, choć mieszkańcy Worgaszoru nazywali je po prostu opuszczonym miastem. Po katastrofie w kopalni stało się domem dla chwastów i dzikich zwierząt. Swoje kryjówki mieli tu też poszukiwacze satelit i zwykli szabrownicy.

-

Złapał autobus i błotnistą drogą pojechał do centrum Worgaszoru. Tu, na placu między blokami odbywał się niedzielny targ. W tłumie mignęła mu znajoma twarz. Nie chciał go spotkać, ale Artyom nie dał się zignorować.

– Komu powiedziałeś o Pieczorinie? – rzucił na spotkanie Chrunow.

– Nikomu, Nastii, ale ona nie powiedziała.

– Tak? Masz pewność? – zmienił ton na szept stary. Od czasu, gdy poznali się na skraju polanki, Chrunow zrobił się nerwowy. Mimo to Artyom ucieszył się na tego widok. Szczerze powiedziawszy, rozpytywał w mieście, gdzie może go znaleźć.

Przeszli za blaszany warzywniak, gdzie stary mógł opowiedzieć, co go spotkało.

– Ludzie radnego Kropotkina i związani z nim mafiozi od komety wiedzieli, że poznałem Pieczorina i dobrze orientuje się w terenie. Kazali mi go szukać.

– No to go poszukajmy? – zaproponował Artyom.

– Ty tak na poważnie?

– Całkowicie na poważnie.

Po spotkaniu Chrunowa, myśli o odnalezieniu Pieczorina i jego komety, całkiem pochłonęły Artyoma. Tajemnica stojąca za jego osobą była równie magnetyzująca co wizja nagłego bogactwa. W wyobraźni wydał już wszystkie pieniądze, które uzyska z komety i innych znalezisk.

Następnego dnia po pracy pojechał spotkać się z Chrunowem, by obmyślić plan poszukiwań. Autobus przemierzał osiedla niskich bloków, posklejanych z nagiej, wielkiej płyty i zanurkował w główną ulicę kamienic z fasadami z małych płytek. Mijał swój dobrze znany świat, który z czasem stawał się dziwnie obcy. Żużel, chłodna wilgoć i niedopasowane koraże budynków, pustostany, trakcje prowadzące przez ugory ku fabrykom, obskurnie przytulne mieszkania, futra i płaszcza schnące w wyłożonych boazerią przedpokojach, obszerne place z pomnikami, otoczone przysadzistym socrealizmem. Tutaj się wychował. Myśl o tym, że ma tu spędzić resztę życia przytłaczała go każdego dnia. Chciałby stąd uciec jak Pieczorin.

Zapał już w drzemkę, gdy obudziły go drzwi autobusu. Wyleciał na zewnątrz w ostatniej chwili. Pod adresem Warłamowa 5, miał się spotkać z Chrunowem. Artyom poznał tam gospodarza, Zaikina, nauczyciela geografii w worgaszorskiej podstawówce. Starszy od niego, ale młodszy od Chrunowa, w typie akademickim, wątlej budowy, łysiejący i wiecznie nieogolony.

– Spóźniłeś się – zarzucił mu stary, dając do zrozumienia, że traktują plany wyprawy całkiem na serio.

– Zatrzymali mnie w pracy – odparł Artyom zdejmując obszyte kozuchem palto. W pokoju pachniało jedzeniem, ktoś krzątał się w kuchni.

– Pod twoją nieobecność ustaliliśmy azymut na Instytut Kosmonautyki.

– To daleko, więc pojedziemy tam moją ładą – zaproponował dumnie geograf.

– Pieczorin pragnął tam pojechać. Pośród niewielu zainteresowań, które mu zostały, zanim zwątpił we wszystko, było niemal obsesyjne poszukiwanie śladów programu kosmicznego. To swoją drogą całkiem pragmatyczne zainteresowanie dla kogoś, kto handluje kosmicznym złodem.

– Skąd pewność, że tam jest?

– Przez Łajkę. Wierzył, że władze ukrywają różne rzeczy.

– Obchodził go lot pierwszego psa w kosmosie?

– Mówiłem ci, że wierzył w durne legendy.

– Wydaje mi się – wtrącił geograf – że wasz Pieczorin ma wybiórczy stosunek do wiedzy, a może tylko ostentacyjnie pozuje na ignorantę. Łajka to jakaś jego fanaberia, podobnie jak córka Kropotkina czy te jego firmy i podróże. Ten wasz Pieczorin w ogóle nie wydaje mi się charyzmatyczny, raczej zwykły z niego błazen.

Gdy stary i geograf zmienili temat, Artyom sprawdził Kropotkinę w sieci. Ściągnięte policzki, kości policzkowe wystające spod prostych włosów koloru zboża. W tle Saint Tropez i Chorwacja, ale i Worgaszor i tajga. Zbyt wycofana i zamyślona jak na córkę nowobogackiego oligarchy. Oczywiście ani śladu Pieczorin.

– Ustalmy, w co musimy się zaopatrzyć – zaproponował geograf, widząc, że Artyom wyłączył się z ich pełnej żartów rozmowy o lokalnych układach.

– A skąd weźmiemy pieniądze? – zapytał chytrze Artyom, pochylając się na stołem.

– Już je mamy – powiedział stary i pokazał plik banknotów.

– A jednak cię dorwali?

– Sam do nich wróciłem i powiedziałem, że się namyśliłem – odparł zadowolony Chrunow.

– Bierzemy ruble od Kropotkinów, żeby zorganizować wyprawę po kometę? A może naprawdę chcecie im sprzedać Pieczorina?

– Prędzej przekonać by wrócił. Tam w dziczy jest sam na sam ze swoimi demonami – odparł Chrunow, a geograf, już nieco wstawiony, pokiwał głową z uznaniem. Wypili kieliszek za powodzenie eskapady. Żona Zaikina właśnie przyniosła kolację. Artyom zjadł, podziękował i pożegnawszy się, wyszedł w zimną, syberyjską noc.

Perlisty Bentley, jeżdżący koleinami Worgaszoru, wyglądał jak złoty samorodek pośród kamyków, ale Kropotkinowi właśnie o to chodziło. Na ulicach Moskwy, może obecność tak drogiego auta nie szokowała, była po prostu wyrazem wyższości, ale tutaj był to rodzaj gestu władzy. Tak jak carski namiestnik chodzący w drogich szatach pośród pospólstwa. Z tą różnicą, że Kropotkin chodził w Emporio Armanii i Bossie sprowadzanym z chińskiego Aliexpress. No i nie musiał nikogo słuchać.

Kropotkin opadł na głęboką kanapę z czarnej skóry i zapuścił MTV na wielkim ekranie. Grubą ręką szukał pilota do obsługi nowoczesnej willi. Pomyślał, że każe sobie zainstalować obsługę głosową. Ten Gruzin, który zaopatrywał urząd miasta miał chyba odpowiednią firmę.

Poza tym było mu gorąco na samą myśl o Pieczorinie. Nastya podniosła mu ciśnienie, ale mógł zrozumieć córkę. Też nie lubiła, gdy ktoś zaszedł jej za skórę, to było u nich rodzinne. Osobiście nie miał nic do tego młodego człowieka, znali się przecież z czasów, gdy chodzili po lasach szukać kosmicznych skarbów. Pieczorin zachowywał się jakby sam spadł z kosmosu, a jednak wzbudzał szacunek. Podpadł mu jednak i to bardzo. Nie chodziło nawet o to, że zabrał coś, co należało do niego. Według ustawy, którą sam przeforsował w samorządzie, wszystkie znaleziska powinny trafić do niego. Chodziło raczej o sam fakt, że mu się sprzeciwił. Kropotkinowi wydawało się, że wszystkich ma już ustawionych. Z silnymi trzyma sztamę, słabszych bierze pod siebie. A tutaj jakiś Pieczorin, biedak w porównaniu z miejscową

oligarchią, zabiera sobie kawałek komety, chodzi po całej Republice Komi i grabi co tylko mu się podoba. Co z tego, że bywał w świecie, że go ludzie lubią, że lgną do niego, że wie więcej od innych. Tym gorzej dla niego i dla Kropotkina.

Mimo to pozytywnie zapamiętał Pieczorina. Poznał go, gdy wyleciał z bazy lotniczej i przerzucił się na zbieranie złomu. Razem wybrali się kiedyś po resztki indyjskiej satelity, którego wysłedził ktoś w sieci. Haker określił trajektorię ruchu z dużą dozą dokładności. Pojechali tam półciężarówką, ale resztę drogi musieli przejść pieszo. Wtedy jeszcze sнуło się tu dużo patroli. Wojskowi sami szukali, ale dzięki zmysłom Pieczorina ubiegli żołnierzy.

On był naprawdę sprytny. Skombinował skądś czujniki pola magnetycznego i jakoś podkreślił ich moc. Szli z odkurzaczami nie przy ziemi, ale wyciągniętymi na wprost, odbierając sygnał z daleka. Ktoś nauczył ich wtedy jak wykiwać wojskowe radiostacje, ale Pieczorin doprowadził to do perfekcji. Kropotkin pamiętał go, jak stał ze swoim kalkulatorem i robił obliczenia, czasami skrobnął coś na kartce. Nie wiedzieli dokładnie co robi, ale ważne, że rzadko się mylił.

A potem do Kropotkina uśmiechnęło się szczęście. Gdy spadła kometa wszyscy się rzucili by szukać jej części. Pieczorin coś tam wtedy znalazł, ale niewiele. Zarobił na tyle, by stąd wyjechać. Kropotkin za to wyciągnął z bagna olbrzymią grudę. Musieli w obstawie ciągnąć ją w wielkim pośpiechu za kombajnem. Triumfalnie wjechali do miasta z kawałkiem skały. Potem poszli po rozum do głowy i ją ukryli. Część sprzedali naukowcom, część przemysłowcom, kolekcjonerom, jubilerom i wszystkim zainteresowanym, którzy zgłosili się przez sieć.

Kiedy Kropotkin pomnażał swoje bogactwo i władzę, Pieczorin tracił majątek za granicą. Gdy wrócił, znów zabrał się za szukanie komety. Mówili mu, żeby odpuścił, że już wszystko wybrane, że jeśli chce to może pracować dla oligarchów, ale uparł się, że robi to sam, odkuje się. I na tym tle się poróżnili.

Kropotkin nalał sobie sporą porcję burbonu. Musiał dbać o rodzinę, o interesy i o poważanie. Ludzie mogą zacząć mówić, jeśli nie usadzi na miejscu tego Pieczorina. Wziął do ręki komórkę i wybrał numer do swojego zastępcy z urzędu. Niech pilnują tego Chrunowa – stary na pewno wie gdzie schował się Pieczorin.

Poszarpane krawędzie gór rysowały ostrą linię, biegnącą ponad czarną i ruchliwą ścianą lasu. Jego strzeliste filary, ciężko pochylały się w stronę skamieniałej od mrozu ziemi, a cichy świst, nieskończenie narastał do groźnego szumu. Wydawało się, że zaraz pękną, ale wtedy prostowały się, a tajgę wypełniał moment kruchej ciszy.

Jechali przesiekami przez krajobraz bezwzględnie surowy i zapierający dech swoją majestatyczną prostotą. Artyomowi wydawało się, że mógłby tak jechać bez końca, pochłonięty błogostanem bezmyślności, w pogoni za czymś kompletnie iluzorycznym, niemożliwym do osiągnięcia, przez co wolnym od trosk i porażek. Ta niemająca końca podróż byłaby zbawieniem od codzienności pełnej drobnych upokorzeń. Na tych bezdrożach nie było nikogo z kim można by się porównywać, niczego co przypominałoby, że urodziłeś się po niewłaściwej stronie oceanu, że jesteś zbędną duszą na rewersie świata.

Gdzieś w stratosferze krążyły tysiące satelit, a czasami któraś z nich odłączała się od roju i w krótkim rozbłysku opadała na tą uśpioną krainę. To była jedyna pewna rzecz.

– To prawdziwe błogosławieństwo, że ktoś u władzy zdecydował, że nasza Syberia będzie pobożowiskiem internetowej cywilizacji – powiedział z entuzjazmem geograf.

– A jakbyście znaleźli tę kometę albo cały sputnik, stację Mir czy cokolwiek czego szuka Pieczorin, to co byście sobie kupili? – zapytał Artyom.

– Kupiłbym mieszkanie w Moskwie, wyniosłbym się stąd z rodziną, założył tam szkołę, żył jak człowiek – powiedział geograf.

– Ja bym pospłacał długi, naprawił wszystko, co udało mi się zepsuć, kupiłbym sobie czyste sumienie – odparł Chrunow.

Artyoma się nie zapytali, może i lepiej, bo szczerze nie wiedział do końca co by zrobił. Chciałby stąd wyjeżdżać, ale miał tu swoich rodziców, Nastię i swój świat. Musiałby uciec przed ludźmi Kropotkina lub może dołączyć do lokalnej elity, co wcale go nie pociągało. Teraz nie

warto było jednak o tym myśleć. Najlepszym wyjście było skupić się na obecnej chwili. Sama mglista zapowiedź przyszłości cieszyła go bardziej niż jej spełnienie.

Rozmawiali też o Pieczorinie. Podobno wielu spekulowało na temat nagłego końca jego kariery oblatywacza migów. Mówili o nim, że nie wykonał rozkazu zestrzelenia uciekającego za żelazną kurtynę samolotu, inni że nie znosił wojskowej dyscypliny albo, że po prostu szwankował mu wzrok. Mówili, że ktoś zazdrosny o jego awans, zmusił lekarza, by wydał negatywne wyniki badań. Podobno oślepił go jakiś nagły rozbłysk, gdy szybował na granicy stratosfery i wypłaszczyło mu EKG wysoko nad Leningradem. Odtąd miał miewać dziwne powidoki i przypisywał temu wydarzeniu jakąś mistyczną moc. Mówiono, że był w Ziemi Świętej na pielgrzymce, którą starał się wskrzesić zapłon wiary, a inni twierdzili, że założył tam firmę. Nie chodziło jednak o dewocjonalia, ale o syntetyczny olej do silników wysokoprężnych. Pieczorin zawsze chciał podbijać niebo.

Krążyło jeszcze więcej absurdalnych opowieści. Większość była mistyfikacją, choć nie były pijacką konfabulacją samego Pieczorina. Wszyscy, którzy go znali, byli zgodni, że jest on absolutnym abstynentem, bowiem szczerze boi się utraty kontroli nad swoim życiem.

Popołudnie minęło im na usuwaniu złamanego drzewa, które zatarasowało szlak. Potem dotarli do rumowiska, które w nieokreślonej przeszłości osunęło się ciemnymi skałami, rozsypującymi się w gruz barwy pordzewiałego żelaza. Poprzez wertepy dojechali do asfaltowej drogi, wiodącej ku Instytutowi Kosmonautyki.

Stał po środku lasu, jak wyraz absurdu, jakby postawiono go tam tylko po to by zapozował do propagandowej pocztówki. Drzewa podchodziły pod same ściany i wejście, zaspane warstwą igliwia. Czysty zapach żywicy wypełniał hol, ale sprzątaczką odkurzała chromowany pomnik, przedstawiający trajektorie orbitujących sputników.

– Panowie w jakiej sprawie? Nie potrzebujemy nikogo do pracy, ile razy trzeba mówić? – powitała ich recepcjonistka.

– My nie do pracy.

Skończyła zakładać klipsy i spojrzała na nich z ledwo skrywanym rozbawieniem.

– Panowie też szukacie psa Łajki?

Chrunow przysunął się bliżej.

– Był tu przed nami?

– Niby kto taki?

– Wysoki, po trzydziestce, nazywał się Pieczorin.

– Nie udzielamy informacji o naszych czytelnikach. Jakież legitymacje macie? Nie wyglądacie na gości z ministerstwa.

– Zapłacimy – rzucił geograf.

Kobieta ściszyła głos i zaprosiła ich do korytarza wyłożonego prostokątnymi płytkami z piaskowca. Słońce nadawało im pustynny odcień, ciekawie korespondujący z północną surowością krajobrazu za oknem. Zatrzymali się przy gablotach ze zdjęciami kosmonautów. Na drzwiach była plakietka – pracownia mikrofiz. Gdzieś w oddali zaskrzypiały drzwi. Trwała praca nad utrwalaniem przeszłości, jakby starano się postawić tamę prądowi, spychającemu złotą erę podboju kosmosu w czas mitów. Konserwowano pamięć, żeby przyszli pionierzy mogli wskoczyć w skafandry dawnych kosmonatów, wyjąć z szafy ich mapy i nadać znaczenie plakatom z raketami mknącymi ku innym planetom.

Recepcjonistka schowała ruble do portmonetki.

– Był tu ten Pieczorin. Siedział tu kilka dni, spał nie wiadomo gdzie, przychodził tu rano i wypożyczał stos książek. Składał rewery na następny dzień i czytał. Nie robił notatek. Szukał informacji o lądowaniach sputników i o Sojuz 2. Wszyscy bali mu się przeszkodzić, choć był uprzejmy i inteligentny. Miał dużą wiedzę, mówił, że latał na migach, studiował daleko, chyba w Niżnym Nowogrodzie.

– Mówił, gdzie jedzie?

– Chcecie mu coś zrobić, okradł was?

– Nie, powiedzmy, że chcemy go spotkać, szukamy tego samego co on.

– Ale Sputnik 2 nie wylądował więc skąd to wszystko, ten pomysł?

– Nie chodzi nam o sputnik.

– No dobrze, Pieczorin pojechał w stronę gór, chyba do Beloyarska. Od drogi odbija tam szlak, pokażę wam na mapie.

Po tym, jak opuścili instytut, pogoda zaczęła się pogarszać. Pieczorin był zapewne bez samochodu i dopiero wtedy uświadomili sobie, na co ten człowiek się porywa. Całą noc rześście lało, a okoliczne polany zmieniły się w wielkie kałuże. Nad ranem, we mgle dojechali do miejsca, w którym zaczynało się trzęsawisko. Poszukiwacze byli przyzwyczajeni do czołgania

się w brudzie i wędrowania w mrozie, ale jedynie szalenciec mógłby zapuszczać się w te bagna. Jeśli jednak droga była kilka dni temu przejezdna, Pieczorin mógł być nadal przed nimi.

Postanowili ominąć jeziora. W pewnym momencie samochód ugrzązł w błocie. Geograf wysiadł z liną. Nagle krzyknął i zapadł się w czarnej mazi po pas. Chrunow chwycił go niezdarnie za rękaw kurtki, a Artyom wgramolił się na dach. Geograf ugrzązł na dobre i tak wołał o pomoc, że Artyom aż miał ochotę się roześmiać.

Gęste błoto zaczęło wypływać spod kół pojazdu. Artyom mało sam nie wleciał w bagno, próbując chwycić geografa.

– Ruszaj! – krzyknął. Chrunow wrzucił wsteczny i wcisnął gaz. Koła zabuksowały, Ładą rzuciło na wszystkie strony, aż w końcu ruszyła, wyciągając nieszczęśnika z mazi.

Potem umorusani odpoczywali po przygodzie, która ostudziła ich zapał. Postanowili objechać rozlewiska, ale nie znaleźli bezpiecznego szlaku. Gdy słońce schowało się za szpiczastą zasłoną sosen, zdecydowali się zawrócić.

Ziła Śrubolaz był maszyną z koszmarne go snu. Artyom pamiętał stare filmy ze świetlicy, w których niezgrabna amfibia, mająca w miejscu kół dwie makabryczne śruby, skosem pokonywała bagnistą tajgę, przy wtórze wibrującego ksylofonu. Monotonny głos lektora i spowalniająca taśma, zdawały się przygotowywać młodego widza na postnuklearną przyszłość. I teraz, patrząc na wyludniony Worgaszor, można było pomyśleć, że zawarta w filmie zapowiedź ziściła się. Pozostała jakaś topniejąca kultura, zamieszkująca bloki dawnej cywilizacji, których osiągnięć nie potrafiła już odtworzyć. Uprawiający kult cargo, spoglądali ze skraju drogi w niebo, czy nie spadną z niego komety lub pojazdy stworzone rękoma przodków. Resztki surowców wymieniali na dobra rozrywkowe sąsiednich kultur. Jedynie zamiast opadu radioaktywne padał dziś gęsty śnieg. Z tego można było się cieszyć, że nie zrealizowała się do końca rzeczywistość przygotowana przez konstruktorów Ziła.

Stary wypił już drugą butelkę ze strażnikami. Rozmowa zaczęła się kleić, a potem nagle siadła. Jeden z ochroniarzy zrobił się jakiś podejrzliwy, ale wyszedł po ogórki. Drugi przysnął na stole. Chrunowowi rozmazywał się obraz, ale starał się skupić na trzecim kluczu po prawej. Na jego wielką prośbę, pokazali mu wcześniej jak działa Ził. Skąd wiedział, że go mieli? Znał okolice i wszystkie placówki jak własną kieszeń, kiedyś był wojskowym.

W pewnym momencie po prostu wstał, mało nie potykając się o własne nogi, obszedł kompana od wódki i chwycił kluczyk. Czy to ten – myślał, kiedy pozostali dwaj członkowie wyprawy marzli schowani za samochodem. Na życzenie geografa, wcześniej zdjęli tablice rejestracyjne jego Łady, która udawała zepsutą. Natomiast Chrunow udawał urzędnika poczty. Nikt nie odmówiłby pomocy w tak mroźną noc.

Artyom trząśł się z zimna, ale to geograf całkiem zbladł. Trącił go łokciem, żeby sprawdzić czy nie zasypia. Gdzie ten przeklęty Chrunow – wysyczał zza szczękających zębów. Odpowiedź przyszła wyraźniej niż się spodziewał.

Snop światła pojawił się na parkingu pełnym kamazów bez kół, ciągników bez osi, zdekompletowanych maszyn górniczych. Znalazło się nawet miejsce dla An-12, przewróconego na skrzydło. Wtedy coś w ciemności metalicznie zachrząściło, pojawił się ogłuszający łoskot, jak rozpędzony czołg, nadciągający wraz z oślepiającym reflektorem. Pijani strażnicy, wyglądający jak dezernerzy, wybiegli z bronią. Śruba mieliła karoserię wraków, przebiła się przez ogrodzenie i wpadła do dołu. Na zważając na kierunek, wyskoczyła z niego nienaturalnie i zatrzymała się o włos od Łady geografa.

Maruderzy z parkingu zaczęli strzelać, gdy zdążyli już zniknąć we włazie. Krusząc zmarzlinę pojechali w stronę tajgi.

Gdy poranne mgły się rozstąpiły, zobaczyli dwie niemal nierealne rzeczy. Za drzewami, wyłaniał się jakiś oszroniony, kopulasty relikw, pamiętający leninowskie czasy osadnictwa w

kraju Komi. Wzniesiony rękoma więźniów Gułagu obiekt, przechylony na bok schron z betonową czaszą, zdobiła wyblakła czerwona gwiazda. Wybrzeżem trzęsawiska, mijali kopułę milczący łowcy reniferów, ciągnąc za sobą sanie. Zdawało się, że przeźrocza czasu nałożyły się na siebie w tym przejściu nocy w dzień. Potem łowcy przeszli, a mgła zakryła leninowski gmach.

Zapuscili śruby i potoczyli się dalej w stronę odciętej miejscowości Beloyarsk, zastanawiając się, czego Pieczorin szuka u bram Uralu.

– Czego taki Pieczorin mógłby więcej chcieć? Mógł ułożyć się z Kropotkinem, pracować dla nowej władzy, żyć na poziomie jak oni. – Obstawał przy swoim geograf.

– A co to za życie? Co mu z tych pieniędzy jak nadal miałyby Worgaszor, nadal to samo, tylko oglądane pod innym kątem?

– A jaki można mieć lepszy kąt? Spokój, nikt ci na głowę nie wejdzie. Słuchasz Kropotkina, a nie swoje szefa, dyrektora czy kogokolwiek innego. Co za różnica?

– Może on nie chce słuchać właśnie nikogo? Może go razi taki Kropotkin, który dorobił się fuksem na kawałku skały i pomiata ludźmi – odparł Artyom.

– Przypominasz mi naszego oblatywacza, ale jeszcze początkującego. Uważaj, żebyś nie stał się taki jak on – powiedział Chrunow.

Według mapy, po południu zbliżyli się do Beloyarska. Przekrzywiony znak drogowy upewnił ich, że podtopione koryto jest szlakiem do miejscowości. Nie minęła godzina, a zauważyli pierwsze oznaki życia. Była to rozbita łódź motorowa, zaklinowana między sosnami.

Tam, na tej łódce, zobaczyli go pierwszy i ostatni raz. Każdy zapamiętał tę chwilę inaczej. Artyom właśnie wyszedł na maskę amfibii, gdzie urządzili piknik nad małym ogniskiem. Wtedy na motorówce coś się niezgrabnie poruszyło. Odziany w narzuty z wielu koców, wyglądał jak jakiś prehistoryczny nomada w niedźwiedzich skórkach. Umorusana twarz i zgrabiałe ręce nie upodabniały go do charyzmatycznego człowieka, o którym opowiadał stary Chrunow. Jednak może coś w spojrzeniu, równie przepelnionym strachem, co bystrym, przyciągało niczym błysk cywilizacji w dzikich ostępach.

– Pieczorin! – chciał krzyknąć stary, ale głos ugrzął mu w gardle.

– Ma coś w worku. – Ruszył geograf, już pewny zdobyczy. Wtedy Pieczorin wyjął śrutówkę i strzelił w ścianę amfibii. Uciekli w panice, ładując się przez właz. Chrunow zaczął

obracać śrubę w stronę łódki. Zanim dojechali do miejsca, gdzie widzieli Pieczorina i odważyli się wyjść, tamten gdzieś zniknął.

Zaczęli przeszukiwać rzeczy, który porzucił. Artyom znalazł w schowku torbę. Był w niej zeszyt w kratkę, którego kilka pierwszych stron zapisano staranną kursywą. Oprócz listu był tam też jakiś ciężki przedmiot owinięty w gazetę Artyom rozłożył ją i wziął do ręki zimny kawałek czarnej skały. Usłyszał za plecami głos geografa – Artyom jest tam coś jeszcze?

List odważył się przeczytać, gdy wszystko się skończyło. Jakież zawód przeżył Artyom. Myśl Pieczorina wydała mu się pretensjonalną i nieumiejętnie wystylizowaną próbą autokreacji.

– Tak często naświetlałem wspomnienia ostatnich lat, że wydają mi się już wyblakłe. Oglądam je pod szkłem powiększającym z bezpiecznej odległości. Ma to i swoje ujemne strony, bowiem znieczuliłem się nie tylko na obecność moich lęków, ale i na wszelkie dobre bodźce, a nawet na zwykłe przyjemności tego okresu. To był długotrwały proces, w którego trakcie wytracałem paliwo entuzjazmu. Szukałem więc coraz to bogatszych jego źródeł. Przez pewien moment przybrało to znamiona uzależnienia. Dojście do tych wniosków ucieszyło mnie, nie opuszcza mnie przynajmniej umiejętność dedukcji. Znajomość własnych możliwości, zawsze mnie budowała, choć świadomość zmarnowania swoich talentów czasem spychała w ciemność.

Wkroczyłem w to nowe życie, przeżywszy je już w myśli i na koniec ogarnęła mnie nuda, podobna do tej, którą odczuwa ktoś, kto czyta kopię dawno znanej książki. Ocean paralizującej nudy, pierwiastkującej się do niewyobrażalnej potęgi. Każda próba wyrwania się z niej, powodowała kolejne jej pomnożenie. Wszechświat wiecznej nudy. Im mniej się ruszasz, a tu w Worgaszorze, jest to jak najbardziej możliwe, tym mniej odczuwasz jej ciężar. Wśród ludzi, znajomych i obcych, w chaosie miast, jej ciśnienie jeszcze bardziej krępuje.

Odnalezienie komety przyniosło mi wiele możliwości, ale i nieszczęść. Wszystko co potem się stało, ta niekończąca się ucieczka, której przecież nie chciałem, o czym wiedzą moi bliscy, lata zmarnowane na nieudolnych próbach zbudowania czegoś wielkiego, na co nie miałem ochoty, o czym wiem tylko ja, pojawienie się ludzi Kropotkina, z którymi nigdy nie chciałem mieć do czynienia, miało swój początek tego dnia, kiedy na wybrzeżu jeziora znalazłem tę ciężką skałę.

Jedynym wyjściem jest dla mnie ucieczka w tajgę. Może nie ostateczna, ale odrzucenie myśli o tym co potem, pozwoli mi się roztopić w tej nudzie, która została mi po moich jałowych poszukiwaniach. Chcę zacząć czerpać z niej przyjemność. Chcę być czystym działaniem, a podążanie za czymś zupełnie nierealnym, za Łajką, Sputnikiem 2 i satelitami, o których nikt nie słyszał, będzie moim jedynym zajęciem. W tym mam nadzieję odnaleźć spokój.

– Trajektoria prawidłowa. Rakieta nośna nie odzepiła się. Gwałtowny wzrost temperatury w kapsule. Telemetria nadaje.

Wprost z moskiewskiej ulicy trafiła na sterylne salony Instytutu Medycyny Lotniczej. Miesiące treningów, zabaw, badań reakcji, dziesiątki obserwatorów i niepewność, którego psa wybrać. Miała lecieć Muszka, ale wybrano Łajkę. Nie miała najlepszych wyników, wygrał spokój, wrażenie, że jest zupełnie nieświadoma swojego losu.

– 1...2...3. – odliczano, gdy Sputnik 2 wzbijał się w kłębach dymu ponad Bajkonur. Po czterech okrążeniach poziom stresu w końcu osiągnął krytyczne maksimum. Po dniach samotnego dryfu ogłoszono sukces. Gdy personel świętował, Sputnik 2 zrobił przedwczesny przechył.

Opadał swobodnie, poddając się ciężeni, jakby było już i tak po wszystkim. Kapsuła weszła w atmosferę w promienistym rozbłysku, osmolona wypadła ze stratosfery w chmury. Ktoś w kontroli lotów zauważył, że niechciany już statek spadł z orbity i zmierza lotem koszącym nad Syberię. Przejęto ster i wyrównano lot. Zbyt późno by kontrolować to nieplanowane lądowanie.

Gdzieś nad bezkresnym krajem Komi, Sputnik 2 zniknął z radarów. Ostatnią komendą było otwarcie pozostawionego na wszelki wypadek spadochronu. Oficjalnie, sputnik spłonął w atmosferze rok później.

– Coś tu jest – krzyknął mężczyzna, otwierając pocięty właz sputnika – to pies, żyje!
Grisza przynieś wody!

Odrodzenie blokowiska

O tej porze pensjonat „Rydułtowy” opuszczali ostatni goście. Wyprowadzce towarzyszył monotony szum samochodów mknących szosą na Katowice. W staromodnym holu pozostał tylko mężczyzna w drogim garniturze, pijący w ciszy zbożową kawę. Myślał o tym, że o ile w jego ojczyźnie krajobraz wyglądał bardzo podobnie w roku 2011 i 2021, który mieli teraz, to tutaj niewiele zmienił się od 1991. Nie licząc świetlistych billboardów w szczerym polu i bloków przemalowanych w pastelowe barwy.

Nie zamierzał wychodzić na zewnątrz. Ignorancja była jedną z cech pielęgnowanych w jego otoczeniu od lat. Zresztą lubił hotele, choć były to tylko substytuty mieszkań, namiastki autentycznego życia, azyle cieszące się swoimi odmiennymi zasadami i będące scenerią ukrytych wydarzeń. Mężczyzna przyjechał z Zurichu jako emisariusz Schwitters Industries, żeby odzyskać pieniądze z zamkniętej inwestycji.

Nie miał nawet czasu, by lepiej poznać ten dziwny kraj. Zresztą Polska od trzech lat kojarzyła się wyłącznie z jednym, niechlubnym wydarzeniem. By odświeżyć swoją wiedzę, wpisał w Wikipedii „Dzień dobrobytu”. Czytał o pladze obfitości, która doprowadziła do słynnego krachu. Podążył za odnośnikami do tajemniczych haseł: „Czarny Roman”, „Traktat o manekinach”, „Odrodzenie blokowiska”, „Krzysztof Pytel”. Chłonał informacje o twórcach plagi, ich szalonej idei i o truciznie, która zabiła jedyne, który mógł ich powstrzymać. Skopiował tytuły książek ekonomistów, takie jak *Manna* i *Cud z wirtualnego nieba*.

Jadąc z lotniska, w granatowej mgłę mijał skutki tego wątpliwego cudu – luksusowe samochody na brudnych parkingach, niedokończone pseudopałace, kicz i jarmarczna tandeta pozostałe po szalonym eksperymencie, nieporównywalnym z niczym w historii.

Biznesman z Zurichu zapoznał się z wieloma teoriami, lecz niewiele dowiedział się o prawdziwych wydarzeniach, które poprzedziły „Dzień dobrobytu”. Z zadowoleniem postanowił, że spyta o to jutro swoich rozmówców, kiedy pójda na kawę po udanych negocjacjach. Ciekawe, jak tubylcy patrzą na to wszystko, co wstrząsnęło ich krajem w tak niepewnych czasach.

Zresztą podobno nieliczni mieli szansę poznać całą prawdę. Jednym z nich był inspektor dochodzeniowy Tytus Dębołęcki.

– No i git – powiedział inspektor Dębołęcki, zręcznym ruchem otwierając zapalniczkę benzynową i podpalając wysuszonego na wiór papierosa. „Może powinienem przestawić się na elektroniczne?” – pomyślał, ale ślinienie plastikowej rurki wydało mu się od razu czymś obrzydliwym.

Gorący podmuch wiatru niósł od strony porośniętych chwastami warsztatów zapach gumy, który przywiódł komisarzowi na myśl metro w Wiedniu. Tytus spędził tam kilka lat w trakcie studiów i do dziś często nachodziły go wątpliwości, czy nie powinien zostać w tym mieście-muzeum.

„Odrodzenie blokowiska” – taki napis, odcinający się od byle jakiego otoczenia staranną czcionką, widniał na bocznej ścianie jedenasto-piętrowego galeriowca. Stwierdził, że treść graffiti dobrze oddaje ducha tego lata, swoisty powrót dawno zapomnianych norm i społecznej degrengolady. Ostatnio często używał tego dziwnego słowa: „degrengolada”.

Komisarz Dębołęcki zaledwie przed godziną obudził się u swojej przyjaciółki Małgorzaty. Jeszcze przed chwilą zbierał swoje rzeczy, krążąc po jej mieszkaniu składającym się z dwóch bliźniaczych klitek. Zepsute ogrzewanie było rozkręcone na pełen regulator, za to plastikowy wiatrak niewiele był w stanie zdziałać. Telewizor i mikrofalówka z dyskontu były jedynymi rzeczami, które funkcjonowały prawidłowo, więc je włączył, a potem, jedząc

jajecznice, oglądał powtórkę *Jaka to melodia*. Małgorzatę było stać tylko na ten kubik, gdy nagle straciła pracę kelnerki.

Komisarz dostał wezwanie na drugą stronę miasta i nieśpiesznie wyszedł. Stojąc w korku na moście Grota-Roweckiego, wpatrywał się w monumentalny gmach elektrociepłowni Żerań. Miał wrażenie, że sam rdzewieje od środka wraz z tym skorodowanym kolosem. Po ulicy niczym mrówki sunęły w upale tłumy zmierzające na pętlę. Przyszło mu do głowy, że gdyby ci ludzie zniknęli, miejska machina pracowałaby swoim pędem dalej, a ponad zmęczonym krajobrazem każdego ranka formowałoby się, jak wielki neon, gorejące kwaśną żółcią słońce. Detektyw postrzegał ostatnio organizm miejski jako toczony jakąś chorą żywotnością, oszalałą w swym nadmiernym rozroście. Tym bardziej tęsknił za wiedeńską enklawą Ładu.

Kazano mu przyjechać na Osiedle Za Żelazną Bramą. Pod nasłonecznioną ścianą z wielkiej płyty leżały zwłoki przykryte brezentem. Pozbawiony detali beton, milczący i beznamiętny, był idealnym tłem dla tej sceny. Za obramowanie służyła mozaika bordowych płytek i pas poczerńiałych od brudu luksferów.

– Jak to, nie ma dowodów morderstwa? To po jaką cholere ja tu jestem?! – krzyczał nadkomisarz Szerszeń, ocierając czoło plikiem chusteczek. Jego głowa coraz bardziej przypominała czerwony, nadęty balon. – Trzeba to zabrać, póki nie zrobią sensacji. W taką pogodę jeszcze! – wrzeszczał, nerwowo kręcąc nalanym karkiem.

– W taką pogodę – powtórzył w myślach komisarz Tytus. – Cały rok leje, a jak wreszcie jest trochę słońca, to narzekają.

– Co pan ustalili? – wyrwał go z zamyślenia Szerszeń.

– Ustaliłem, że mamy podejrzenie zatrucia. Nie można wykluczyć, że ma to związek z pozostałymi zgłoszeniami.

– Jakimi pozostałymi? – zachnął się przełożony.

– Z pozostałymi zatruciami mieszkańców osiedla, choć żadne nie było tak tragiczne w skutkach. Sanitariusze zgłosili kilka hospitalizacji z powodu intoksykacji nieznaną substancją.

Nadkomisarz Szerszeń wybałuszył przekrwione oczy i przełknął głośno ślinę. Jakaś ogłupiała od upału mucha niebieskimi zygzakami przecinała gęstą zawiesinę powietrza.

Ciszę przerwał aspirant Tytoń:

- Sprawdziliśmy kartotekę ofiary...
 - Jakiej ofiary? – przerwał mu Szerszeń. – Nie stawiać żadnych hipotez, póki nie dostaniemy ekspertyzy.
 - Przepraszam, więc sprawdziliśmy kartotekę denata i pisze tam...
 - „Jest napisane” – poprawił go w myślach Tytus Dębołęcki.
 - Ofiara, to znaczy denat, Krzysztof Pytel... Miał 25 lat i na koncie dwa wyroki za włamania komputerowe.
 - Ten ćpun w klapkach i spranym T-shircie z napisem Fiji wlamywał się do komputerów?
 - Tak ustaliła prokuratura, wyrok zapadł... chwila... dwunastego, nie piętnastego... – jękał się zestresowany aspirant, wertując świeżo zabazgrany notatnik. Tytus miał ochotę wyrwać mu go z rąk. Uprzedził go jednak Szerszeń, jednocześnie w niewyszukanych słowach strofując policjanta.
- Tytus oddalił się od nich i pochylił nad opakowanymi w foliowe torebki przedmiotami. Bilet jednorazowy za cztery osiemdziesiąt, paczka gum do żucia marki Turbo, zapalniczka z fioletowymi palmami, oklejona taśmą nokia, banknot dziesięciozłotowy i garść monet. Wygląda na to, że wyszedł na zakupy do supermarketu albo osiedlowego sklepiku. Pewnie przyjął jakiś preparat na szczury w dopalaczach i popił wódką, a toksyczna mieszanka podgrzana słońcem eksplodowała w jego głowie. Przypadki sraczki na osiedlu to już sprawa sanepidu, niech sprawdzi okoliczne warzywniaki.
- „Strata czasu” – pomyślał komisarz i butem wdusił niedopałek pomiędzy kostki Bauma.

Michał Lubecki spojrział na prześwit pomiędzy korytarzowcami Osiedla Za Żelazną Bramą i zamarł z przerażenia. Słońce właśnie wyszło zza bloków. Uświadomił sobie, że już od godziny powinien być w pracy. Potem dotarło do niego, że nie ma sił do niej iść. Drżącymi rękoma bezskutecznie szukał aspiryny, a potem rzucił się na tapczan. Gdy zamykał oczy, wpadał w wirażę, kręcąc się po narkotycznych spiralach.

Po kilku straszliwych minutach otumanienie, podobne do zamieci na zepsutym telewizorze, ustąpiło. Uświadomił sobie beznadziejność swojej sytuacji. Wystarczyło, że wyobraził sobie konsekwencje dalszego leżenia w mokrej od potu pościeli, by zerwać się na równe nogi. Przed oczami, jak obrazy na dotykowym panelu, przesuwały się wizje wyrzucenia z firmy, wpis do bankowego rejestru dyscyplinarnie zwolnionych, programy bezpłatnych praktyk, oferta pracy z Biedronki albo sprzedanie do call center.

Wydając z siebie nieartykułowane dźwięki, podobne do jakiejś digitalowej emulacji, stanął na środku pokoju, ledwo łapiąc równowagę. To nie było zwykłe pijaństwo – przecież wypił niewiele. To był jakiś kolaps synaptyczny, przeładowanie neuronalne, wylanie baterii, fatal error, zwany potocznie przepaleniem. To tak, jakby do pożółkłej skrzynki atari wpakować terabajty danych, zapętlonych komend, zalać klastry pamięci chaotycznym bełkotem. Zawirusowany hardware formatował się, aksony wyładowywały się w spazmach neuronalnego szafu, powódź adrenaliny płynęła nabrzmiętymi obwodami.

Na korytarzu znalazł kilka opakowań po gumie Turbo, ale nie zdziwiło go to, bo jego sąsiedzi często śmiecili. Na dole minął grupkę gapiów i kilku policjantów tłoczących się wokół czegoś czarnego. Nie zatrzymał się, mając dużo poważniejsze problemy.

Gdy dotarł do pracy, było już sporo po 11:00. Miał wrażenie, że wszyscy się na niego gapią, że czują zapach wódki w jego pocie. Podjął fatalną decyzję, by przeczekać raport pomiędzy boksami. Zignorował obowiązek podbicia karty i zaczął kluczyć po firmie, szukając bezpiecznego miejsca. Szybko dopadła go delegacja złożona z top performerów i liderów jego działu.

– To on.

– Lubecki, co ty wyprawiasz?!

– Dlaczego się chowasz?

- Spóźniłeś się dwie godziny i dwadzieścia minut.
- Jesteś skończony, Lubecki!
- Co ty masz na sobie, Lubecki?

Z walącym sercem spojrzął na siebie w obawie, że wyszedł z domu w piżamie. Chodziło jednak o jego T-shirt. Cały zespół patrzył się na napis „Chrzęćcie się wszyscy”.

Nie zdążył powiedzieć czegokolwiek, nim podsunęli mu tablet i kazali przyłożyć palec do czytnika. Właśnie zatwierdził swoje zwolnienie.

Inspektor Tytus Dębołęcki wciąż myślał o sprawie martwego hakera z Osiedla Za Żelazną Bramą. W jego krwi wykryto dużą ilość arsenu, który należało uznać za bezpośrednią przyczynę zgonu. W wydziale postawiono tezę, że Pytel zatrul się nieznanymi dopalaczami. Byleby nie przedłużyć śledztwa i nie ubrudzić sobie rąk czymś podejrzanym. Zastanawiające było jednak to, że w mieszkaniu zmarłego nie znaleziono żadnych narkotyków. Coś się tu nie zgadzało.

Gdy wybiła północ, Dębołęcki odłożył akta na stolik i zgasił światło. Leżał w łóżku na wznak i z obawą czekał, aż przyjdzie niespokojny sen. Koszmar sprzed miesiąca powracał prawie każdej nocy.

- Jesteśmy w domu, szefie – powiedział tamtego wieczora jego partner.

Musiał tak powiedzieć, bo zawsze tak mówił. Albo może było to coś w stylu: „Nareszcie w domu” albo „I znów w domu”. Pamiętał, że stali, milcząc, w niebieskim półmroku, oddychając przesyconym wieczornymi zapachami powietrzem. Pamiętał, że wszystko wydarzyło się błyskawicznie. We śnie zawsze w końcu trafiał w tamto miejsce. Bał się, ale nie miał wyjścia. Byli tam jak zwykle. I jak zwykle jeden z nich wyciągnął nóż. Drugi, nic nieznaczący

chłopak na posyłki, być może niemający pojęcia, w co się wpakował, wyszarpnął rękę z kieszeni. Nie miał w niej broni, ale było ciemno. Dębołęcki pociągnął za spust.

Dźwięki tramwaju wybudziły go z półsnu, lecz nie na długo. Balansując gdzieś na granicy jawy i snu, pozwalał kluczyć wyobraźni i po raz kolejny śledził bolesne wspomnienia. Przechodził tę drogę wielokrotnie, ale jakkolwiek nie próbował jej zmienić, zawsze kończyła się hukiem wystrzału.

Tym razem śniło mu się, że jest w bródnowskim bloku, w którym mieszkał, zanim wyjechał do Wiednia. Wiedział, że przed kimś ucieka. Jak w snach, w których biega się po klatkach schodowych lub jeździ windą, nie mogąc trafić na właściwe piętro. Jak w koszmarach, w których każdy ruch jest spowolniony, popychany wyczerpującym wysiłkiem woli.

To zadziwiające, jak dokładnie jego mózg zapisał układ pokoi, mebli, nawet drobne szczegóły. Jakby odwiedzał miejsce nadal istniejące w jakiejś sąsiedniej odnodze czasu. Podświadomość wydobywała wspomnienia, o których istnieniu nie miał pojęcia, jak gdyby przeglądał zakurzone archiwa swojej pamięci albo eksplorował zasypane ruiny własnej przeszłości. Wiedział jednocześnie, że była to tylko sztuczna ekspozycja, martwa rekonstrukcja, zastygła w bezruchu makietka. Przestraszył się, że zaraz jego podświadomość posadzi na sofie dawnych mieszkańców tego domu, ale wtedy zobaczył inną kreację swojej wyobraźni. Za przeszklonymi drzwiami gwałtownie poruszały się niespokojne warkocze płomieni. Za matową szybą widział tylko ich oszalały blask, bezdymny ogień w zupełnej ciszy wzbudzający niemą trwogę. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Nagi, zimny płomień pełził zygzakowatymi ruchami po szafie w kącie sypialni. Spod mebla wyrwały się bezgłośnie, chaotyczne błyski. Spojrzał na ścianę i ujrzał zarysy gorejącego miasta. Ponad nim ponuro sunął mroczny cień płomieni.

Nagle uświadomił sobie, że ktoś wdarł się do mieszkania. Nie słyszał go, ale wiedział, kim jest. Wyciągnął pistolet. Był ciężki jak z ołowiu. Wypalił, gdy tylko czarna sylwetka pokazała się w drzwiach. Musiał wystrzelić cały magazynek, by wreszcie wiedziona ostatnim wysiłkiem woli kula dosięgnęła młodego dilerka. Wtedy rzeczywistość snu rozpadła się.

Obudził się gwałtownie, patrząc na swoje ręce i powtarzając w myślach własne nazwisko. Sięgnął po szklankę zimnego toniku, zapalił światło i poszedł do łazienki opłukać twarz. Uśmiechnął się do siebie i pokiwał głową.

Jaką sztampową rolę detektywa po przejściach musiał odgrywać. Musiał zrobić krok do przodu, by z niej wyjść. Najlepszym sposobem było osiągnięcie sukcesu. Jakiegokolwiek sukcesu. Sprawa zmarłego hakera spod bloku na Żelaznej nadawała się znakomicie. Tytus Dębołęcki sięgnął po komórkę i wybrał odpowiedni numer.

Godzinę później siedział w lokalu „Transformator”, czekając na zaufanego informatora. Ten bar był najgorszą dziurą, do jakiej w czasie swojej długiej służby trafił. Znajdował się w okolicy, w której składki ubezpieczenia leciały w dół. Spelunę, ulokowaną w pofabrycznych zabudowaniach FSO, reklamował podświetlany halogenami napis na płycie plastiku. Gryzący dym i światło wpadające przez zmatowiałe świetliki, tworzyły zabijającą barwy mieszankę.

Barman patrzył na nowych jak na kosmitów. Reszta samotnych bywalców nie zwracała na nich uwagi, wtopiona w narkotyczny eter. Grała muzyka brzmiąca jak upadające na blachę w rytmie cztery na cztery krople kwasu, przeplatane uderzeniami w nienaciągnięty tamburyn.

Inspektor Dębołęcki przyjrzał się każdemu z gości z osobna. O ile część tutejszych bywalców wyglądała na wygrzanych ćpunów chowających się przed światem, to człowiek w łachmanach i bandażach musiał wypełznąć wprost z kanałów. Kiedyś podobno mówili na niego Król Mefedronu.

Informator przyszedł spóźniony, ale Tytus nawet mu tego nie wypomniał. Ćwirek był nawróconym hakerem, który obecnie jako biały kapelusz ochraniał korporacyjne serwery. Wiedział też mnóstwo na temat internetowego półświatka. Inspektor szybko przeszedł do rzeczy.

– Krzysztof Pytel, w sieci znany jako Robofunk. Znasz kogoś takiego? – zapytał, wyjmując mentolowe Marlboro.

– Nie znam – odpowiedział tamten, a Dębołęcki nabrał przekonania, że mówi prawdę. Było to w jego zawodzie tak rzadkie uczucie, że z zaskoczenia wypuścił z rąk zapalniczkę. – Nie

żyje, został otruty dwa dni temu na osiedlu, na którym mieszkał – dodał szeptem i jego przekonanie uleciało jak balon wypełniony helem. Nie trzeba było przechodzić kursów czytania mowy ciała, żeby przejrzeć Ćwirka. „Robisz się nerwowy” – pomyślał inspektor i wyprowadził kolejny cios. – Co mi o nim powiesz?

– To był typowy skryptowy dzieciak włamujący się tu i tam za pomocą gotowego software’u. Dość aktywny na forum Altern8. Niezbyt lubiany, zwykły pozer.

– Sądziś, że ktoś mógł chcieć go zabić? – ciągnął dalej detektyw, odpalając drugą zapalką papierosa.

– Hakerzy to nie mordercy. Mogą komuś wykasować profil na snapie czy na insta, ale nie słyszałem o tym, żeby zabijali ludzi.

– Był związany z jakąś grupą?

Ćwirek zamilkł, jakby zastanawiał się, ile jest skłonny powiedzieć.

– Popatrz na to, nasi technicy wydobyli to z jego chmury – powiedział Dębołęcki, wyjmując z kieszeni elegancki pendrive i tablet poprzedniej generacji.

– Co to jest? – zapytał haker.

– Przeczytaj.

Początkowo Ćwirek patrzył w ekran ze ściągniętymi brwiami, potem ostrożnie przeczytał kilka zdań na głos.

– „Dostali coś, co ich przerasta. To broń dużo potężniejsza niż cokolwiek dotychczas stworzono. Skrypt jest niesamowicie złożony. Miliony zapętlnionych komend, samoreprodukujące się programy. Jeśli zostanie użyty, rozgryzienie go i usunięcie będzie równie trudne, co stworzenie. Ruscy musieli nad tym siedzieć latami...”

– I co o tym sądzisz?

Tamten pokręcił głową i oddał mu tablet.

– Ten Robofunk kręcił się wokół kilku bardziej doświadczonych programistów. Z tego, co wiem, byli dość zdolni. Na tyle zdolni, żeby być carderami. To znaczy zajmowali się wykradaniem kont i podrabianiem kart bankomatowych.

– Byłbyś w stanie się do nich włamać?

- Wszystko zależy od tego, jak się chronią.
- Spróbujesz to zrobić?
- A mam jakiś wybór?
- Czego potrzebujesz?
- Klawiatury i szerokopasmowego łącza. Do tego wystarczy twój tablet.

Palce hakera biegały po dotykowym ekranie w nerwowy, wręcz owadzi sposób. Siedzący przed nim inspektor Dębołęcki czekał z rękami w kieszeniach, rozglądając się podkrążonymi oczami po pustym lokalu.

- Zdobędziesz ich hasła?
- Nie, ominę je.
- Co robisz teraz? – zapytał po chwili, zmęczony suchością w ustach.
- Podpinam się pod wi-fi kogoś z nowych bloków.

Minęło kilka minut, w czasie których inspektor oglądał puste dno szklanki.

- I jak idzie?
- Próbowałem wziąć to zwykłym skryptem, ale nie obchodzi najnowszego black ice, więc muszę sięgnąć po coś mocniejszego.

– Czyli?

– Wybrałem bifrost trojana, podrasowałem go, żeby nie wykryły go antywirusy, wpuściłem exploita pod przykrywką bezpiecznej aplikacji HTML ze wskaźnikiem zawartości application hta o końcówce txt, pod którym schowałem zwarty plik Visual Basic. Rozpakuje i uruchomi program abordażowy, który wprowadzi trojana i przejmie komputer. Jeśli ktoś jest po drugiej stronie, nie zauważy niczego oprócz lekkiego spowolnienia CPU.

- I wejdiesz na komputery tych gości?
 - Mam tylko nadzieję, że nie poustawiali honeypotów.
 - Czego?
 - Wyodrębnionych obszarów sieci lokalnej i danych, które udają prawdziwą sieć i zasób informacji, ale są odizolowane i nastawione na wykrycie prób nieautoryzowanego użycia systemu – zacytował Wikipedię.
 - Dobra, mniejsza z tym. Powiedz mi, jak będziesz coś miał.
- Po dłuższej chwili Ćwerek oddał mu nagrany dotykiem tablet.
- Zarobczyłem system, by wyglądało to na zwykły malware jakiegoś wrogiego hakera.
 - Chciałbym to od razu obejrzeć.
 - Śmiało. Wyciągnąłem mnóstwo śmieci z ich dysków. Na mnie już czas – powiedział haker, narzucając kamizelkę. Rozumiem, że mogę być pewny naszej umowy?
- Dębołęcki został sam. Czekala go bezsenna noc.

Nowa praca w call center wykańczała go od początku. Agencja pracy, w której kiedyś zostawił CV, przysłała mu maila tego samego dnia, w którym go wylali. Nie miał wielkiego wyboru, a odrzucenie propozycji zostałyby skrzętnie odnotowane przez przyszłych pracodawców, banki i inne agencje. Nie mógł spać i czytał dużo dziwnych teorii. Spodobał mu się wywód jakiegoś postmodernisty, twierdzącego że kapitalizm chce ograniczyć sen, bo człowiek, który nie śpi, pracuje, rywalizuje i konsumuje.

Wymknął się wcześniej i zdążył na zachód mętnego słońca, które powoli rozlewało się w rdzawych pręgach deszczu. W przejściu pod Centralnym tłoczyły się ciemne sylwetki przechodniów. Mijał twarze o nieruchomych oczach, płonących w blasku smartfonów. Szmer

rozmów telefonicznych tłumiło dudnienie metra, wypychającego pachnące gumą i kurzem wyziewy tunelu. Przeszedł blisko sklepika z elektronicznymi rupieciami, gdzie wśród stert komputerowego szrotu można było wygrzebać zabytki ery analogowej. Pożółkłe sega i nintendo stały obok kilkuletnich konsol, prawie nieużywanych, ale już przestarzałych modeli. Minął to cmentarzysko elektronicznego życia, płonącego w ciemności czerwonymi diodami i rozbrzmiewającego archaicznymi dźwiękami midi, alarmami errorów i posępnym chrobotaniem formatujących się klastrów.

Czuł się już lepiej, choć wciąż starał się zrozumieć, co przytrafiło mu się tamtego feralnego dnia. Myślał też o facecie, którego znaleźli martwego pod blokiem. I choć to podejrzenie wydało się całkowicie absurdalne, miał dziwne i niepokojące przeczucie, że jest z tym jakoś powiązany. Przeczucie narastało od rana, jak fala chaotycznego szumu, aż nagle wyłoniła się z niej klarowna myśl. Musiał komuś opowiedzieć niezwykłą historię o gumie Turbo i o swoich dziwnych sąsiadach.

Wprowadzili się niedawno i od razu wydali mu się podejrzani. Wygląd nieśmiałych informatyków, nieufne spojrzenia i jednostajny szum wentylatorów. Poznał tylko jednego z nich. Pod blokiem tamten niespodziewanie zapytał go o papierosa. Poczęstował go i zrewanżował się pytaniem o gumę. Zamienili kilka zdań o „tym zasranym upale”. Dwa dni później tamtego znaleźli martwego pod blokiem, a on obudził się z kacem stulecia.

Inspektor Dębołęcki odłożył wydruk i usiadł na krześle naprzeciwko okna. Wpatrując się w konstelacje światła, rozmyślał o plikach, które dostał od Ćwirka. Szukał połączeń pomiędzy śmiercią chłopaka i działalnością przestępczą grupy.

Trzech pozostałych hakerów z grupy Robofunka skrywało się pod infantylnymi nickami: Raskolnikow, Janosik i Prometeusz. „Brakuje tylko Robin Hooda” – pomyślał inspektor i uśmiechnął się krzywo.

Z korespondencji pomiędzy carderami, pisanej niedojrzałym, pozerskim językiem, wynikało, że ich otruty kolega był podejrzewany o zdradę jakiegoś znaczącego przedsięwzięcia. Pod naiwną i egzaltowaną formą krył się wyraźny i będący na ukończeniu plan. Trójka powoływała się na jakiś *Traktat o manekinach*, w którym owymi manekinami miała być szara ludzka masa, sterowana przez machinę systemu. Rewolucyjne hasła były tyleż niedojrzałe, co mało oryginalne. Można by to pominąć, gdyby nie fakt, że hakerzy byli przekonani, że posiadają narzędzie, które umożliwi im przeprowadzenie rewolucji. Dialog kończyło hasło Janosika: „Szczęście dla wszystkich”.

W dziale cyberprzestępczości starali się po światłowodach dojść do kłębka. Podrabiając karty, musieli mieć jakąś bazę, w której trzymali drukarki. Zapewne nie mieszkali w niej, przychodzili tam po kryjomu, wynajmowali na inne nazwisko. Dzięki ostrożności nikt z mieszkańców nie zeznał, że dzieje się coś podejrzanego. Pod którym numerem mieściła się nora carderów? Czy w tym bloku, pod którym leżał jeden z nich? Wystarczył jakiś pretekst, jeden dowód lub zeznanie, które pozwoliłoby przekonać opornego nadkomisarza Szerszenia, ominąć biurokrację i kazać przeszukać wszystkie mieszkania na klatce.

Pretekst pojawił się szybciej, niż myślał.

Kiedy tego samego wieczora zadzwonił telefon, przekazano mu, że jakiś facet z Osiedla Za Żelazną Bramą telefonuje w sprawie otrucia. Tytus podekscytowany czekał na przekierowanie połączenia. To śledztwo naprawdę mu leżało. Może nareszcie nastąpi przełom, dzięki któremu znajdzie wyjście z dręczącej go pustki.

– Halo?

– Słucham – odpowiedział komisarz, zmuszając swój szorstki głos, by brzmiał jak najłagodniej, jakby w obawie, że tamten się rozłączy.

– Nazywam się Michał Lubecki i wiem coś, co może się przydać.

– Proszę mówić – powiedział detektyw i poczuł, że zabrzmiało to zbyt obojętnie. Dodał więc – Przyda nam się każda wskazówka.

- Wiem, co zabiło tamtego gościa pod blokiem.
- Co takiego?
- No, tego faceta, co go znaleźliście na dworze.
- Tak, wiem, że o niego chodzi. Pytam, co pan wie.
- Guma do żucia – wypalił tamten, a jego słowa rozbrzmiały w uchu detektywa niczym płask pękniętego balonu. Rzeczywiście w kieszeni hakera znaleziono papierek po gumie turbo. Policji wydało się to jednak zupełnie nieistotne. Przecież trucizna mogła znajdować się we wszystkim.
- Rozwikłałem zagadkę. Otóż, jak wychodziłem z mieszkania w ten feralny dzień, znalazłem na klatce opakowanie po gumie Turbo.
- Entuzjazm komisarza ulotnił się. To, co mówi ten facet, niczego nie rozwiązywało. O gumie znalezionej u hakera musiał wygadać się śledczy przesłuchujący mieszkańców.
- Co więcej, tego dnia ja też zatrąłem się tą gumą.
- Tytus zaczął wątpić w sens dalszej rozmowy.
- Jak to, tą samą?
- Poprzedniego dnia też żułem gumę turbo. To po niej źle się poczułem. Trochę też wypilem, ale bez przesady. Grunt, że dostałem tę gumę od tego zmarłego.
- Zeznał pan to na przesłuchaniu?
- Powiedzmy, że zapomniałem wspomnieć.
- Mieszka pan w bloku, pod którym znaleziono zwłoki?
- Tak.
- Na którym piętrze?
- Na dziewiątym.
- Znalazł pan tę gumę na swoim piętrze?
- Tak, zgadza się. Pod mieszkaniem nowych lokatorów.
- Ilu ich tam jest?
- Oprócz tego zmarłego naliczyłem jeszcze trzech.
- Dlaczego właściwie pan to robi?

- Przepraszam, nie rozumiem.
- Dlaczego pomaga pan policji?
- Przez tę cholerną gumę pracuję teraz w call center, wciskając ludziom abonamenty.

Gdy skończyli rozmowę, Tytus poszedł do łazienki i spojrzał na swój uśmiech w lustrze. Wydał mu się obcym grymasem, więc szybko rozluźnił mięśnie. Dopiero wtedy dotarło do niego, że nawet nie podziękował temu Lubeckiemu z dziewiątego piętra.

Nie można powiedzieć, że miał wyrzuty sumienia, ale widok ludzi wywlekanych z ich własnych domów nigdy nie nastrajał go optymistycznie. Tym razem od początku czuł, że to nie będzie zwykłe aresztowanie, do jakich zdążył się przyzwyczaić. W codzienną rutynę jak promień słońca przez brudny luksfer wdarło się coś w rodzaju podekscytowania. To uczucie dawno zostało w nim pogrzebane pod stertą zakurzonych akt i brudnych kart w jego karierze. Tym razem było inaczej. Pojawiło się nawet coś w rodzaju nadziei na rehabilitację za ten ostatni błąd, który kosztował czyjeś życie. Marne, pozbawione skrupułów i prymitywne, ale jednak czyjeś.

Komisarz Dębółęcki wymigał się od asystowania przy ujęciu podejrzanych i palił na półpiętrze. Oprócz niego cierpliwie czekała tam jedynie usychająca paproć, abstrakcyjny element utopijnej nowoczesności, w której zawsze świeci słońce i którą zdążyliśmy zostawić za sobą. Miał pustkę w głowie i nadzieję, że tym razem nie nawali. Nadkomisarz Szerzeń czekał na okazję, by wpakować w niego całą swoją wściekłość. Inspektor już wyobrażał sobie, jak tłumaczy się w jego zagraconym gabinecie.

Akcja tylko na początku szła zgodnie z planem. Potem wszystko było nie tak, czemu winni byli trzej funkcjonariusze podobni do ociążałych, opancerzonych żuków. Gdy zapukali do drzwi, ze środka dobiegły nerwowe głosy, a potem nastąpiła pełna oczekiwania cisza. Przerwał ją wystrzał broni. Wtedy zaczął się chaos. Policjanci wtargnęli do środka i rzucili się na dwóch

hakerów zasłaniających szafy serwerów. Trzeci schował się w ciemnej kuchni, a następnie po prostu wybiegł z mieszkania. Tam napotkał zdziwione spojrzenie zgarbionego faceta z elektronicznym papierosem w ustach.

Tytus Dębołęcki nie od razu zrozumiał, co się dzieje. Tę chwilę wykorzystał haker, który rzucił się w pułapkę klatki schodowej. Biegł w górę jak wystrzelony przez sprężynę paniki. Zdażył nawet otworzyć wąż i wydostać się na złudną wolność. Chwilę później dołączyli do niego komisarz i dwaj policjanci. Przez umysł Dębołęckiego przeleciała myśl o wyciągnięciu broni. Nie tym razem. Tym razem nikogo nie zastrzeli. Cokolwiek się stanie, stanie się bez jego udziału. I stało się. Prędzej, niż myślał.

Haker cofał się tak długo, aż przekroczył granicę pomiędzy dachem a błękitem bezchmurnego nieba. Wyglądało to tak, jakby wskoczył do basenu. Gdy spojrzeli w dół, tamten był już po drugiej stronie. O ile była jakaś druga strona, a nie jedynie zimna betonowa ściana.

Szybko przystąpiono do przeszukiwania mieszkania. W tym samym czasie informatycy zajęli się rozgryzaniem twardych dysków. Nie znaleziono nic podejrzanego ani za meblościanką, ani w fotelu, ani nawet w sypialni. Dopiero gdy inspektor Dębołęcki zajrzał głębiej do gardzieli pawlacza, znalazł pendrive'y przypominające zdechłe karaluchy. I wtedy zrobił największy błąd w swojej karierze. Podłączył jedną z kości do tabletu i odruchowo kliknął jedyny plik, który znajdował się na dysku.

Na ekranie wyświetliła się twarz Czarnego Romana, dziwaka, którego znał każdy, kto kiedyś częściej bywał w okolicach Domów Centrum. Chwilę później padły pierwsze zapory zachodnich banków. Hodowany w warszawskim blokowisku wirus przeniknął do finansowego krwiobiegu Europy.

Biznesman z Zurychu z zadowoleniem pogładził swój krawat marki Burberry. To nie były łatwe negocjacje. Początkowo wszystko szło według skryptu, jednak nagle natknął się na przeszkodę, wadliwy obszar systemu, który wymagał opracowania nowej strategii obejścia. Właściciel polskiej firmy, targany sentymentami do rodzinnego interesu i gryziony przez podszepty ambicji, nie chciał poddać się bez podjęcia beznadziejnej walki z technokratyczną korporacją. Na szczęście reszta zarządu była innego zdania.

Szwajcar musiał przyznać, że sprawiało mu satysfakcję, że patrzą na niego z nadzieją i szacunkiem jako na agenta trzech splecionych piramid, ikony Schwitters Industries. Ostatecznie kolejna transza zwrotu została uruchomiona. Zastrzyk wirtualnego złota czekał, by pomknąć na odpowiednie konta. Jego suweren będzie zadowolony.

Szwajcar zwlekał z powrotem do hotelowego azylu. Z przeszklonego pawilonu rozciągała się imponująca panorama na wygaszone zakłady Mostostalu i makabryczne ciągi bloków. Cóż za gargantuiczna karykatura Corbusierowskiej „maszyny do życia”. Krajobraz wchłaniała żelazna kurtyna deszczu i chmur.

Negocjator wyjął tablet i otworzył link przesłany mu przez rozmówcę, którego zapytał o źródła krachu. Reakcja polskiego zespołu mocno go zaskoczyła. Zdawało się, że wszyscy w tym kraju mają własną teorię. W jego środowisko zwykle powtarzano to, co mówiły jednomyślne media. Polak, który przesłał mu link, twierdził na przykład, że zainfekowana przez Moskwę struktura informacyjna obecnie potęgowała chaos w kraju, aby sparaliżować go przed kolejnym ciosem z sieci.

Pod linkiem krył się krótki tekst. Jego autorem miał być Krzysztof Pytel, haker otruty przez swoich przyjaciół, ponieważ nie pochwalał ich planów. Już po wielkim krachu w jakiś sposób notatka wyciekła do sieci. Brzmiała następująco:

„Koniec XX wieku był przesiąknięty entuzjastycznym oczekiwaniem, niemożliwą obietnicą trwania w szczęśliwej współczesności. Towarzyszyła temu niezachwiana wiara w postęp, bezkrytyczne zaufanie przyszłości, zapatrzenie w utopijne zapowiedzi jutra. Potem przyszłość została zdyskredytowana, ludzie uświadomili sobie, że to nierealna wizja, obiecywana przez korporacje i rządy, która jest jak znikający punkt, którego nigdy nie dogonią.

Ludzie czekali na przyszłość, jak na zbawienie, wypełnieni nadzieją bogacenia się, jakby miał nastać jakiś rajski czas nowoczesności. Gdy cywilizacja minęła ten punkt, widmo szczęśliwego trwania znalazło się za nami. Nowoczesność utknęła w jakimś zaniechanym czasie wyidealizowanego jutra. Wyczekiwany świat po prostu nie nadszedł. Zamiast wielkich wynalazków zaczęło się wyliczanie kolejnych modeli iPhone'a. Jednocześnie cywilizacja nie doznała amnezji, nie zapomniała swoich grzechów, wręcz odwrotnie – przeszłość jak na złość nie chce odejść, a przyszłość nie chce nadejść.

Mają ten wirus od ruskich. Sami w życiu nie stworzyliby czegoś tak złożonego. Ruscy chcą zrobić wielki numer i zrzucić to na kilku hakerów z Woli. Plan jest przewrotny jak cała wojna hybrydowa. Metawirus to cała armia trojanów gotowych dokonać bezkrwawej inwazji na europejskie banki, ukraść stamtąd niewyobrażalne sumy i przelać za dawną żelazną kurtynę. Pociągająca wizja dla kogoś, kto do tej pory podrabiał karty bankomatowe. Każdy w Polsce dostanie swoją część wirtualnego złota. To tak, jakby czterdzieści milionów ludzi ustrzeliło szóstkę w toto-lotka. W tym czasie dywizje wirusów opanują sieci przepływu informacji i wygaszą serwery. Chaos da czas, by zrobić zakupy, o których zwykły obywatel tego kraju nawet nie marzył.

W ten sposób uderzą nie tyle w Zachód, co w nas. Wyobrażam sobie ten zamęt. Kto będzie chciał oddać swoje nowe bmw, wycieczkę na Hawaje czy wyzwolone z jarzma kredytu mieszkanie? Ilu przestępców zdąży wyciągnąć gotówkę i użyć jej w niecnym celu? Kto otworzy rano drzwi do urzędu i na stację benzynową? Kto nazajutrz będzie chciał iść do pracy, by uciuć marne sto pięćdziesiąt złotych? Po tych kilku godzinach, może dniach wszystko zablokuje, ale straty będą olbrzymie. System finansowy załamie się pod wpływem inflacji. Pozostanie tylko kac po wielkiej imprezie za cudze pieniądze. Polskie blokowisko nawiedzi bowiem plaga obfitości, złote runo i szczęście dla wszystkich”.

Urdu

Na obrzeżach miasta wyrosły czarne kopce elektronicznego szrotu, które wkrótce przyciągnęły gangi szabrowników. Urdu nie miał wielu wspomnień spoza blokowiska i hałd porzuconego sprzętu. Codziennie wędrował po wysypisku digitalowej cywilizacji i ślizgał się po klawiaturach i starych pecetach, by z przewodów wypalać drogocenną miedź. Góry śmierdziały stopionym plastikiem i wżerały się w glebę i skórę alkalicznym kwasem, jednak dla wielu były jedynym źródłem utrzymania i materiałem, z którego budowali domy.

Urdu miał kryjówkę w oplecionych kablami wnętrznościach góry. Za szafę służyła mu lodówka marki Gorenje. Miał tam też działający telewizor, podpięty do baraków szefa. Odbierał tylko chińskie programy, ale szef w ten sposób nagradzał swoich najlepszych zbieraczy. Kazał im także nosić ozdoby z części komputerów jako talizmany przeciwko złym duchom. Wódz gangu uważał się za odbiornik woli boga, a za medium służyła mu poźółkła konsola Atari.

Odpadki pochodziły z całego świata, a przeznaczenia wielu przedmiotów nie potrafił nawet odgadnąć. Tutaj kończyły produkty minionej epoki niedoboru i współczesne wytwory epoki nadmiaru. Społeczeństwa zbieraczy pozbywały się na wpół legendarnych przedmiotów, a społeczeństwa postępowców wyrzucały to, co zostało po kolejnym etapie modernizacji. Współczesne twory cywilizacji od początku skażone były nietrwałością i rozpadem. Do niedawna cykle zastępowania produktów były dużo dłuższe. Spoczywały tu lata dziewięćdziesiąte i pierwsza dekada nowego millenium, która ledwo się wyłoniła, a już była odległą przeszłością.

Na obrzeżach jałowego miasta Akra, w dzielnicy Agboglobloshie, szerzyły się nie tylko kulty techniki, ale też narkotyki. Tripy po oparach wytapianych z trupów ery cyfrowej były tu jedną z niewielu rozrywek. Taki świat znał Urdu – złomiarz z Akry, człowiek bez przeszłości.

Tego dnia wszystko miało się zmienić. Wieczorem jak zwykle grzebał w dymiącej górze złomu. Od strony cienkiej linii płonącego horyzontu mozolnie ciągnęły ciężarówki z odpadami. I wtedy stały się dwie rzeczy jednocześnie.

Po pierwsze od strony konwoju padły strzały, co wzniciło popłoch wśród szabrowników, którzy rozpierzchli się niczym pluskwy. Po drugie ręka Urdu wyczuła coś obłego i ciężkiego. Wyciągnął to i zobaczył nieuszkodzony dysk zewnętrzny Hitachi. Postanowił ukryć go przed szefem i potajemnie sprzedać na targu. Wódz płacił tylko za miedź.

Schował dysk do torby i zaczął uciekać. Wtedy zorientował się, że jest bardzo źle. To nie porachunki między gangami ani najazd wojska, ale łapanka niewolników. Łowcy z pustyni otaczali mrowisko coraz szerszym łukiem. Biegł na oślep przez ciemne wąwozy, aż dopadł do starego złomowiska. Cieszyło się złą sławą i kręciło się tam dużo maruderów. Kalecząc dłonie o rdzę, schował się pod wrakiem koparki. Niestety zbyt późno.

Łowcy w maskach przeciwgazowych i szatach Beduinów wywlekli go z kryjówki i zabrali do ciężarówki. W ciemności stracił orientację. Szybko znalazł się w norze handlarzy, gdzieś w przemysłowej strefie Akry. Wraz z nim było wielu biednych mieszkańców przedmieścia. W zrujnowanej fabryce, noszącej ślady walk pomiędzy ludami koczowników i rolników, sortowano łup.

Urdu został przeszukany przez pustynnego łowcę wydającego polecenia w jakimś odległym narzeczu. Gdy znalazł dysk, zabrał szabrownika w głąb kryjówki. W blaszanym boksie mrugało kilka starych monitorów, a po podłodze walał się sprzęt. W rogu siedział rówieśnik Urdu, który wzbudził w nim lęk.

Riad został porwany z technikum w stolicy. Miał umiejętności komputerowca, a nawet bawił się w prymitywną informatykę, dlatego przeżył. Inaczej od razu sprzedano by go łowcom organów z opuszczonego szpitala – był albinosem. Urdu pograżył się w niespokojnym śnie, a komputerowiec zajął się dyskiem i znalazł tam skompresowany plik ważący niemal terabajt. Urdu nic to nie mówiło, ale albinos wydawał się podekscytowany. Wtedy jednak echo przyniosło łoskot pracujących karabinów maszynowych. Ktoś krzyknął – To salafici! Idą wraz z burzą.

Mina magnetyczna rozerwała boczną powłokę humvee w pół drogi między koszarami a tajną bazą agencji Blackwater. Z blaszanej dżungli slumsów wybiegli bojownicy z czarnymi symbolami kalifatu i ruszyli do ataku.

Cooper był najemnikiem od czasów drugiej Pustynnej Burzy, a większość ostatniej dekady spędził, ochraniając odległe przyczółki koncernów na roponośnych terytoriach. Teraz trafił do Ghany, gdzie nie było nic cennego. A jednak jakaś wielka korporacja zgubiła tu coś wartościowego.

Automatyczny zastrzyk iniektora powstrzymał go przed utratą przytomności. Podskórny chip funkcji życiowych wysłał sygnał do bazy. Musieli utrzymać się jakieś pięć minut, zanim nadlecą predatory.

Nie było jak na filmach. Nie pocieszał rannych kolegów, ale schował się za pancierzem i namierzał cele nadciągające od gąszczu przybudówek. Heckler & Koch wibrował, wystrzeliwując inteligentne pociski. Serie same odnajdywały cel. Połączył się przez hud w hełmie z kamerą w wozie. Monitor wyświetlił trzy trafione cele i pięć wciąż aktywnych. Miał szansę doczekać się dronów. I wtedy podjechał zdalnie sterowany samochodzik-zabawka z przyklejonym taśmą ładunkiem wybuchowym. Trącił go przyjaźnie w nogę, a potem eksplodował.

Ocknął się w obskurnej klinice ze ścianami pokrytymi pistacjową emalią. Pierwsze, co usłyszał, to łoskot skrzydeł wiatraka rozgarniającego zawiesinę powietrza. Potem pojawił się trzeszczący w megafonach głos imama wzywającego na wieczorną modlitwę. O dziwo był tylko lekko ranny. Wybuch jedynie osmolił tytanową protezę nogi, którą dostał po Faludży. Salafici nie czekali, aż wróci do siebie, i od razu zaczęli zadawać pytania.

– Po co przylecieliście? – zapytał jeden z nich po angielsku, w którym dało się wyczuć londyński akcent.

Cooper miał dość bólu w życiu. Nie będzie wystawiał się na tortury dla jakiejś korporacji.

– Wynajęła nas prywatna firma, żebyśmy coś odzyskali.

– Co?

– Nie wiem.

Obdrapana lufa kałasznikowa zbliżyła się do jego oka.

– Zaczę jeszcze raz. Po co tu przylecieliście? – w słowach salafity nie było gniewu.

Zwykła rozmowa.

– Dostaliśmy zlecenie. Korporacja, która nie chce się ujawnić, ale chce odzyskać dysk z danymi. Musi być bardzo cenny, bo szuka go kilka grup i cała masa freelancerów.

– Gdzie on jest?

– Ktoś wpiął go do sieci dzisiaj na obrzeżach Akry. Dostaliśmy natychmiastowy rozkaz powrotu do bazy. Mam dane GPS.

Salafita wydawał się całkowicie spokojny, ale w jego oczach zabłysła chciwość.

– Dobrze. Opowiesz nam wszystko od początku, a teraz poszukamy tego dysku.

Inszallah.

Od strony blokowisk właśnie dobiegło zawołanie wieczornej modlitwy.

Urdu, korzystając z zamieszania, wyrzwał na zewnątrz. Był tam wielki portowy basen, a w nim kontenerowce wyglądające z daleka, jakby wiozły klocki lego. Po drugiej stronie piętrzyły się kratownice skomplikowanych struktur i osmolone kominy, a ponad tym neonowa muszla – symbol korporacji Shell. W dole, na wypalanej ziemi toczyła się brutalna walka pomiędzy łowcami niewolników i ludźmi kalifatu. Handlarze musieli być zaskoczeni, bo do tej pory

współpraca z salafitami układała się dobrze. Teraz ludzie w czarnych dishdashach pędzili na nich terenowymi samochodami, ukryci w burzy piaskowej.

Urdu napotkał przerażone spojrzenie spod kraciatej chusty i schował się z powrotem w wystygłych trzewiach fabryki. Albinos nadal stukał w rozklekotaną klawiaturę jak opętany przez złego ducha z wysypisk. Potem zamarł i spojrzał przekrwionymi oczami na Urdu. Zbieracz był jedynym świadkiem jego odkrycia, a może po prostu uznał, że go nie zrozumie. Na górze terkotały karabiny, a kalifat spychał łowców w stronę czerwonego bagna u stóp rafinerii.

– Oni szukają tego. – Wskazał na dysk. – To jest broń, która uderzy w Zachód. Płomień oczyszczenia, który wypali ich kulturę. Wiesz, o czym mówię?

– Nie, skąd to wiesz?

– Wszystko jest napisane w *Read me*.

Albinos uśmiechnął się do siebie, jakby oszalał. Urdu, nie rozumiejąc nic z tego, chciał coś powiedzieć, ale wewnątrz fabryki wypełniło metaliczne echo wystrzałów. Złomiarz napiął wszystkie mięśnie do ucieczki, lecz coś zatrzymało go w miejscu. Może była to świadomość, że dysk jest istotny i że on, bezdomny z Akry, może stać się świadkiem czegoś ważnego. Urdu podniósł wyszczerbioną klawiaturę i zamachnął się na albinosa.

– Mów! Mów dalej, co jest na dysku?

– Facebook, wiesz, co to jest?

– Wiem.

– W *Read me* jest napisane, że jak uruchomię ten program, to wypali Facebooka. To jakiś wirus, wystarczy go odpalić na łączu i sam będzie wiedział, co robić. Nawet nie masz pojęcia, ile takie coś jest warte!

– Skąd wiesz, że to prawda?

– Po co zjawili się tu salafici? Przecież handlują z nami niewolnikami. Cyberkalifat musiał dowiedzieć się, co to jest. Oni chcą to mieć. To uderzy w podstawy Zachodu.

Strzały były coraz bliżej. Na zewnątrz świat połknęła gryząca chmura, a walka przeniosła się do betonowej twierdzy łowców.

– Włącz to.

– Co? Oszalałeś?!

– Powiedziałem: wciskaj to albo zginiesz!

Albinos uległ instynktowi przetrwania i jego ręce spoczęły na klawiaturze.

– Albo poczekaj...

– Na co?

– Sam chcę to zrobić. Chcę wypalić im ten Facebook. Co mam nacisnąć?

Albinos wskazał wytarty enter. Jego oczy płonęły jakimś odległym blaskiem.

Urdu obejrzał się za siebie. Niedługo straci ostatnią szansę ucieczki. O ile już nie było za późno. Strzały umilkły, a to był zły znak. Złomiarz z wysypiska Akry dotknął rozgrzanego plastiku. Ekran wyświetlił coś w nieznanym języku. Chciał zapytać, co się dzieje, ale albinos wyślizgnął się z pokoju.

Urdu stał przez chwilę, nie mogąc zrozumieć, co się stało. Potem wyobraził sobie wybuchające komputery w świecie bogaczy, który znał z chińskich seriali. Wszystkie trafią na jego kopiec nieżywej elektroniki. Nienawidził technologii, w której codziennie musiał grzebać na wysypisku. Rzucił się na górę i biegł na oślep. Bojownicy zignorowali go, widząc, że nie jest jednym z łowców.

Wybiegł w huczący tuman kurzu. Jedyne prześwitujący przez piasek neon shell pozwolił mu zachować kierunek. Nocą był już na drodze, gotowy, by wskoczyć na ciężarówkę jadącą na wysypisko.

Zapach i echo metropolii wpadające do „Chicago Diner” przynosiły ze sobą nostalgię naelektryzowanego ozonu, wyobrażenie miasta prześwieconego wilgotnym blaskiem neonów jak nowoczesna świątynia Perreta, misternie przetkana kratą witraży. W plastiku blatu, w

połyskującej powierzchni reklam i w chromie bulgoczącej kawą maszyny odbijała się polichromia nocnego miasta.

Nocny kurs miejskiej kolei przemknął z łoskotem po wiadukcie. Była już ta pora, gdy tłumy w klubach powoli zaczynały rzednąć. W lokalu od początku było pusto, nawet obsługa gdzieś zniknęła, jedynie poobijany automat do gier z kolorowymi samolotami na ekranie grał melodyjkę przywodzącą na myśl piłeczkę naładowaną energią. Gdzieś w tle rozbrzmiewała echem chicagowska noc.

Dopadła go Melan Koina, „czarna żółć”, ta skondensowana metafora smutku przywodząca na myśl skażoną chemicznie maź, przemysłowy olej i smar. To uczucie zanikania, kierujące jego uwagę na ziemię, na ciężką materię rzeczywistości, na to, co podziemne, lepkie, kleiste niczym odrzuty postcywilizacji. Odwracał się od centrum i włączył po peryferiach. Nie mogąc pokonać tego stanu i wrócić do górnołotnej przeszłości, odkrywał masę cokołu, przedmioty oderwane od słów, wyjątkowo namacalne i obecne. Każdy budynek nosił dla niego załączek degradacji.

Jadąc kolejką, widział biuro swojego nowego pracodawcy. Budynek jak z czarnego, spękanego alabastru, emanujący złowrogą, bezwzględną siłą. Czarna dziura, pochłaniająca światło odbijane od szklanych ścian wieżowców. Tam, jak w ściśle strzeżonym przez zrobotyzowaną ochronę kokonie, dojrzewały nowe płody, firmy-klony, infekujące rynek rakiem korupcji, oplatające go mackami monopoli i trustów.

Szybko zrozumiał, że jego nowa korporacja różniła się od starej bezwzględnością, elastycznością i umiejętnością pozostawiania niewidzialną siłą. Jej iluminujący zielenią dolarów, eklektyczny emblemat, technokratyczna piramida symbolizowała jej technologiczną nowoczesność. Schwitters Industries posiadała strukturę podobną do układu scalonego, w której podzespoły nie znają nadrzędnego celu, a procesor, rdzeń wysyłający impulsy poleceń do aksonów na całym globie pozostaje ukryty.

Od kiedy przestał pracować dla Facebooka, był szczęśliwszym człowiekiem. Porzucił nawet myśl o zemście, choć nigdy nie zapomni upokorzeń, jakie go tam spotkały. Winił korporację za rozpad rodziny i problemy ze zdrowiem. Gdyby chciał, mógłby im naprawdę zaszkodzić, stając się być może na moment najbardziej przeklinanym człowiekiem na świecie.

Nie chciał brać za to odpowiedzialności. Dlatego miesiąc temu wziął parę dysków twardych i sprzedał je za grosze kilku elektroziłomom rozsianym po całym globie. Pozostałe wyrzucił do śmieci. Na każdym zostawił jeden plik exe i krótkie objaśnienie, co nastąpi, gdy przypadkowy operator uruchomi ten pierwszy.

Co się stanie, gdy plik włączy dobrze ukrytego wirusa, którego osobiście zainstalował w systemie? Teoretycznie nic takiego. Jakiś procent kont zniknie bezpowrotnie, część zostanie zablokowana na dni, a może tygodnie. Ludzie stracą swoją cyfrową tożsamość. Potem postawią backup i wszystko wróci do normy. To będzie wielki eksperyment. Postanowił, że pozostawi to losowi. Jednocześnie po szklance whisky wysłał z fikcyjnych kont ostrzeżenie i nazwy sklepów, do których zostały nadane dyski. Sam nie widział, co tak naprawdę robi. Może chciał ich po prostu nastraszyć.

I wtedy stało się. Spojrzał na brzęczący telewizor i zobaczył to na pasku breaking news. Sprawdził facebook na iPhone – konto nieaktywne. Stało się. Gdzieś ktoś wcisnął enter.

Smog

Lemmy Caution, niedoszły, medialny bonzo, ubrany w hawajską koszulę i odlotową marynarkę, jechał windą i z niedowierzaniem wpatrywał się w czerwone liczby na iPhone. Musi ograniczyć wydatki albo sprzedać jakiegoś gorącego newsa. Ten, którym się zajmował, miał potencjał. To było coś na miarę sprawy senatora Butlera, która uczyniła go znanym. Przynajmniej w określonym środowisku. Ostatnio trwonił tę sławę, zajmując się tropieniem taniej sensacji.

Smutne wnętrze starzejącego się budynku niespodziewanie poprawiło mu humor. Na całe szczęście stać go było jeszcze na eleganckie mieszkanie na przedmieściach. Im mniej pięter, tym lepiej. Te brutalistyczne molochy, otoczone morzem parkingów naprawdę go przygnębiały. Nie rozumiał, dlaczego Trevor upierał się, żeby tu mieszkać.

– To ty. Wchodź.

Podkrążone oczy i ziemista cera muzyka zdradzały nieprzespaną noc. Caution zapytał go, po co w bloku zainstalowano domofony z kamerką.

– Nie wiem, weisnęli to wszystkim z nową kablówką. Mówili, że jest antyodporny na spreje i tłuczenie szyb.

– Antyodporny? Co to znaczy?

– Nie wiem, coś w tym stylu.

– Co słyhać?

– A ostatnio trochę się zasiedziałem.

– Nie wychodzisz z tej nory?

– Mam tu wszystko, czego potrzebuję. Schudłeś, wisi na tobie marynarka – odgryzł się Trevor.

– Słabo sypiam.

Trevor zniknął w łazience, a Caution rozejrzał się po zagraconym mieszkaniu. Muzyk każde miejsce, które zasiedlał, szybko zmieniał w radioaktywną melinę. Co prawda wspominał o

jakimś głównym mieszkaniu, a ten lokal nazywał studiem, jednak jego zespół Toxic Voodoo nigdy nic w nim nie nagrał. Można tu było znaleźć sterty płyt, plastikowych pojemników po chińszczyźnie, wysypaną na dywan popielniczkę, pudełko z zabawą lat siedemdziesiątych – Mastermind, ale nie było tam żadnego sprzętu do robienia muzyki. Na stole stało tylko suche akwarium, w którym mieszkał żółw Georg, na którego punkcie Trevor miał obsesję.

Caution spojrział za okno. Widać było tylko podświetloną mgłę koloru cappuccino. Pływały w niej dźwigi i zarysy bloków. Wyświetlił portal informacyjny, jednocześnie włączając kojące dźwięki Solar Fields. Zdał sobie sprawę, że zdażył przejrzeć wszystkie portale trzy razy po wyjściu z samochodu. Oderwał wzrok od komórki. Na laptopie Trevora obracała się jakaś wektorowa, kanciasta twarz. Przypominała Maxa Headrooma, protoplastę wirtualnych gwiazd. Podniósł płytę zespołu Macintosh. Nad bezkresnym oceanem świeciło wieczne słońce, panowały ciepłe barwy wiecznego lata i nostalgia końca sezonu. Gdyby zacięcie grafiki nie zmieniło jej w groteskową symulację, ta idylla przypominałaby stockowe zdjęcia używane w folderach reklamowych.

- Co to? – zapytał Trevora, wskazując na ekran.
- Zadaj mu pytanie.
- To jakiś bot?
- Jest naprawdę niezły, ktoś zrobił dobry skrypt. Traktuję go jak asystenta. Pytam się o różne rzeczy.
- Jakie?
- Jak potrzebuje się czegoś dowiedzieć.
- Ok.
- Jak interesy?
- Tak sobie. Było lepiej.
- Powinieneś poszukać jakiejś niszy. Na przykład muzycy. Pojedź z nami na wybrzeże.
- Trevor, nikt was już nie słucha oprócz freaków z youtube. Moda na vaporwave skończyła się jak martwa odnoga.
- Wcale nie. Ewoluowała. Zresztą my całkowicie zmieniamy styl, wypłyniemy w innym miejscu. Posłuchaj tego.

Trevor wygrzebał spod poduszek pilota. Muzyka przypominała dyskotekę zawirusowanych robotów, a przebijająca się przez tło melodia ginęła w szumie elektronicznego szumu, jakby instrument tracił baterię.

- Gramy teraz digital glitchtronic z elementami biotrance.
- Ok, poprzednie rzeczy bardziej mi pasowały.
- Teraz wszyscy chcą być retro. Stawiają na nostalgię. My chcemy robić coś innego.
- Serio? Chyba nie w głównym nurcie.

Caution wiedział, że sprowokował jeden z tych wykładów, które Trevor lubił wygłaszać. Zastanawiał się, czy udziela ich sam sobie, gdy jest w sam. Był pewien, że tak.

- Powiem ci dlaczego wszyscy chcą być retro.

Caution pokiwał głową, choć to, o czym mówił jego znajomy, kompletnie go nie dotyczyło. On nadal żył przyszłością, najwyżej terażniejszością.

– Ludzie mają coraz słabszą pamięć. Poprzednie pokolenia ze szczegółami opowiadają o czasach swojej młodości. My pamiętamy z niej tylko jakieś oderwane obrazy, ogólne wrażenia. Ta fragmentaryczność i niespójność wspomnień sama w sobie niepokoi. Ziarno jest coraz mocniejsze, aż w końcu szum przesłania obraz. To co udało się zapisać na twardym dysku pamięci staje się niezależnym od nas tworem wyobraźni. Szczątki rzeczywistości gniją tu i tam, medialne symulacje generują nadrzeczywistość, pozbawioną źródła i realności. Ta pustka rodzi nostalgię, która rozrasta się bez końca. Odradzają się dawne mody. Rzeczywistość to hologram.

Trevor chwilę jeszcze stał zapalony swoim przemówieniem, a potem uchylił balkon i spokojnie zapalił papierosa.

- Może napisałbyś o tym?
- Nie, nie jestem publicystą. Nie interesują mnie wspomnienia. Ja jestem łowcą sensacji.
- To dla kogo robisz teraz?
- Dla OBD
- Dla rządu?
- Nie przesadzałbym.
- Nie no, nie powiesz mi, że są obiektywni.
- Pokaż mi kto jest.
- I co dla nich robisz? Jakiś poważny materiał?

- Tak, chyba tak. Słyszałeś, to znaczy widziałeś, jaki mamy w tym roku smog?
- No pewnie. Nawet nie widziałem, a czuję go. Wystarczy otworzyć okno. Nawet lubię ten zapach.
- No właśnie. A słyszałeś o projekcie Zefir?
- Obiło mi się o uszy. Piszesz o tej konstrukcji na przedmieściach? Podobno jest olbrzymia. To gdzieś przy ostatniej stacji metra?
- W zasadzie nie piszę o samej budowli. Chodzi o to, co dzieje się wokół niej. O ten cały szum informacyjny. Wiesz, każdy ma swoją wersję.
- Kiedy to uruchomią, bo nie da się już oddychać? – zapytał Trevor i demonstracyjnie zakaszał.
- Niedługo, jak dobrze pójdzie, to już niedługo.

Od kiedy zabudowano korytarze powietrzne, w letnie miesiące nad miastem unosił się duszący smog. James pracował na najwyższym piętrze sześciokondygnacyjnego biurowca. Na open space obowiązywały rygorystyczne zasady. Rozmawiano tylko w kuchni. Wprowadzanie danych do faktur wymagało koncentracji. W boksach panowało pełne skupienie.

James raz po raz zerkał znad rozgrzanego biurka na ostatnie piętra i płaskie dachy przeciwległych budynków. Kryły się tam jakieś zbędne przestrzenie, samotne, betonowe powierzchnie, porzucone od czasów ich stworzenia fragmenty infrastruktury. Biała, pozbawiona okien ściana nowego bloku prażyła się w słońcu, a nagrany dach sąsiedniego, starego gmachu stał wymieciony wiatrem i opalizujący odblaskami. Gdy po obiedzie nadchodziła senność, powracała wizja znalezienia się na schodku z tego czy innego dachu lub podwórka, wśród zardzewiałych blach i wywietrzników. Te wizje zawsze były odcięte niemożnością dostania się w ich pobliże.

James zrobił sobie przerwę i wszedł do sieci. Któryś raz w ciągu godziny w pracy. Miał tylko nadzieję, że IT go nie śledzi. Włączył się filmik ze studia. Krótkowłosa prezenterka złożyła usta w charakterystyczny dziubek.

– Czyli może się pan podpisać pod słowami internautów oburzonych kosztami tak olbrzymiej inwestycji?

– Oczywiście. To najczystszy przejaw horrendalnej megalomanii. Pani redaktor, to przypomina mi najgorsze przykłady z historii, kiedy publiczne pieniądze podporządkowano ideologicznej urbanistyce. To jest czysta utopia. Zamiast ustaw buduje się monument, który odgoni niebezpieczeństwo.

– Wspierani przez państwa kolegów z partii aktywiści mówią, że – cytuję – budowa konstrukcji niesie ze sobą wiele zagrożeń, między innymi wpłynie na trasy przelotu ptaków, nawieje do miasta ławice śmieci, chłodzenie turbin wysie koryta podziemnych rzek, zmieniając pływy wód naziemnych. Są też rzeczy, o których się nas nie informuje. Potencjalne zagrożenia. Wiatr może być uciążliwy dla mieszkańców, podciśnienie może zassać powietrze, tworząc niebezpieczne bańki pozbawione tlenu.

James wyświetlił następne strony. Sprawa pojawiała się w kolejnych odnośnikach. Wspominali o niej w radiu, przesuwiała się na pasku telewizji, wyskakiwała w memach, gifach, na twitterze, w snapach i na wallach znajomych. Gdziekolwiek za to nie wspomiano o niej wcale.

– Wielka konstrukcja bliska ukończenia, Mieszkańcy dzielnicy przerażeni.

– Sonda na zlecenie LOB. Mieszkańcy przeciwko Zefirowi, 32% za uruchomieniem projektu, 35% przeciwko, 33% nie wiem.

– Rzecznik rządu mówi, że projekt Zefir pozwoli nam znów oddychać pod czystym, wolnym od chorób niebem.

– Eksperti ostrzegają – nie uniknie się wysiedlenia ludzi w najbliższym otoczeniu budowli. Chodzi o hałas.

– Jutro o 16.00 rozpocznie się manifestacja.

James spojrział na alarm antysmogowy. W dzielnicy centralnej bardzo źle, przy jego domu źle, w pracy umiarkowanie.

Tego dnia słońce pokazało się rozmyte i świecące łagodnym blaskiem poranka. Podmuchy wymiatały szerokie ulice z kurzu i gnały go ciągnącymi się po horyzont promenadami.

Lemmy Caution pojechał je zobaczyć. Stały z dala od miasta, na betonowych postumentach, otoczone kilometrami siatki i morzem wydm. Główne konstrukcje projektu Zefir doczekały się mitologicznych nazw. Dwa największe to Remus i Romulus, pozostałe Eol, Auster i Anemoi. Jedynie ten, na którym prowadzono pierwsze testy, nazywał się całkowicie przyziemnie – Prototypowy Ekshaustor Odrzutowy. Widać go było już z daleka. Pozostałe, wczesne wersje porzrzucano po całym terenie. Wypróbowywano tu spalinowe i elektryczne wirniki z olbrzymimi łopatami. Powstał nawet olbrzymi odkurzacz, który miał zassać smog, ale wraz z nim wciągał też tlen. Na wpół zakopane w piasku pola ozonatorów i pochłaniaczy mieniły się w oddali chromowymi powierzchniami. Tabliczki ostrzegały, że znajduje się na poligonie testowym.

Zatrzymał się na skraju wydm, w pobliżu piętrowego motelu. Z pozoru wyglądał na opuszczony, ale na werandzie stało radio i wiatrak. Nidzie nie było widać właściciela rozłożonej leżanki.

Zbieg okoliczności sprawił, że nieożywiona materia trwała tutaj sama dla siebie, bez żadnego celu. Usiadł na siedzeniu pasażera i prowokując wspomnienia, wpatrywał się w bezkres. Wiatr, wpadający przez otwarte drzwi, przyniósł w końcu na wpół oczekiwany ucisk tęsknoty za czymś nieokreślonym, czymś, co się być może nawet nigdy się nie wydarzyło, czymś, co zaistniało tylko w jakiejś innej odnodze czasu. Zaprzepaszczone z takiego czy innego powodu zdarzenia przypominały te nigdy niedokończone konstrukcje.

Zdawało mu się, że na horyzoncie widzi niebieską linię oceanu, że zaraz usłyszy skrzek mew krążących nad workami śmieci. Ulotne wrażenie zogniskowało się nagle w jego wyobraźni w rysach twarzy, której od dawna nie potrafił już sobie dokładnie przypomnieć. Pomyślał, że

wszystko nadal jest zapisane na twardych dyskach pamięci. Co by było, gdyby naukowcy nauczyli się kiedyś wydobywać wspomnienia i robić z nich taśmy. Ludzie będą oglądać swoje życie jak obcy, przerażający film.

W jego galopadę myśli wdarł się jakiś odcień zniecierpliwienia, złamany przez niepokój. Pomyślał, że to przez wiatr. Życie na takim, weźmy na to, argentyńskim pampasie, bezustannie i bezlitośnie smaganym wichrem, może doprowadzić do obłądu. Wyczekiwane z nadzieją chwile ciszy, niszczone były jak zamki z piasku.

Przez ostatnie dni przekopywał się przez wirtualne wysypiska i eksplorował cyberprzestrzeń w poszukiwaniu informacji na temat firmy Schwitters. To ona stworzyła na zlecenie rządu projekt Zefir. Przerzucając okna google sphere, sięgał głębiej w zasoby. Firma obejmowała kolejne obszary, mnożyły się odnoża jej wpływów, outposty spółek w odległych dziedzinach. Sięgnął do medialnych baz danych, by dowiedzieć się, że raz Schwitters przyjmował niewinny kształt agencji outsourcingowej, gdzie indziej na białych kartach wirtualnego świata pojawiał się jako kompania Synesthesia Inc. inwestująca w nowoczesne technologie robotyki przemysłowej. Światowe konsorcjum działało w sieci, w układzie neuronalnym nowoczesnej gospodarki, zmieniało paradygmaty i opatentowywało nowe formy biznesu. System działania Test–Operate–Test–Exit inwestował w skrajnie różne dziedziny, gdyż na krawędzi osobliwości nie wiadomo, co stanie się przyszłością. Zefir był częścią tej strategii.

Potem Caution wrócił do głównego tematu. Twitter przeciwników budowy Zefiru buzował. Od paru dni reporter koncentrował się na pewnym tropie. Kampania walki z konstrukcją skupiła się wokół Patisona, jednego z czołowych działaczy opozycji. Zawiązał on sojusz z radykalnymi, zielonymi aktywistami, którzy wypłynęli w związku ze smogiem. Pracodawcom Lemmego z OBD chodziło o to, by znaleźć coś, co obciąży Patisona i opozycję.

Gdy wiele godzin siedział w sieci, docierając w najdalsze zakamarki for, skrolując ściany użytkowników, śledząc miliony wpisów, czuł się zdezorientowany. Bombardowały go zapętlone reklamy wirtualnych kasyn, tanich hoteli, abonamentów, tandetny świat nakładających się tekstur i gifów. Gdy chciał wydobyć konkretną informację, zdawało się to być ponad jego siły. Musiał się poruszać na fali informatycznego chaosu, ślizgać po powierzchni i nie zanurzać w szum. Poczł coś jak przeładowanie pojemności, wyczerpanie mocy obliczeniowej i uderzyły go efekty nieprzespanej nocy.

Puścił podcast z publicznego radia. Zajmował się tą sprawą tak często, że miał wrażenie, że wygrywa ona główną nutę w medialnej kakofonii. Choć tak naprawdę był to tylko jeden z newsów.

– Panie Koolhass, jak uspokoiłby pan mieszkańców, którzy nadal obawiają się uruchomienia Zefira? Wiemy, że opozycja organizuje protesty, wzniecając zbiorową histerię. Czy naprawdę jest się czego bać?

– Jako pomysłodawcy i projektantowi exhaustorów jest mi przykro, że stały się elementem walki. Nie interesuje mnie polityka. Zefir ma służyć miastu. Po to został wymyślony. Kilka lat poświęcono na to, by zbudować jeden z najbardziej przełomowych projektów. Porównałbym to do akweduktu. Tym razem nie chodzi jednak o wodę, lecz powietrze. Czyste tchnienie wiatru, które odkazi miasto. Panaceum na chorobę duszącą metropolię.

Zaczął śledzić tytuły artykułów na kolejnych portalach:

– Obecnie wskaźnik smogu sięga krytycznych wartości. Alarm smogowy ogłoszony dla większej części miasta.

– Obóz rządzący zbija na smogu swój kapitał polityczny.

– Opozycja stara się na zdrowiu obywateli zyskać kapitał polityczny.

– Wskaźnikami też da się manipulować.

– Tu nie chodzi o garstkę fanatyków, ale o masę zwyczajnych ludzi, którzy ciężko zarabiają na chleb i w tej masie dezinformacji chcieliby dowiedzieć się czegoś na pewno. Stanąc na twardym gruncie.

Caution pomyślał o tych „zwykłych” bądź „szarych” ludziach, jak ich protekcyjnie lubiano nazywać w mediach. Nigdy do nich nie należał. Od kiedy pamiętał, poruszał się w tym towarzystwie, które niewiele wiedziało o „prawdziwym” życiu, ale wypuszczane przez niego newsy celowały raczej w szeroko pojętą publiczność. Wyobrażał sobie, że telewizja pozwala im zachować kontakt z cywilizacją, była ich augmentacją rzeczywistości. Młodzież na krawężniku zatapiała się w internecie, telewizory plazmowe stały na tanich regałach. Mieszkańcy biednych domów siedzieli w cyfrowym odosobnieniu, choć telewizja nie dawała już rauszu. Znajdują się w platońskiej norze, oglądając pudełko z duchami. Gdy wyłączają to urządzenie–protezę, otoczenie staje się na ten ułamek niejasne i opresyjne, zużyte przez czas, podatne na rozpad. Powracają nieusuwalne bariery własnego ciała, życia nie da się zastopować ani zapisać, w pętli

codzienności nie mają czasu by walczyć z jego postępującym rozpadem. W tym okresie przeskoku, gdy duch wraca do maszyny, gdy rzeczywistość formuje się z powrotem, przypomina to dezorientację po wybudzeniu. Wtedy świat telewizora i ich zwyczajny świat interferują ze sobą, pojawiają się marzenia o innym życiu. Perspektywa z drona wraca jednak w końcu do parteru.

Postanowił wejść na najwyższą z wydm. Szlak jej wędrówki wskazywał na to, że ułożył ją Ekshaustor. Nie można było odmówić megalomańskiego rozmachu ludziom, którzy potrafili kształtować teren, opanowując żywioł wiatru. Z góry zobaczył olbrzymią, usypaną ręką człowieka plażę i nieruchomą linię oceanu. Grupa ludzi, widoczna stąd jako czarne kreski, wędrowała na tle rozedrganego horyzontu.

Uważał, że w jego pracy liczy się intuicja i szczęście. Ta pierwsza podpowiadała mu, że twitter Patisona pozwoli mu dotrzeć do ludzi z jego otoczenia. Nie chodziło o to, by udowodnić, że korzystał z usług internetowych trolli podszywających się pod setki niestniejących profili. Przeróżne organizacje zatrudniały ich całe sztaby i nie robiono z tego wielkiej tajemnicy. Caution chciał dotrzeć do któregoś z tych, którzy byli odpowiednio blisko sprawy.

Skorzystał z prostego klucza. To było coś w rodzaju internetowej grafologii. Nie miał obecnie pieniędzy, by zatrudnić hakera. Czuł się zresztą wolnym strzelcem, freelancerem działającym w pojedynkę. Lemmy Caution nie lubił dzielić się sukcesem.

Wytypował osoby pod pseudonimami xoxo95, HARDtalk, newman, mr.green i Lazer. Wszyscy udzielali się na twitterze, popierając walkę z rządowym Zefirem. Nie chodziło o treść. Xoxo95 był dość radykalny, newman wyrażał obawy klasy średniej, mr.green skupiał się na ekologii, HARDtalk był haterem, a Lazer w mało wybredny sposób obrażał Koolhasa, ludzi ze Schwitters i z ratusza. Byli też Christopher Evans i Oliver Brown, współpracownicy Patisona z opozycji, którzy walczyli w internecie z Zefirem. Zatrudnionego trolla od zaangażowanego obywatela nie było łatwo odróżnić. W tym wypadku chodziło jednak o coś jeszcze. O ortografię, interpunkcję, stylistykę, układ zdania, powtarzające się słowa. Zarwał niejedną noc, żeby znajdować podobieństwa. Do tego wszyscy odzywali się jakąś minutę po sobie, z bezładną regularnością. Nie było możliwe, żeby czterech oficjeli głównej opozycyjnej partii umówiło się, że będą wrzucać wpisy w odmierzonych odstępach. Był pewien, że ta minuta to czas dla ghost

writera, na zalogowanie się na kolejny profil i wypuszczenie tekstu. Internetowy duch czuwający nad ich kontami w ferworze wydarzeń najwyraźniej nieco się zapędził.

Intuicja podpowiadała Cautionowi, że język ulicznych ekologów jest nieco zbyt poważny, a kolokwializmy mają ten dysonans, które czyni ich wypowiedzi nieautentycznymi. Brzmiało to jak w reportażach, w których autorzy starają się naśladować język prostych ludzi, z którymi rzekomo rozmawiali. Za to język wytrawnych polityków był zbyt barokowy, rozbudowany o przymiotniki i wysublimowanie, które pasowałoby raczej do domorosłego zapaleńca niż do doświadczonego gracza. Były to niuanse ledwo zauważalne i trudne do udowodnienia. W innej sytuacji zostałyby pominięte, ale Lemmy Caution zamierzał wykorzystać właśnie tę nieuwagę, to chwilowe zachwianie równowagi.

Był pewien, że znalazł najważniejszego trolla. Dlaczego akurat ten? Prowadził wiele głównych kont, choć zdecydowanie brakowało mu ostrożności. Zapewne miał wgląd w plany LOB i aktywistów. Musiał go odnaleźć. Każda droga jest dobra, by zdobyć newsa.

Wydawał trochę za dużo na rzeczy, których nie potrzebował. Niewątpliwie był wzorowym konsumentem. Kiedy parę lat temu zaczynał jako internetowy troll, musiał zadowolić się studencką kawalerką. Wtedy to była świetna praca. Spamowanie konkurencji, hejt na zamówienie i tym podobne. Potem awansował i zajął się zgłaszaniem tak zwanych treści niedozwolonych. To lubił najbardziej. Bawił się w cenzora, blokował strony i profile zgodnie z instrukcjami, a czasami, gdy coś mu się nie spodobało. Były w końcu targety do wyrobienia.

Dziś z Debby urządzali się w nowym szeregowcu. Oglądali taśmowo programy o gotowaniu i urządzaniu mieszkań. Słuchali wskazówek, a w weekend odpoczywali przy serialach. Pod namową jej znajomych z pracy poszli w produkty bio.

Roger lubił centra handlowe. Zawsze coś się działo. Darzył sympatią pogłos muzyki i przesuujące się witryny. Lubiał przychodzić tu, gdy inni pracowali, a miasto było senne i

opustoszałe. Nie było nic lepszego niż kawa na nasłonecznionym balkonie, gdy w dole, z jednostajnym szumem przesuwały się taśmociągi dróg szybkiego ruchu. Na szczęście nie musiał w tym uczestniczyć. Do pracy wystarczyła mu komórka.

Roger wjechał schodami na parking prześwietlony żółtymi pasmami. Pchał wózek wyładowany jedzeniem z wyższej półki i gadżetami do domu. Mógł sobie na to pozwolić, od kiedy ludzie z LOB wyciągnęli go z nizin sieci i wywindowali na sam szczyt PRu. Zauważyli go, bo po prostu miał talent. Był w stanie produkować komentarze bez przerwy i na dowolny temat.

Gdy otwierał bagażnik, w kieszeni zawibrował twitter. To był sam Patison, gwiazda opozycji i jej mediów, a to oznaczało, że musi wkroczyć do akcji.

– Uwaga! Jest przeciek z ratusza. Projekt Zefir się opóźnia, bo jego uruchomienie grozi katastrofą.

Sprytne i proste – pomyślał – fake news nie do zweryfikowania.

– Wow, jeśli to prawda, to ja się stąd wynoszę – Roger podbił dyskusję jako xoxo95 i szybko przelogował się na newmana – A rząd milczy. Jak zwykle zero informacji.

Ktoś pod nickiem Marlowe napisał – Z tego, co wiem, to wczoraj wydano oficjalny komunikat. Radzę się zainteresować, zanim się wypowiesz. Pozdrawiam.

Roger wzruszył ramionami – faktycznie trochę się pośpieszył, ale to było bez znaczenia. Zalogował się jako HARDtalk :

– Nie chodzi o komunikaty. Na górze przerzucają się komunikatami, a o ludziach się zapomina.

Wpis Patisona zaczął żyć swoim życiem. Po kaskadzie komentarzy zwykłych użytkowników nadszedł teraz czas, żeby dopuścić do głosu VIPów. Obsługiwał konta kilku najbliższych współpracowników Patisona. Ufali mu, zawsze prezentował oficjalne stanowisko partii. Co więcej, znał lub wymyślił styl każdego z nich, uwzględniał ich temperament, status i wiek. Co jakiś czas przysyłali mu maile lub zapraszali na spotkania, żeby wtajemniczyć w tę czy inną strategię. Oni spędzali weekendy daleko poza miastem, a on realizował ich kampanię.

Jego wpisy od razu zbierały po kilkadziesiąt polubień. Czuł, że jest na fali wznoszącej. Większość komentarzy była przychylna. Prorządowi spamerzy dopiero się logowali. Członkowie OBD i Schwitters.corp zostali zaskoczeni, a ich suche zapewnienia o transparentności programu tonęły w narastającym chaosie informacji i dezinformacji. Puścił jeszcze kilka plotek, wrzucił

przygotowany wcześniej filmik, na którym rzekomo było widać wyciek paliwa ze zbiorników jednej z dmuchaw. Olbrzymie konstrukcje, podobne do betonowych kapturew były mocno rozpixselowane, ale pod filmikiem inni zwolennicy LOB i szalejący aktywiści zaczęli nawoływać do protestów. Dyskusja się zaostrzała. Z obu stron włączyli się hejterzy i fanatycy i zaczęli obrzucać się obelgami. Nic tak jednak nie zaożnawiało sytuacji jak kpiny i zabawne memy oraz gify. Gdy wypakował zakupy do bagażnika, Twitter już zalewała fala postów, która powoli przelewała się na inne media społecznościowe. Jego filmik okazał się strzałem w dziesiątkę i zaczął infekować Facebook. Pomyślał sobie – czemu nie spróbować? Co prawda nie dostał instrukcji z góry, że to ma zacząć się dzisiaj, ale następny szczyt ruchu może zdarzyć się dopiero za kilka dni, gdy zostanie ogłoszony oficjalny moment uruchomienia Zefiru.

Zalogował się jako Christopher Evans. Stosunkowo neutralny, czasami powściągliwy, ekonomista o dobrych manierach. Głos rozsądku, który w odpowiednim momencie wkracza na scenę. Wystukał na klawiaturze:

– Panie i Panowie, nawet ja tracę cierpliwość. Miasto funduje nam hucpę naszym kosztem. Tu trzeba działać. Spełnijmy swój obowiązek.

Hasła wyjścia na ulice pojawiły się same. Po drugiej stronie ludzie wylali swój zapal. Kompletnie się z nimi nie identyfikował. Nie potrafił zrozumieć, po co marnują swój czas i energię. Sądził nawet, że Zefir mógłby rozwiązać problem smogu. W gruncie rzeczy wcale go to nie interesowało.

Przełączył się na Olivera Browna. Zapalczywy związkowiec o ciętym języku, nieowijający w bawełnę i nic nierobiący sobie z pozwów, musiał teraz ukierunkować zapal przeciwników ratusza.

– Dość tego! Zefir nie pokona smogu, to jest totalnie jasne. Potrzebne są inne środki. Musimy o nie sami zawalczyć. Proponuję, żeby jutro o 16.00 zebrać się pod ratuszem. Mówimy – sprawdzam! Odkryjcie karty!

Zanim Roger wyjechał z parkingu, odebrał smsa od Patisona – Dobra robota.

Kluby znikwały, wykwitwały w tym samym miejscu całkiem przerobione, pod zupełnie innym szyldem. I tak na przykład undergroundowa Rdza zmieniała się w elegancką Morfinę i tylko gdzieś w zakamarkach, spod obdrapanego tynku prześwitywały poprzednie warstwy, zostawał też ich wirtualny ślad w sieci, zamrożona strona miejsca, które już nie istniało.

Lemmy Caution zatrzymał samochód na tyłach stacji benzynowej. Roztaczał się stąd widok na purpurowe morze drgających świateł, bezwymiarową noc poprzecinaną pręgami linii komunikacyjnych i płynącą strumieniami reflektorów. Policyjny helikopter przemknął w brunatnej mgle.

Zrobił sobie spacer w dół drogi i wszedł w zaułek kryjący klubowe zagłębienie. Wibrujące sample wydobywały się z wnętrza lokali zapraszających cielesnym ciepłem. Wstąpił do znanego miejsca, Encre Noire zdefiniowanego gustowną, czarno-białą elegancją, pulsującego kojącą aurą relaksu z klasą i kliknięciami subtelnej muzyki micro house. Dziś nie było tu tłumu, a w drugim pomieszczeniu DJ grał do prawie pustej sali, co miało jakiś makabryczny posmak. Wokół kręciło się kilku bywalców klubów, wiodących równoległe, nocne życia, rządzące się innymi regułami. Ich oczy wydawały się naznaczone jakąś neonową obwódka, a spojrzenie lepkie i czujne jak u drapieżników.

Usiadł przy opalizującym białym blaskiem kubiku i zajrzał do telefonu. Roger chciał się spotkać przed lokalem Velvet Haze. Lemmy dopił tonik, rzucił spojrzenie jednej z tańczących i wrócił na ulicę.

Nigdy nie był w Velvet Haze. Jego piaskowa fasada, ozdobiona obłymi wypustkami przypominała ściankę wspinaczkową. Lokal nie sprawiał najlepszego wrażenia. Był podobny do kantyny z metalowymi stolikami i niekompletną szachownicą antypoślizgowych płytek pcv. Roger napisał mu, że będzie grał w automaty. Jakiś gość w zielonej bluzie z kapturem stał przed maszyną z napisem Speedball. Futurystyczni gladiatorzy w kiczowatych, obcisłych strojach, w przesadnie wielkich kaskach i ochraniaczach, zmagali się na usianej pułapkami arenie w brutalnej wersji rugby.

Internetowy troll nieco zawiódł Lemmego. Spodziewał się nerwowego nerda, a stał przed nim flegmatyczny facet, którego spokojnie można było pominąć wzrokiem. Do tego był dość

otwarty, wręcz gadatliwy. Sam naprowadzał rozmowę tak, jakby mu bardzo zależało na tym kontrakcie. Nie miało to posmaku wrogiego przejścia, potajemnej transakcji, a raczej było rozmową o pracę.

– Skorzystałeś z jakiegoś zaawansowanego oprogramowania śledzącego, czy po prostu strzelałeś w ciemno? Moje id są podobno dobrze chronione, generowane wciąż na nowo.

– Przeanalizowałem to dobrze. Nie korzystałem z niczyich usług. Działam sam.

Zobaczył lekką konsternację na twarzy Rogera. Zastanawiał się, dlaczego ludzie z LOB go zatrudnili. Był na wskroś przewidywalny.

– Ok, ale masz coś wspólnego z OBD? To znaczy pracujesz dla nich? Wiesz, zrozumiałem, że będę rozmawiał z kimś, kto umożliwi mi...no wiesz...interesuje mnie ta oferta.

Caution zaczął rozumieć, że w umyśle Rogera pulsowało wirtualne złoto, w wyobraźni z cyfrowego skarbcza medialnego potentata na jego konto przelewał się strumień dolarów.

– Tak, oczywiście jestem tu w imieniu OBD. Wszystko, o czym mówimy, będzie...to znaczy, ujmując to w prosty sposób, twoja wiedza na temat LOB i ich mediów może wygenerować sensacyjne newsy. Tam jesteś odtwórcą pewnych narzuconych ról. W OBD uzyskałbyś samodzielność. Ok, akcja ze zorganizowaniem demonstracji była świetna. U nas mógłbyś takie rzeczy robić od razu i za lepszą kasę. LOB to straszne sknery. Wiem, bo kiedyś też dla nich pracowałem. OBD zwerbowało mnie tak jak ciebie. Potraktuj to jako awans.

– Moglibyśmy zacząć od...na przykład od mojej wiedzy na temat tego, co ma się wydarzyć jutro.

Lemmy odstawił drinka i zbliżył się do stołu, tak, jakby chciał lepiej usłyszeć, co Roger ma do powiedzenia. To niesamowite – pomyślał – jest tak chciwy, że nie musiał go nawet namawiać. Wystarczyła wizja pracy w największym konsorcjum medialnym. Było widać, że ten facet jeszcze kilka lat temu pracował na samym dole mediokratycznej maszyny.

– Jutro zamieszki odwrócą uwagę kamer. Kilka osób z ruchu ekologów ma zamiar dostać się na Zefir. Chcą dokonać jakiegoś aktu, który obiegnie cały kraj. Nie wiem niestety, o co chodzi, o jaki rodzaj demonstracji czy działania.

Caution uśmiechnął się w duchu, ale na zewnątrz okazał miłe zaskoczenie. Miał kilka gestów, którymi zjednywał sobie ludzi.

– Brawo. Właśnie o to nam chodziło.

- Nie rozumiem?
- O taką informację. To...niezwykle cenne.
- Co z tym zrobicie?
- Jeszcze nie wiem – szczerze zamyślił się Caution, choć w jego głowie pojawiła się już wtedy egoistyczna myśl, którą później przekuł w czyn.
- Jest jeszcze jedno – zaczął Roger, udając pewne zakłopotanie.
- Oczywiście.
- Moglibyśmy przejść do kwestii wynagrodzenia?

Minął Wall Mart, magazyn meblarski, rozległe skrzyżowanie, ostatnią stację metra i rzędy parkingów park and drive. Dotarł na peryferie miasta, gdzie zawsze były te drobne zakłady mechaniczne, wulkanizacja, blacharz, ogrodnik, reklama opon Micheline.

Zefir widział już z daleka. Zajmował coraz większą część przedniej szyby. Dmuchawy stały ciasno obok siebie. Przypominały średniowiecznych mnichów oddających pokłon. Przsadziste kaptury z brązowego betonu, kryjące gigantyczne silniki.

Ochroniarze już wiedzieli. Przepuścili go przez punkt kontrolny. Śpieszył się, idąc przez betonowy plac. Zaczynała się złota godzina, czas fotografów. A jemu dzisiaj chodziło głównie o zdjęcie. Napędzała go adrenalina. Czuł, że warto to robić dla takich chwil.

Znalazł się u stóp Zefira, pod samym Eolem. Jechał zewnętrzną windą, wznosząc się ponad ulice barwy sepia, oślepiony blaskiem słońca rozlanego po zamglonym od smogu horyzoncie. Mijał billboardy reklamujące tropikalne raje, neosecesyjną nadbudowę rusztowań, napowietrzne łączniki, przemysłowe hale z prefabrykatów i użytkową architekturę korporacyjnych biur. Nad miastem wisiała jakaś technologiczna groza.

Na górze znalazł się na pierwszym z pięciu betonowych wzgórz. Mógł iść łagodnym łukiem i dzięki kładce znaleźć się na następnej konstrukcji. Dotarł do pierwszej z największych dmuchaw – Romulusa, gdy stały się dwie rzeczy.

Po pierwsze, na sąsiedni kaptur turbiny wspinały się dwie zamaskowane postacie, po drugie, usłyszał helikopter. W środku brudnej chmury nerwowo krążył snop światła.

Rzucił się pędem przez kładkę. Przez kratkę zobaczył ściany betonowego kanionu i jego ciemne dno. Wyobraził sobie, że zsuwa się w ciemność, strącony podmuchaem wirnika. Gdy znalazł się na szczycie exhaustora, zakreśliło mu się w głowie. Zrozumiał, że tamci muszą być po drugiej stronie krzywizny Remusa. Biegł, jak najszybciej potrafił. Odległość miała wielkie znaczenie. Obiecał sobie, że nie zatrzyma się, dopóki nie będzie w zasięgu idealnego strzału. Zobaczył ich po drugiej stronie. Byli przed nim, uciekali spłoszeni zbliżającym się helikopterem w stronę kolejnej kładki. Pomyślał, że musi teraz wykorzystać swoją szansę. Na pokonanie kolejnej z dmuchaw nie miał już sił. Rzucił się biegiem w dół wzgórza. Jeden fałszywy krok i runie w dół.

Był naprawdę blisko. Doganiał ich, sam nie wierząc, że jest w stanie pokonać kogoś w sprincie. Widział ich już wyraźnie, ich twarze osłonięte maseczkami. Odczekał do ostatniej chwili. To musiało wydarzyć się teraz.

Wtedy niczym operator zza kadru helikopter skierował snop światła na uciekinierów. Lemmy klęknął na jedno kolano. Wyrzucił teatralnym gestem wieko. Serce biło mu jak dzwon. Nie słyszał nic prócz dudnienia w uszach. Ustawił zoom, spojrzął na wykres naświetlenia. Już wiedział, że się uda. Wstrzymał oddech. Podniósł wizjer do oka i odliczył do trzech. Usłyszał, jak otwiera się i zamyka lustro aparatu. Potem robił kolejne serie. W pewnym momencie obaj aktywiści odwrócili się w jego stronę. Miał to.

Pruł szosą w stronę Las Vegas. Czerwień pustyni ciemniała, gdy słońce kończyło swoją dzisiejszą wędrówkę za poszarpanymi skałami rezerwatu. Puścił „Station to Station”, wiatr wpadał do kabrioletu, chłodząc twarz Lemmego gdy ten śpiewał wybrane słowa wraz z Bowiem.

Na wyświetlaczu iphona pojawiło się przychodzące połączenie. Włożył słuchawkę do ucha.

– Lemmy Caution, słucham?

– Dobry wieczór panie Caution. Camila Feder ze stacji LOB, ma pan chwilę, żeby porozmawiać?

Dzwonili od jego największego konkurenta. Wywiódł ich w pole, pewnie są wściekli, ale głos w słuchawce raczej na to nie wskazywał.

– Chcę panu pogratulować ostatniego newsa. To był pierwszorzędny ruch. Świetna praca, jesteśmy pod wrażeniem. Zepchnął nas pan do głębokiej defensywy.

Dzwonią, żeby wieszować mu zwycięstwa – pomyślał – mają na niego jakieś haki, chcą sprowokować? Nie, chodzi o coś innego. Domyślał się o co.

– Chcielibyśmy Panu zaproponować spotkanie. Mamy ofertę na atrakcyjnych warunkach.

Pruł dalej przez pustynię w stronę Nevady, żółte pasy zmieniały się w ciągłą linię, pustynne krzewy migały po obu stronach zacieśniającego się kanionu ciemności.

W weekend pojechał do willi znajomego z redakcji OBD. Spędzał czas nad basenem. Otoczenie ograniczało się do kilku kolorów. Niebieska woda, biel posadzki i jednostajna zieleń ciągnąca się po pozbawiony szczegółów horyzont. Ponad tym pruski błękit niezmaconego nieba.

– Odwołali uruchomienie dmuchaw. Bezterminowo. Ograniczyli się do rozruchu.

Vince starannie złożył gazetę i z uśmiechem zadowolenia odłożył ją na stół, by sięgnąć po negroni z lodem. Wydawał się zupełnie niewzruszony faktem, że konkurencyjna gazeta wieściła klęskę wizerunkową ratusza.

Lemmy spojrział znad leżaka na okładkę gazety. Ziarniste zdjęcie, zrobione przy dużej czułości matrycy, pokazywało fragment łopat Romulusa, burzę śmieci i smogu. Zdjęcie przedstawiało nieudany rozruch zeszłej nocy. Powietrzna trąba wzbijała mgliste kłęby. Prawa strona kadru przechodziła w czerni usianą kolorowymi przebarwieniami marnej jakości fotografii.

– Jako powód podali sabotaż ekologów związanych z LOB – powiedział Lemmy Caution.

– Wiem, bo sam przygotowywałem komunikat dla wiadomości – odparł Vince.

– Ale...

– Ale dostałem instrukcję wieczorem przed całą aferą. Zanim ty zrobiłeś zdjęcie na górze, ja przygotowałem już interpretację tego, co się stało.

Lemmy domyślał się wszystkiego, ale teraz dotarło to do niego w pełni. Przeczucie zmaterializowało się i uderzyło go z całą swoją bezwzględną mocą.

– Wiedziałem, że ochrona musi przepuścić ekologów, żeby to się udało, ale nie sądziłem, że to było od początku ukartowane.

– Ty to ukartowałeś, podsunąłeś pomysł. Dla Schwitters i ludzi z rządu zostałeś bohaterem. Mimowoli, ale jednak. Namierzyłeś tego propagandzistę, zwerbowałeś go i dostarczyłeś informację o planie sabotażystów. Potem zrobiłeś całkiem dobre fotki, które leciały na każdej stacji. Podobają mi się te zdjęcia. Nawet wyabstrahowane z kontekstu. Wtedy nawet nabierają mocy. Są filmowe.

– Sabotaż to nieco zbyt dużo powiedziane. U tych ekologów znaleziono kilka sprejów. Śledztwo wykaże, że chcieli za pomocą graffiti wzmocnić komunikat demonstracji, która szła ulicami.

– To nie ma takiego znaczenia. Oskarżono ich o próbę zamachu. Ratusz ma świetne podstawy, by zatrzymać działanie Zefira i uniknąć katastrofy. Już od jakiegoś czasu było jasne, że to nie zadziała. Można się zastanawiać, czy oszukał nas twórca Zefira i na jakim etapie zdano sobie z tego sprawę. To nieważne. Dzięki twojemu śledztwu i zdjęciom znalazł wyjście z pułapki. Nie musi się przyznawać do porażki. Wszystkim obciąży przeciwników. Opinia publiczna to chwyci. Terroryzm, sam wiesz.

– Ok, a co, jak prawda wyjdzie na jaw – zapytał Caution i od razu zrobiło mu się wstyd.

Zobaczył, jak Vince patrzy na niego spod okularów Lagerfelda ze świadomie przesadzoną kpina.

– Prawda, półprawda, postprawda. Zieloni są sami sobie winni. To był naprawdę nietrafiony pomysł. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jakie były ich pobudki. Nikt tak bardzo nie bał się Zefira jak LOB i spółka. Smog jest pożywką dla ich działania. Wokół niego kręci się interes z dotacjami i cały ten cyrk.

Lemmy sięgnął po kawę. Jeśli przez jego głowę przeszedł cień wątpliwości, to teraz rozproszył się w łagodnym błękitcie nieba. Zdał sobie sprawę, że pierwszy raz od dawna czuje się po prostu wyspany. Był trochę oszołomiony tą całą sytuacją, ale wierzył, że gdy się do niej przyzwyczai, wróci cała równowaga, to skryształizowane poczucie własnej osobowości.

– Dlatego ja pracuję dla OBD, jakby to powiedzieć, dla czystego zarobku. Traktuję to, jak wykonywanie poleceń, nie zagłębiam się w abstrakcyjne rejony. Wiesz w ogóle, że wracam do pisania? Jakiś reportaż, a może powieść. Wolę wymyślać historię od początku.

Lemmy nie słuchał już Vince'a. Wpatrywał się odległy horyzont.

– Po weekendzie spadną na ciebie wszelkie zaszczyty. Jak się z tym czujesz? – zapytał Vince.

– Świetnie – odparł Lemmy – doprawdy świetnie.

Vince spojrział na niego podejrzliwie i podszedł na skraj basenu. Wskoczył do niego, pozostawiając za sobą biały rozbryzg wody.

Symulakr

Gdy Lemmy Caution obudził się po ciężkiej nocy, otworzył szafę i znalazł w niej swoje zwłoki. Wyglądały zupełnie jak on sam, z tą różnicą, że były całkowicie pozbawione życia. Lemmy sprawdził to, zanim strach i odraza nie kazały mu uciec. Wyszedł ze swojej nowej, przeszklonej willi i przejechał się serpentynami w stronę oceanu.

Wrócił i znów otworzył szafę z nadzieją, że miał kokainowe przewidzenia. Drzwi były lekko odsunięte, najwidoczniej nie domknął ich rano omdlały ze strachu. W ogóle wydawało mu się, że nie pamięta dzisiejszego poranka. Ku jego przerażeniu leżał tam nadal, identyczny z jego własnym odbiciem w wielkim lustrze. Nadal był zimny, ciężki i bezwładny.

Zaczął się martwić, co powiedzą ludzie, gdy dowiedzą się, że wschodząca gwiazda dziennikarstwa trzyma w szafie swojego własnego trupa. Zapewne oskarżono by go o to, że zwariował. Co za wstyd umrzeć – pomyślał.

– Skąd się wzięłeś? – zapytał na głos, ale słowa grzęzły mu w gardle – Co to za koszmar?

Zrobiło mu się żal swojego sobowtóra, gdy dostrzegł, jaki jest spokojny i bezbronny. Tłumiąc płacz, wcisnął swoje ciało pod materac i spryskał pokój perfumami od Roberta Piguetta. Potem usiadł na łóżku i zapłakał nad swoim osamotnieniem. Gdy zebrał się w sobie, postanowił, że poradzi sobie z nową sytuacją i kiedyś zepchnie ją w niebyt, jak coś, co nie ma wytłumaczenia i jest zbyt przykre, by o tym pamiętać. Jak cudem uniknięty wypadek na drodze. Odkrycie swoich zwłok pod świeżo wyprasowanymi koszulami wytrąciło go jednak daleko poza orbitę przytulnej codzienności. Skupił wszystkie wysiłki na tym, żeby jak najszybciej do niej wrócić.

– Wiesz – powiedział jej Trevor – przyszło symulakrum, jest już na mieście. Według niego dokonała się jakaś przemiana i znaki całkowicie uniezależniły się od swoich znaczeń. Kazał jej włączyć wszystkie media, każdy monitor, jaki ma i obserwować, jak rzeczy zaczynają się replikować. Sam miał zamiar pojechać do centrum medialnego OBD.

Abbey czuła zirytowanie wynikające z faktu, że ma za dużo opcji spędzenia tego wieczoru. W gruncie rzeczy na żadną nie miała dostatecznej ochoty. Trevor, ten nawiedzony gość z zespołu, w którym do niedawna udawała, że występuje, wyprowadził ją dodatkowo z równowagi. Podeszła do okna, w którym odbijała się misterna polichromia miasta. Bulwar wypełniał się ludźmi, wiatr poruszał girlandami wielobarwnych świateł. Mieszkała tu od niedawna i zwykle wyglądała przez okna już po zmroku. Nie była pewna, czy białe linie na horyzoncie to spienione grzywy fal uderzające o falochron. Widziała za to stada ptaków krążących ponad portem.

Przejrzała wiadomości, jakaś propozycja sesji, nieznane nazwisko, więc usunęła wiadomość, za to zdjęcia w Harpers Bazar zbierały pozytywne recenzje. Abbey przypominała sobie o wyjściu do Egoist. Ma być kilka ważniejszych nazwisk, jakiś występ tej egzaltowanej performerki. Pracowały razem przy jednym spocie. Chciała poczytać o tym, ale się zawiesiła. Jej iPhone zaczął pluć zapętloną kaskadą okien. Jej cała historia przeglądania, filmiki, gify, reklamy wywołane przez adwords, wszystko czego szukała, czym żyła w ostatnich miesiącach lub po prostu trywialna codzienność, której nawet nie pamiętała. Chyba jej telefon złapał wirusa. Zresetowała go i odłożyła na szklany stolik pod telewizorem. To był jedyny mebel, który kupiła do tego mieszkania. Szklany stolik z cienkimi nogami ze złoconego brązu i promieniście rozchodzącym się wzorem w stylu art deco. Pasował do złotych, geometrycznych grafik na czarnym tle, wiszących wzdłuż jednej ze ścian. Pilotem włączyła światło w drugiej części długiego salonu. Wtedy zadzwonił Lemmy Caution. Zawsze podekscytowany, w stylu szalonego reportera, teraz udawał spokój, co wydało jej się od razu nienormalne.

– To zabawne, przed chwilą dzwonił do mnie nasz wspólny znajomy, Trevor i wygadywał dziwne rzeczy.

– W to akurat uwierzę. Co mówił?

– Bredził. Na przykład o tym, że symulacje osiągnęły swoje najbardziej dojrzałe stadium. Znaki zastąpiły rzeczywistość, zaczęła się jej fragmentaryzacja. Tak to chyba określił. Fragmentaryzacja rzeczywistości czy coś w tym stylu. Natłok bodźców sprowadził ludzi do biernych obserwatorów. Nie możemy już tego zatrzymać ani zrozumieć, co jest czym. Przez ten natłok znaczeń, informacji, symboli, fake newsów. Powiedział, że to magma. Nie widziałeś go w OBD? Pojechał tam.

– Wygląda na to, że ja też jestem źródłem tej magmy. Zresztą, to, co mam ci do powiedzenia, jest dużo bardziej...nawet nie wiem, jak to nazwać, skomplikowane, dziwne, po prostu nie do wyobrażenia – powiedział Lemmy.

Dopiero teraz usłyszała głos właściwego Cautiona, którego poznała przez Trevora, gdy Lemmy promował w OBD ich pierwszy i jedyny teledysk. Już wtedy miała za sobą kilka znaczących sesji i pokazów. Jej delikatna i zarazem trochę wyzywająca twarz była jedyną rozpoznawalną rzeczą w tym zespole.

– W świecie mody słyszałam już wiele rzeczy, które podobno były nie do wyobrażenia.

Abbey dostrzegła, że obraz w telewizorze zaczyna się zmieniać. Coś niepokojącego zaczęło się dziać z kolorami. Twarze aktorów najnowszego blockbustera zatrzymały się po serii przeskoków. Wzięła pilota i włączyła światła w sąsiednim pokoju. Poszła do korytarza i oparła dłoń o tapetę w złote łuki przywodzące na myśl Rockefeller Center. To, co powiedział Lemmy Caution, uznała na początku za jakąś nietrafioną przenośnię, następnie za przejaw jego czarnego humoru, a potem miała ochotę rzucić iPhonem o ścianę.

Zmatowiały od brudu i oklejone plakatami szyby klubu wyświetlały najnowsze teledyski. Przeszedł przez korytarz wyłożony panelami. Spod niekompletnej układanki plastiku wystawały kawałki luster.

Abbey chyba nie uwierzyła w to, co jej opowiedział o znalezieniu swoich zwłok, ale niechętnie załatwiła mu numer do tych ludzi. Kilka razy podkreśliła, że ich nie zna, że to znajomi znajomej, nikt, z kim porządny człowiek powinien mieć do czynienia. O dziwo oni podobno znali Abbey.

Lemmy Caution uświadomił sobie nagle, że czuje się słabo, jakby dopadła go gorączka. Poszedł do wyłożonej lustrami łazienki i zobaczył, może była to wina zimnego oświetlenia, że jest blady. Miał sińce pod oczami i krople potu na skroniach. To strach – pomyślał – dopadł go po długiej przerwie. Znalazł słaby punkt jego bariery ochronnej.

Lokal wypełniały nitki światłowodów, replikujące się w lustrach w nieskończoność. Z czasem kojące pulsowanie deep housu zastąpiły niepokojąco fluktuujące dźwięki eksperymentalnej elektroniki. Od razu rozpoznał ludzi, z którymi miał się spotkać. Dopadło go dziwne uczucie, jakby ktoś wstrzyknął mu narkotyk. Na chwilę powierzchnie rzeczy straciły ostrość, zaczęły rozjeżdżać się w krótkich interwałach jak źle dostrojona transmisja. Otrząsnął się, wracając do rzeczywistości. Widział ich teraz całkiem przytomnie. Jeden w beżowym płaszczu, pod krawatem, o smutnej twarzy i włosach spiętych w krótki kucyk oraz jego wykidajła w odblaskowym ortalionie.

– Ok, pani Abbey mówi, że potrzebuje pan czegoś.

– Zgadza się – odpowiedział Lemmy, opanowując drżenie głosu.

– Od razu chciałbym wyjaśnić zasady. Zero wtajemniczonych, pełna dyskrecja. Pani Abbey za pana ręczy. I jeszcze jedno – nie wchodzi w grę żadna mokra robota.

– Tak rozumiem. Tylko tu chodzi o mokrą robotę.

Tamci spojrzeli na siebie.

– Zapłacę dobrze. O wiele więcej niż moglibyście zarobić na prochach.

– Do ceny przejdziemy później.

– Trzeba coś wywieźć.

Człowiek w płaszczu dotknął palcem ust na znak, że Caution ma milczeć.

– Chodzi o jakiś cenny przedmiot?

– Można tak powiedzieć. Nie, w zasadzie to nie jest cenny.

– Gdzie mamy to wywieźć?

– W zasadzie to wszystko mi jedno. Chodzi o to, żeby to zutylizować. Trzeba to spalić i zapomnieć – powiedział Lemmy, starając się znaleźć wzrokiem jakiś ostry punkt.

– Jakie ma rozmiary?

– Dokładnie 187 centymetrów i waży jakieś 85 kilogramów.

– Trzymaj się od nas z daleka – powiedział tamten. Chyba wybrał niewłaściwych ludzi – pomyślał Lemmy.

– Jeśli jesteś z policji, to źle trafiłeś. Tej rozmowy nie było, rozumiesz? Nie było – wycedził samuraj w kucyku i ruszył do wyjścia. Pomocnik w ortalionie wzruszył ramionami i powoli podążył za nim.

Lemmy Caution dobrze znał budynek OBD, jego schodzącą poszarpanymi stopniami, ponacinaną ozdobnymi żłobieniami fasadę. To stąd media promieniowały w eter zbiorową halucynację. Smukła funkcjonalna forma, stróżki okien w litej, szarej masie betonu, diagonalny i zygzakowaty design przywodzący na myśl elektryczność, terakotowe ornamenty i neon potentata medialnego świecący nad miastem jak jakiś znak Batmana. W środku setki monitorów wypełniających pomieszczenia niebieską poświatą, nabożna cisza w świątyni mediów, antyczne murale w holu w migoczących światłach monitorów, informacje spływające strumieniem z całego świata, zwoje kabli, konsole z suwakami. To było jego środowisko, dopóki nie przenieśli go na przymusowy urlop. Od dwóch tygodni, które wydawały mu się wiecznością, trwał w zawieszeniu.

Jego ostatnie działania zaprowadziły go na prawdziwy rollercoaster. Najpierw chwila chwały związana ze sprawą projektu Zefir, potem krytyka nowej serii geminoidów, która ściągnęła na niego gniew korporacji Schwitters. Serię artykułów i wirali firmował swoim nazwiskiem. OBD odcięła się od niego, gdy okazało się, że nie trafił na falę i w pewnym momencie poszedł zbyt ostro. Zaszły się na przymusowym urlopie w nowej willi na wybrzeżu.

Za masywnym stołem siedziała kopia androgenicznego Davida Bowiego, jego formalna szefowa, prywatnie znajoma.

– Witaj Caution. Źle wyglądasz, przystopuj trochę – powiedziała zza pulpitu – i pamiętaj, że jesteś tu całkowicie prywatnie. Nawet nie prosź mnie o cofnięcie zawieszenia.

– Proszę o cofnięcie zawieszenia. Potrzebuję danych.

– Przypominam ci, że jesteś na przymusowym urlopie.

– Chcę wrócić do pracy – krzyknął.

– Nie wątpię. Podobno starałeś się zalogować kilkadziesiąt razy.

– Bez systemów nie mogę pracować. Wycofuję urlop.

– Dostałeś go dla swojego własnego dobra. I dla naszej reputacji.

– Waszej...reputacji? - Zapadła chwila ciszy, w czasie której mierzyli się wzrokiem.

Szefowa spuściła głowę.

– Lemmy...

– Schwitters stara się mnie w coś wrobić. I nie tylko mnie. Mam poważne podstawy, by sądzić, że media... – Lemmy zatrzymał się, by wziąć oddech. Szefowa oparła łokcie o dębowy blat.

– No dalej...

– Mam poważne podstawy, by sądzić, że konkurencyjne media wypowiedziały coś w rodzaju wojny dezinformacyjnej albo przynajmniej testują taką możliwość. Kompletna bomba informatyczna, wirus dezinformacji, który rozłoży tkankę cywilizacji. Coś się dzieje z łącznością.

– Chyba oszalałeś Caution. Pleciesz jak radykałowie z Kongresu. Nawet gdybyś miał rację..., musielibyśmy wtedy odpowiedzieć zmasowanym atakiem fake newsów. Zresztą to nie dzieje się od dzisiaj. Fake newsy, hakerzy, spamerzy, wypuszczanie plotek, dezinformacja. Co ty Caution, urwałeś się z choinki, nie wiesz, gdzie pracujesz? Rozejrzyj się i oprzytomniej. To tylko telewizja, fale w przestrzeni. Poza tym kto uratował korporację Schwitters i rząd w sprawie Zefiru? Ty Caution, ty wbrew faktom.

Zapadła kolejna pauza.

– Wróćcie mi loginy?

– Nie.

- To nie, zaczynam działać na własną rękę.
- Bardzo dobrze Caution. Bardzo dobrze. Wróć, jak ci przejdzie.
- Żebyś wiedziała, że wrócę. I to z takim materiałem, o którym ci się nie śniło.

Zobaczył porsche Abbey, niedbale zaparkowane przed jego tarasem. Zapadał już zmrok, czerwona łuna zmierzchu stapała się z blaskiem miejskich świateł. Było niemal gorąco, cykady huczały niczym w upalne południe.

– Powiesz mi Lemmy, co się tutaj dzieje? – zapytała go z mroku werandy, gdy otwierał zamek. Jako pierwsze zobaczył obwódki jej białek, potem drobne zęby, błękit soczewek kontaktowych i ściągnięte policzki. Przybrała swój lekceważąco–zaferowany wyraz twarzy. Była wystrojona na imprezę. Ucieszył się, że ją widzi.

– Tak Abbey. Wpakowałem się w niezły numer.

– To chyba norma, prawda?

– Tylko, że teraz nie będę z tego nic miał.

– Naruszyłeś czyjeś terytorium czy po prostu przeholowałeś z imprezami? – zapytała Abbey, gdy usiedli w półmroku.

– Pamiętasz, jak przekazałaś mi, co mówił Trevor?

– On mówi dużo rzeczy. Serio przywiązujesz do tego wagę? – Abbey uniosła kącik ust.

– Tym razem coś jest na rzeczy. Te zdarzenia...albo inaczej, żadne zdarzenie...żadne zdarzenie nie ma już szans zaistnieć. Wszystko natychmiast przejmuje OBD lub inna stacja, przetwarza, pozbawia jego istoty, ocenia i wypluwa, zanim coś w pełni się dokona. Nie ma sensu szukać przyczyn, ciągów zdarzeń, wyrażać swojej opinii.

– Dlaczego?

– Bo wszystko ma charakter iluzji. Nie stoi za tym nikt, jedynym celem takiej OBD jest podtrzymanie symulacji. Tyler ma rację. Najpierw był obraz odtwarzający rzeczywistość, potem

było jego wypaczenie, a teraz medialny obraz nie wykazuje już żadnych związków z rzeczywistością. Nastąpiła jakaś implozja sensu. Pozostało widmo.

– Ok, jak sobie uważasz. Ale jak to się ma do twoich problemów? – Zapytała Abbey, zaciągając się dymem.

– Schwitters. Zgłosił się do mnie jakiś ich fachowiec, który chciał się zemścić na pracodawcy i zaproponował materiał o nowej generacji geminoidów. Zrobiłem prywatne śledztwo, zdobyłem od niego trochę wiadomości. Napisałem materiał krytykujący pomysł tworzenia robotów–lalek, łudząco przypominających ludzi. Serwomotoryka, głos, sztuczna skóra, temperatura. Według wytycznych Schwitters mają osiągnąć olbrzymi stopień realizmu. Napisałem, że nigdy bym czegoś takiego nie kupił.

– Naprawdę tak myślisz? W sumie co w tym złego? Domyślam się, że to niewiele umie.

– Myślę, że niewiele więcej niż japońskie roboty–zabawki z wbudowanym botem. Mimo wszystko pomyślałem, że to dobry materiał i przekonałem szefową, żeby to puścili. Pech chciał, że zrobiłem to akurat w momencie, gdy Schwitters i konkurencyjne media testują najnowszą broń – plazmę iluzji. Rozmiękcza wszystko na swojej drodze i wchłania jak galaretę.

– I sądzisz, że chcą cię wchłonąć za to, że jako jeden z bardziej poczytnych dziennikarzy w mieście skrytykowałeś ich nowy produkt?

– Tak, myślę, że to, co mi podzucili, jest tego powodem.

– Masz przerąbane, ale nadal myślę, że porządnie ci odwaliło Caution. Nie mówiąc już o tych jajach z własnym trupem. O co ci chodzi? To jakaś przenośnia w stylu Trevora, idziesz jego śladem?

– Choć pokażę ci – powiedział Caution, jak gdyby chodziło o fotkę z wakacji.

– To jest lalka – powiedziała Abbey ze stoickim spokojem. Jej chłodny wyraz twarzy nie zmienił się ani na chwilę gdy pędziła po wirażach Mulholand.

– Wiem. Realistyczna do granic możliwości dzisiejszej technologii. Musieli mi ją podrzucić jak byłem na haju.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu jej nie wywalisz do śmietnika, dlaczego chcesz za wszelką cenę ją ukryć?

– Nie wiem Abbey. Boję się, że jeśli ktoś się dowie, to będę skończony. Pomyśl tylko.

– Spójrz na to z innej perspektywy.

– Jakiej?

– Masz swoją figurę woskową. – Roześmiała się i dodała gazu na prostej. Potem zjechali w bok, minęli jakiś piętrowy motel przy stacji benzynowej, osiedle baraków i wjechali w wąwóz.

– Nie masz wrażenia, że ktoś za nami jechał - zapytała Abbey, gdy Lemmy wyciągnął z jej bagażnika czarny, ciężki worek.

– Teraz to ty przesadzasz.

– To ty zakopujesz swojego trupa. – Abbey podała mu szpadel.

– Czekaj, słyszysz? – powiedział Lemmy, szeroko otwierając oczy.

– Chyba ją uruchomiłeś – rzuciła niedbale Abbey. Wydawało się że, to wszystko ją bawi. Pod plastikowym workiem coś się ruszyło, czarne fałdy ułożyły się w kształt ust.

– Muszę to wyłączyć – tłumaczył gorączkowo Lemmy starając się rozerwać materiał kluczem – wiem co powiesz, co za różnica. Zaraz zwymiotuje.

– Witaj. Uruchomiłeś program karakumi. Wybierz jeden z dostępnych języków i przejdź do parametrów głosowych – mówił gumowy Caution próbujący złapać ostrość na twarzy drugiego Cautiona. Twórcy lalki musieli przeanalizować jego głos z wywiadów i spersonalizować. Brzmiał trochę kanciasto i beznamiętnie, ale ton i modulacja się zgadzały.

– Jak to wyłączyć do cholery?!

– Gdzieś z tyłu we włosach pewnie jest przycisk. Czekaj, ja to zrobię – Odsunęła go Abbey. Wzdrygnęła się sięgając do worka. Włosy były nieco zbyt ostre, ale ładząco prawdziwe.

– Pomóż mi przerzucić go na plecy

Caution zgiął mechanicznie rękę, jakby chciał ją im podać. Przewalili go na bok. Lemmy świecił telefonem. Abbey wymacała paznokciem wyłącznik.

– Czy chcesz wyłączyć program? – zapytał leżący Caution.

– Tak, do cholery.

- Chyba cię nie rozumiem, powiedz trochę głośniej.
- Tak, chcę wyłączyć program!
- Dziękuję. Do widzenia Lemmy. Miłego dnia.
- Eh, okropne – zachnęła się Abbey.

Lemmy chwycił szpadel i zabrał się do roboty. Pod koniec jego koszula lepiała się do ciała. Czoło miał brudne od ziemi.

Abbey odwiozła go do domu. Nalał sobie drinka i postanowił, że zadzwoni do Tylera. Odebrał za trzecim razem. Jego głos tłumilo dudnienie metra.

– Co robisz? – zapytał bez wstępu Caution. Kręciło mu się w głowie od niewyspania i był w podłym nastroju.

- Byłem w centrum OBD, pytałem o ciebie.
- Widziałem się z Abbey.
- Po co? – zapytał niechętnie Tyler.

Caution opowiedział mu całą historię ze swoją kopią. Tyler był pod zdecydowanie mniejszym wrażeniem, niż się spodziewał.

- Abbey sądzi, że jestem pod twoim wpływem.
- Co masz zamiar z tym zrobić? – zapytał Tyler.
- Jedyńm wyjściem jest całkowite wylogowanie albo zanurkowanie w ten szum – odpowiedział Caution.
- Abbey ma rację.
- Z czym?
- Chyba przerosła cię ta sytuacja – powiedział Tyler. Lemmy był zawiedziony. Pożegnał się z Trevorem i rozłączył się.

Był nadal niewyspany, długie dni zwały się z krótkimi nocami w jeden ciąg, ale czuł się wręcz euforycznie szczęśliwy. Zadzwoił nawet do OBD i dowiedział się, że szefowa chce się z nim spotkać. Postanowił, że przejedzie się do miasta, weźmie prasę, zje dobry lunch i wróci do normalności. Zadzwoił do niego Tyler, ale Caution nie miał ochoty rozmawiać o medialnej apokalipsie i rzeczywistości wchłanianej przez jej własny hologram. Odciał się od tego.

Gdy był na stacji metra, ktoś go zaczepił. Początkowo myślał, że nagabuje go jakiś wolontariusz, ale tamten miał całkowicie poważną minę. To, co wziął za ulotkę, było wizytówką korporacji Schwitters z hologramowym logo, przedstawiającym trzy technokratyczne piramidy. Przez chwilę bawił się prostokątem, podziwiając złudzenie trójwymiarowości.

– Dziękuję, ale nie mam czasu – powiedział, oddając wizytówkę człowiekowi korporacji. Ten schował ją do kieszeni kaszmirowego płaszcza i wyjął z niej odbitkę zdjęcia. Przedstawiało Lemmego pakującego swojego gumowego sobowtóra do bagażnika porsche. Ktoś musiał je zrobić jakieś czterdzieści godzin temu.

– Panie Caution, porozmawiajmy.

Musiał długo czekać, gdy przywieźli go do swojej siedziby. Z zewnątrz zapamiętał ciemny budynek Schwitters. Między szklane prostopadłościany i centra innych wielkich firm wklejono grafitowo-kobaltową, ściętą w trzech czwartych piramidę o chropowatych ścianach. Piękno i majestat tej konstrukcji zdawały się emanować i przenosić na wszystkich jej pracowników wchodzących po kamiennych schodach otaczających podstawę obiektu. W środku panował funkcjonalny Bauhaus. Gdy jechał wysoko w górę jednym z szybów wydrążonych w świątyni Schwitters, zastanawiał się, kto stoi na jego szczycie i z czym tak naprawdę ma do czynienia. Odpowiedzią był półokrągły stół, za którym siedziało sześć osób w różnym wieku. Z niepokojem stwierdził, że wszyscy ci ludzie o surowym spojrzeniu oczekiwali na niego. Na stole stała miska z daktylami, które przypominały mu lśniące karaczany. Kojarzyli mu się z jakąś radą technokratycznych gnostyków, oddanych poznaniu wyższego bytu ekonomii. Jeden z mężczyzn, odróżniający się od reszty młodszym wiekiem oraz stylem przywodzącym na myśl kolonialny szyk Lagerfelda, poprosił go, by usiadł.

Część sali stanowiło studio telewizyjne. Ekipa operatorów kamer obskoczyła go, ustawiając sprzęt i oświetlenie.

– No więc, tak, jak się umawialiśmy. Trzymamy się planu. Proszę zamknąć to w maksymalnie trzech minutach.

Światła reflektorów, wycelowane w niego oskarżycielsko, odcięły go od reszty świata. Przeciągły dźwięk oznaczał, że ma zacząć mówić. Zapanowała długa pauza, w czasie której wyobrażał sobie własną postać w oku kamery. Wydawało mu się, że zamknął na chwilę oczy. Otworzył je i zaczął mówić. Odtąd był tylko jego własny głos, choć wydawało mu się, że należy on do kogoś innego.

– W dzisiejszych czasach wszystko się zmienia. Zmieniają się też poglądy. Czasami zbyt wolno. Zbyt wolno, bo nie potrafią uchwycić wektora zmian. Czasami po prostu nie wiemy, skąd wieje wiatr. Dziś postępujemy, jutro stajemy się wsteczni. Zaskoczeni nurtem nagle płyniemy pod jego prąd.

Wydawało mu się, że jego głos coraz bardziej się oddala. Obserwował siebie samego z zewnątrz, a jednocześnie był samym sobą. Coś zaczęło rozświetlać jego wnętrze, odrębne, niewidoczne światło. Formowało się w coś namacalnego.

– Znacie moje nazwisko. Jestem twarzą OBD, jestem głosem z waszego telewizora, który kształtuje wasze postrzeganie świata. Przeze mnie przeciekają sygnały, jestem aksonem społeczeństwa informacji. Jestem medium pomiędzy widmowym światem za oknem, a waszymi zmysłami. Jestem po to, by utrwalac na krótki moment ten świat, tworzyć jego chwilową, zniszczalną kliszę. Żeby to zrobić, muszę iść z prądem czasu.

Poczuł, jak jego słowa oddzielają się od niego bez wysiłku. Umysł skupił na wewnętrznym, niezależnym monologu.

– W pewnym momencie spóźniłem się. Zrobiłem fałszywy krok. Poszedłem w to. Poszedłem w kampanię przeciwko ludzkim lalkom Schwitters modelu karakumi. Poszedłem w zbyt ostry zakręt i nie wyrobiłem się. Zaatakowałem ten projekt, oskarżyłem go, choć nie było to

przemyślane. Jestem świadomy, że zdanie takiego źródła jak OBD może przekreślić jakieś przedsięwzięcie lub tchnąć w ludzi nadzieję. Ja tę nadzieję zgasilem.

Mówił dalej, podczas gdy w światło w jego wnętrzu przybierało na sile. Uformowało się w kulę. Niedosięgalną, będącą emanacją jego własnej jaźni i jego własnych poglądów. Odbijała światło reflektorów. On kłamał, podczas gdy ta kula jego własnej osobowości pozostawała bezpieczna.

– Potem postanowiłem spróbować. Przemyślałem to. Kupiłem własną lalkę Schwitters, kupiłem swojego własnego sobowtóra. Coś, co wydawało mi się przerażającą kopią z niedorozwiniętym ciałem i inteligencją zabawki jajka Tamagochi, było czymś zgoła innym. Okazało się, że to świetna zabawa, która porusza nasze najczulsze gesty człowieczeństwa, która budzi naszą ludzką ciekawość. Zrozumiałem, że ludzkie lalki Schwitters to przyszłość, przyszłość, która już tu jest. Dziękuję.

Zakazany algorytm

Trzy grzechoty kadzidła i pauza, znów trzy potrząśnięcia łańcuchem i przerwa. Gęsta woń dymu zmieszała się z półmrokiem i głębokim mručeniem chóru. Cerkiew wypełniło ciche, euforyczne samoumartwienie.

– Zamknijcie drzwi, idzie przeciąg – powiedział ktoś do spóźnionych wiernych. Na chwilę ugięły się płomienie świec, by na powrót wrócić do swej żywej, strzelistej formy.

Nicolae patrzył za okno drewnianej świątyni. Wędzone, podszyte smogiem mgły znad Zadniestrza zaległy nad lasem i blokowiskami. Gdzieś straszyły czarne wyrwy, z których wciąż ział strach dawnej wojny domowej, krótkiej, lecz głęboko wrzynającej się w pamięć kolejnych pokoleń. Przeszłość zdawała się zaciskać nad ludźmi podobnie jak bieda. Z tą drugą, wszyscy byli dotąd pogodzeni. Miała ona w sobie coś czysto pierwotnego, słoje ubóstwa rosły z roku na rok, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Nicolae nie mógł się opanować, by nie spojrzeć na komórkę. Był pewien, że inni też robią to ukradkiem. Dziś rano kupił trochę zakodowanych glifów, terabajt spamu i ponad tonę wirtualnego cyrkonu. Po raz kolejny przestawił się na krótką grę i po raz kolejny notował spadki. Miał złą passę. Jedni ufali szczęściu, inni analizie technicznej, jeszcze inni wróżkom lub modlitwie, ale prawda była taka, że wszyscy zdani byli na los wirtualnych sił, o których mieli jedynie blade pojęcie.

Przypomniał sobie, że wczoraj za ethereum i bitcony kupił też jakąś walutę o skrócie mln – melancholina, kolejna widmowa kryptowaluta, nic nieznaczący blok cyfr i nazwa przywodząca na myśl czarną żółć, olej tęsknoty i mazistą manifestację straty. Formacja flagi na wykresie

sugerowała spory potencjał. Wszedł w wykres i mało nie wypuścił Samsunga z ręki. Szpica wzrostu wychodziła poza ekran.

Sprzedawaj, sprzedawaj – szeptał do siebie. Na co, nie ważne, ethereum wydawało się najstabilniejsze. Nie było już nic trwalszego, nic co nie podlegałoby gwałtownym wpływom rynku. Ciągły ruch i zmiana, ciągła świadomość zmieniających się w tle cyfr, były wpisane w ich życie. Nagle stał się bogaty.

Codziennie rano sprawdzał stan konta, wykresy, fora i prognozy. Był pewien, że w tej chwili robią to też jego sąsiedzi. Przez noc mogło się wiele zmienić, do gry włączali się inwestorzy w Stanach a nad ranem ci najważniejsi w Azji. W trakcie logowania towarzyszył mu zawsze ten zastrzyk adrenaliny – czy przypadkiem nikt nie sforsował serwerów? Potem chwila nadziei i prawdziwa huśtawka przez cały dzień. Inni wykupywali wirtualne portfele. Nie chroniło to przed szaloną fluktuacją kursów. Gavril wołał zresztą być w obrocie.

Był w tym niezły, analizę techniczną miał opracowaną do perfekcji. Był też w pierwszej fali tych, którzy w Mołdawii zainwestowali w kryptowaluty. Oczywiście złota era bitcoina dawno minęła. Słynna górką, kiedy jeden bitcoin kosztował niemal dwadzieścia tysięcy dolarów należała już do mitycznych czasów, których ślad pozostał w archiwach Internetu. Jednak dla wielu jego rodaków rozrywka azjatyckich yuppies, zachodnich blogerów czy środek płatniczy międzynarodowych spekulantów, stał się codziennością taką jak banknoty i karty kredytowe.

Premier, zapytany co mają robić, gdy mołdawski lei rozmywa się wraz z przyływem inflacji, ceny szybują w górę, a wszystko z dnia na dzień staje się bezwartościowe, palnął, że można przecież inwestować, na przykład w kryptowaluty. Naród, a przynajmniej duża jego część, spełniła jego życzenie.

Pracy było niewiele, ale Gavrilowi udało się utrzymać stanowisko w biurze, chyba poprzez zasiedzenie. Robił wszystko by go nie stracić, wykonywał wszystkie, często

bezsensowne zadania, znajdował sobie dodatkowe, by szefostwo nie pomyślało, że nie ma czym się zająć. Za całą wypłatę kupował bitcoiny na południowokoreańskiej giełdzie binance, a za najdroższą z kryptowalut, budował portfel spośród tysięcy innych. Wszystkie łączyło jedno – formalnie nie istniały, nie były niczym zabezpieczone, nie miały pokrycia w żadnym kruszcu ani papierze. No i ich kurs zmieniał się w szalonym tempie.

Jedni uważali to za złudzenie głupców, inni karmili się mirażami bogactwa, a tacy jak Gavril znaleźli w tym sposób na przeżycie, a nawet na życie u progu względnego dobrobytu. Najważniejsze, że do tej pory, władza była zmuszona tolerować kryptowaluty. Lobby i podległy im rząd, dbały o to, żeby nikt za bardzo się nie wzbogacił, nie uzyskał niezależności, nie stworzył opozycji lub konkurencji. Dlatego zamykali giełdy, zakazywali walut, podnosili podatki, rekwirowali serwery. Było to pole minowe. Mogłeś znać rozmieszczenie pułapek, ale następnego dnia strefa gry zmieniała się nie do poznania i musiałeś zaczynać od nowa.

Gavril nigdy nie spóźniał się do pracy. Jadąc autobusem przez szarobure ulice, obserwował najnowsze wydarzenia na świecie. Analiza sytuacji była równie ważna co wykresy. Ostatnie dni były niespokojne. W biurze było dziś sporo pracy, skupił się na tabelach w Excelu i nie miał nawet czasu, żeby zajrzeć na notowania. Był piątek, postanowił, że przejdzie się jeden przystanek. Po drodze chciał wstąpić do kiosku, żeby doładować kartę.

– Odmowa – oznajmiła znudzonym tonem kioskarka, wrywając głośno wydruk z terminala.

– Proszę jeszcze raz – powiedział Gavril, mówiąc sobie, że źle wbił pin. Zrobił się niespokojny.

– Odmowa, jeszcze raz? – odparła kobieta, podsuwając mu ponownie panel.

– Nie, dziękuję – pośpiesznie odszedł na bok. Minął go autobus, wpadając w dziurę z kałużą. W oknach rozsypujących się bloków pojawiały się pierwsze światła, choć między ciężkimi chmurami prześwitywały jeszcze plamy jaskrawego światła. Gavril klnął na głos do swojego telefonu. Kioskarka zasunęła metalową roletę.

– To koniec, straciłem wszystko, po opłaceniu kredytów jesteśmy prawie na zero – mówił do telefonu, nie słysząc odpowiedzi Sofii. Chyba ona też go nie słyszała. Malta wypowiedziała umowę binance, tron poleciał o sześćdziesiąt procent, monero o połowę, pękła bańka! – krzyczał podczas gdy wiatr przyniósł pierwszą falę drobnych kropel deszczu.

Dworzec powoli pustoszał. Ludzie wracali do domów, obładowani siatami zakupów robionych na zapas, na jakąś czarną godzinę, gdy ich pieniądze będą warte mniej niż papier, na którym je wydrukowano. Ich kraj zdawał się wracać do zamierzchłego, naturalnego stanu, do prazupy słowiańskiej, do średniowiecznych mgieł, bagnistych oparów Siedmiogrodu. Porządek zdawał się rozpadać, coraz bardziej niekompletny i przejrzysty, gdy odpadały kolejne jego warstwy, odsłaniając nagą rzeczywistość. Uważali, że mają prawo do tych wszystkich dóbr z telewizji, a jednak masom prekariuszy kazano tłoczyć się w przedsiönku kapitalistycznego rajy. Miejsce w pierwszej klasie społecznego pociągu musieli kupować na kredyt.

Coraz wyraźniej słychać było nocne świerszcze, odległy pogłos pracy, echo upadającej blachy. Ćmy zleciały się do latarni. Żółty blask, z trudem przedzierał się przez oblepione brudem świetliki do pachnącej popielniczką poczekalni. Między peronami przemknął pociąg towarowy, głucha winda, mknąca przez szyb nocy, zniknęła między hałdami węgla. Czerwone ogniki składu jeszcze długo żarzyły się w ciemności.

W szkole jeździli na dachach podmiejskich pociągów i nazywali to surfowaniem. Czasami złapała ich służba kolejowa. Potem woziły go do kurortu, gdzie dorabiał na basenach. Pamiętał, jak po zakończeniu sezonu zbiera leżaki z białego plastiku. Kilka lat później, Nicolae siedział na przypalonym dworcowym krześle i obserwował różne dziwne typy, zastanawiając się, który z nich to sprzedawca używanych kart graficznych. Robiło się późno, a jemu się spieszyło. Bez tego hardwaru nie będzie mógł skonstruować koparek kryptowalut. Karty były rdzeniem osobliwych urządzeń, które rozgryzały blockchain. Postanowił, że zainwestuje w nie pieniądze, które zarobił na giełdzie.

Sprzedawca był nieco starszy niż myślał, raczej w jego wieku, czyli po trzydziestce, nieco wyższy, z pokaźną brodą i w jeansowej kurtce. Bliżej komputerowego nerda niż cwaniaka ze skupu elektroziłomu. Ulżyło mu, nabrał nadziei, że nie zostanie okantowany.

Rozejrzeli się czy nie ma policji. Gdy ekonomia padła, służby zrobiły się nerwowe, chaos szedł w parzę z coraz bardziej panicznymi ruchami władzy. Kto wie co spotykało górników bitcoina. To była biała plama na mapie prawa, pozbawiony granic i regulacji, kompletny dziki zachód, gdzie interpretacja zasad zależała od miejscowego urzędnika.

Wszystko było na miejscu – kilkadziesiąt Radeonów spiętych sznurkiem. Handlarz od razu zaskoczył z kim ma do czynienia.

– Nie pytam do jakiej grupy należysz, ale od razu mówię, że to trochę pali.

– Pali, w sensie zużywa prądu?

– Tak, ale to na pewno macie obliczone. Rozumiem, że to ma być szybka akcja. Poziom trudności ostatnio rośnie. Ten sprzęt jest wydajny, ale nie najnowszy, pewnie macie wykalkulowaną opłacalność, ale polecałbym robić na tym mniejsze waluty, iota czy cardano są na to za duże teraz.

– Właściwie to dopiero zaczynam.

– Działasz pojedynkę?

– Tak...raczej tak.

– Niemożliwe. Skąd masz prąd? Dobra, nie pytam. Tylko mówię, że samemu jest raczej ciężko pociągnąć z dobrego źródła.

– Serio, zaczynam dopiero.

– Samotnym wilkom likwidują kopalnie, wolą tolerować większe grupy pod obserwacją. Jeśli chcesz, mogę ci kogoś polecić. Pomogą ci się podpiąć do większej sieci. Wyglądasz na uczciwego gościa i masz sporo mocy obliczeniowej. Oni szukają kogoś z możliwościami. Jest taka grupa u nas, która sama konstruuje waluty, będzie o nich głośno. Znajdziesz ich w darknecie.

Ten dzień należał do akcji izoprenów syntetycznego kauczuku. Gavril zamknął się w pokoju z telewizorem, zapominając o rodzinie za drzwiami. Nastawił odbiornik na cały regulator. To co udało mu się uratować z krachu, zainwestował w najtrwalsze waluty. Kilka godzin wzrostu, a potem znowu korekta. Mógł oczywiście wszystko wycofać, zapłacić olbrzymi podatek i znów mieć leie. Lokata w dolarach nie miała sensu bo niewiele by tego było i oznaczało pogodzenie się ze stratą nie do odrobienia. Kto nie miał kryptowalut, tego pożerała inflacja.

Na okna naciągnięta była błona z mżawki i mgły. Pachniało podkładem kolejowym. Błyszczała kolorowa plama z plakatem amerykańskiej piosenkarki Taylor Swift, zasłaniającej rękoma twarz, jakby nie chciała patrzeć na ich ulicę.

Rozejrzał się po pokoju. Nic co można by sprzedać i wymienić na wirtualne waluty. Po raz kolejny zalogował się na forum bitbay. Milion sprzecznych głosów, pytań bez odpowiedzi, prorocत्व i po prostu naciągaczy, chcących wywindować jakąś walutę. Verge miała lada dzień wyskoczyć o prawie trzysta procent, a Syscoin miał podwoić swoją wartość. Wolumen konsolidował się, giełdy podpowiadały – kupuj.

Wtedy napisał do niego znajomy awatar Delux :

- Cześć, skąd ksywka matematyk?
- Wygrałem olimpiadę matematyczną w szkole i wyjazd do Bukaresztu.
- Widziałem, że dużo się udzielasz na mołdawskich forach, znasz się na rzeczy, jesteś stąd?
- Tak, z Kiszyniowa. – Długa przerwa.
- Napisałeś, że ostatnie wahnięcieoczyściło ci konto. Udało ci się odbić?
- Nie, pracuję na tym.
- Mam małą ofertę. Zainteresowany?
- Nie wiem czym?
- Będiesz mógł zarobić na nowe krypto. Robimy coś wielkiego. Zaloguj się na Gemius to dowiesz się więcej.

Ściągnął prehistoryczny chat. Wydawało mu się, że zaraz usłyszy brzdąkanie łączącego się przez telefon modemu. Odnalazł Deluxa.

– Dobrze, że jesteś – odpisał tamten po sekundzie, a Gavril nabrał wrażenia, że rozmawia z chatbotem.

– Co to za oferta? – zapytał, przelżykając owsiankę na mleku, którą przyniosła ma Sofia.

– Nieźle operujesz liczbami, jesteś dobry w zapamiętywaniu?

– Tak, chyba tak.

– Świetnie, masz smartfona?

– Tak.

– Ściągnij snapchat.

Gavril wykonał jego polecenie, pobierając aplikację dla blogujących milenialsów i ich fanek. Nie rozumiał, po co się w to pakuje i marnuje resztki dostępnego transferu. Od kiedy krajowi dystrybutorzy sieci zaczęli upadać, internet stał się towarem deficytowym. Duża część jego rodaków wlokła się kilkaset kilobajtów na sekundę.

– Prześlę ci ciąg cyfr, filmik trwa dziesięć sekund, zanotuj je w pamięci.

Na ekranie pojawiła się kartka papieru z cyframi.

– Zapisałeś je?

– Nie.

– To dobrze. Zapamiętałeś je?

– 14532958302910.

– Pomyliłeś się o jedną.

Gavril stracił ochotę, na dalszą zabawę. Wyłączyłby chat, gdyby nie uświadomił sobie, że czternaście cyfr to podstawowa część blokchainu, zakodowanego klucza tworzącego kryptowalutę.

– Nie szkodzi. Nabierzesz wprawy. Istnieje wiele technik zapamiętywania. Jesteś zainteresowany zostaniem mnemonitą?

Szum klimatyzacji wypełniał świeżo oddane sale srebrnego biurowca, niczym dyskretny napęd nowoczesnego jachtu. Stara siedziba z zielonego, matowego szkła, do której go dobudowano, wyglądała niczym wysłużony, kopcący czarnym dymem frachtowiec. Zmęczony biurokracją, przemielonym czasem, ustawami rozkładanymi na drobne, sprawami wlekącymi się zbyt długo. Nowy budynek dawał wrażenie lekkości, ruchu i energii.

Vasil, nowy kierownik Instytutu Cyfryzacji, schował się przed deszczem. Ponad studnią chmur prześwitywało słońce, sobotę zapowiadali ładną. Vasil nie wiedział, czy z tego skorzystają. Nawał pracy, jaki przygotował mu kolektyw, był wprost przytłaczający. Takim lobby się nie odmawiało, to gdzie był, zawdzięczał w dużej mierze ich poparcie. Wywindowali go na sam szczyt i teraz oczekiwali konkretnych wyników. Wiedział, na co się pisze, choć nie spodziewać się, że stanie się to tak szybko. Nie zdążył się przygotować.

Obserwował robotników wnoszących sprzęty do nowej siedziby i opróżniających starą, przerabianą na logistyczne zaplecze. Po drugiej stronie pracownicy w seledynowych kostiumach chodzili między brzęczącymi tranzystorami. Powietrze było ciężkie od napięcia.

Wkrótce parlament uchwali ustawy ograniczające obrót kryptowalutami, wprowadzi podatki, które zmuszą przedsiębiorców do wycofania wirtualnego pieniądza jako środka płatniczego. Na koniec dobiją rynek, zamykając giełdy. Musieli być jednak o kilka kroków naprzód, przewidzieć ruchy liderów tego niemałego segmentu. Nie mogli pozwolić, by kapitał gdzieś się ulotnił, by zmienił się w realny pieniądz i by powstała konkurencja. Byli tam tacy, którzy dorobili się fortun, była wreszcie cała masa ludzi, którzy zmuszeni byli grać na giełdzie by przeżyć. Sprawy zaszły i tak bardzo daleko, zbyt daleko by zamieść sprawę pod dywan i załatwić ją bez konsekwencji.

Ostatnie dni były udane. Kierowane przez niego zespoły namierzyły wiele grup. Przetrzęsali fora, konta, rachunki setek tysięcy ludzi, żeby znaleźć najbardziej aktywnych graczy. Zaskoczyło go, jak wielki jest strumień wirtualnego pieniądza. W pewnym sensie mógł to zrozumieć, rząd sam do tego dopuścił, obiecywał stworzyć blockchainowe eldorado, potem znalazł w bitowym złocie receptę na galopujące bezrobocie i ubóstwo, wreszcie liczył na to, że uzyska pełny wgląd w to, co robią obywatele. Ostatecznie wszystko wyrwało się spod kontroli.

Czyżby mieli algorytm? Programy były surowo zakazane, boty śledzące natychmiast wykryłyby regularność operacji, wzmożoną aktywność sieci, pod którą by się ukrywał. Skąd

jednak tak częste i obfite wpływy na konta kilku użytkowników? Po prześledzeniu ich transakcji, nic nie wskazywało na giełdowych geniuszy. Zresztą żaden gracz nie był w stanie odnosić zwycięstw bez przerwy. Testy psychologiczne dawno wskazały, że czynnik ludzki nie pozwala na stworzenie inwestora idealnego. Za tą aktywnością musiał stać umysł krzemowy, pozbawiony strachu i zahamowań, który beznamietnie płynął nieznanymi dla śmiertelników ścieżkami sieci, dążąc nieustannie i z mechaniczną precyzją do nieskończonego zysku.

Algorytm pokonać mógł jedynie inny, samodzielny program. Sztabowi składającemu się z ludzi, zrozumienie zasad zajęłoby lata. W czasie gdy skrypt ewoluował, wchłaniając kolejne klastry chmury danych, oni podobni byli do matematyków z liczydłem chcących się ścigać z kalkulatorem. W epoce dataizmu, zmuszeni byli obserwować morze danych z bezpiecznego brzegu. Była to dla nich niedostępna galaktyka, widzieli jedynie rezultaty, mogli wywoływać efekty, nie potrafili jednak zrozumieć procesów, które w niej zachodziły. Krzem zyskał wielką przewagę nad węglem. Dlatego kupili od Chińczyków ten software. Trudną do wymówienia nazwę zangielszczyli na – Treshold. Wskazali mu cel, a on zaczął poszukiwać atraktora, poruszając się po spirali w stronę ścieku danych. Wirował na cyklu granicznym, zmierzając ku basenowi przyciągania. Tam, w czarnej dziurze sieci ukrywał się zakazany algorytm, przyciągający światło milionów mikrotransakcji.

W piwnicy dołączył do dwóch kolejnych ludzi z Metawersu. Tak nazywał się ta tajemnicza grupa z darknetu. Nicolae oddał im swoje koparki, a oni wpięli je do prądu. Człowiek, z którym rozmawiał przez czat okazał się bardzo gadatliwym gościem, który wcześniej pracował na uczelni, ale spore ambicje w połączeniu ze śmieszoną pensją, skłoniły go do poszukiwania szybkiego zarobku. Teraz jego nadzieja leżała w stosie oplecionych ogonami kabli koparek, czyli chłodzonych wentylatorami konstrukcji z kart graficznych, na ślepo

rozwiązujących matematyczne zadania. Jądem projektu był jednak Izydor, o którym co chwilę wspominali.

– Giełdowe algorytmy były jednym z powodów światowego krachu. Maszynowy kod drenował giełdy z pieniądza, windował obroty na niespotykaną skalę, konkurencja skryptów zaskoczyła ich twórców. Odpowiedzialność na kryzys spadła na maszyny giełdowe, agresywnie eksploatujące wirtualne złoza rynku. Na razie odcięto prąd, wytropiono AI i zlikwidowano w chmurze obliczeniowej. To przeraziło wielkie koncerny. Zrozumieli, że jednostka z dostępem do internetu, jest w stanie ich wyprzedzić za pomocą sztucznej inteligencji. Wtedy lobby skłoniły rządy do ochrony swoich interesów. Pojawili się regulatorzy. Oczywiście pod przykrywką walki z cyberterroryzmem i praniem pieniędzy. Nie da się ukryć, że taka wroga AI na terenie konkurencyjnej gospodarki może nieźle namieszać.

Koparki Nicolae zostały podłączone, ale teraz najbardziej obchodziło go to co mówił Delux. Wiedział, że jest już za późno, że wpiął się do nielegalnego interesu i zawarł umowę z cyberprzestępcami. Sabotaż ekonomiczny w dobie kryzysu był surowo karany. Zrobiło mu się słabo, lufcik na poziomie chodnika nie chciał się uchylić.

– Trzeba nakładać na to spore opóźnienie, pozbawiona ograniczeń dokona tak wiele operacji w tym samym czasie, że błyskawicznie zaalarmuje to cyberpolicje. Chodzi o milisekundowe transakcje z mikroskopijnym zyskiem, które finalnie dają potężne sumy. Traderzy wysokich częstotliwości są szybko wyłapywane przez programy śledzące. Dlatego rozkładamy to w czasie i na setki kont i kryptowalut.

– Czy ja dobrze słyszę, że macie algorytm?

Tamten się tylko uśmiechnął. Któryś z techników pokiwał głową niezadowolony ze zdradzania sekretów.

– Skąd?

– Następnym razem.

– Gdzie to macie?

– W niedostępnym polu sieci. Teraz niestety niedostępnym i dla nas.

– Przecież cała sieć jest zaminowana programami szpiegowskimi.

– Parę lat temu jeszcze na uczelni postanowiliśmy bawić się w hakerów. Jakoś przypadkiem trafiliśmy na wąski kanał danych, który nagle zaprowadził nas na serwery Korei Północnej?

– Włamaliście się do Korei Północnej?

– Włamaliśmy to za dużo powiedziane. Wpadliśmy tam przez przypadek. Do ich wewnętrznej sieci Kwangmyong, odciętej od reszty świata. To najlepsze miejsce, jeśli chcesz coś ukryć. Tym kanałem łączyliśmy się z giełdą. W pewnym momencie to się skończyło. Koreańczycy mogli w końcu wpaść na trop czegoś co zajmuje im przestrzeń i generuje spory ruch. Kanał został zamknięty.

– I co teraz, AI stracone?

– Nie do końca. Jeden chłopak wpadł na pewien plan i postanowił, że się poświęci.

Na końcu wąskiego korytarza, tyłem do samotnego okna, stał komputer przypominający chiński laptop Sylvania. Szary dywan tłumił jego kroki, gdy zbliżał się ze słownikiem koreańskiego w rękę. Dopiero na tym hotelowym korytarzu, zdał sobie sprawę, gdzie jest i co robi. Kto by pomyślał, że będzie walczyć o wolność gospodarczą, podłączając się do prehistorycznego komputera, w kraju, w którym nie ma nawet giełdy.

Nie było wyjścia. Skorzystanie z terminalu w bibliotece Kimów bądź ucieczka z hotelu i próba odszukania kogoś, kto udostępni mu wpięty do intranetu interfejs, była jeszcze bardziej niedorzeczna.

Za zasłonką stała orwellowska wieża, ostrościenny obelisk władzy, otoczony labiryntem bloków. Gdyabrał się do pracy, spostrzegł, że ręce drżą mu z nerwów. Gdy przyjdą zobaczyć co robi, chyba się rozplacze. Zbyt łatwo dostał zezwolenie na wjazd jako turysta. Co robił mołdawski student informatyki, wylany w połowie trzeciego semestru, w tym jądrze ciemności? Ci ludzie byli przyzwyczajeni do takiego poziomu absurdu, że uwierzyli, że uczy się

koreańskiego. Przed wyjazdem naprawdę to robił. W końcu miał wejść do Kwangmyong, gdzie schowany był algorytm sztucznej inteligencji, otworzyć zamkniętą lukę sieci i ustanowić połączenie z Internetem.

Co tam robił w czasie gdy nie było z nim kontaktu? Czy generował dużą aktywność, czy Koreańczycy byli w stanie zauważyć obcy organizm pasożytujący na ich wewnętrznej sieci? Czego się nauczył, czy wykorzystywał swoje moce obliczeniowe, które mogłyby podporządkować sobie całą ekonomię tego kraju? W każdym razie tkwił tam, Izydor Megaloschemos, ukryty za kadzidłami, w innym cyfrowym wymiarze, zupełnie niezależny, ascetyczna kula bitów. Wyczuł jego obecność poprzez nieznaczne ruchy megabajtów. AI czekała, nie próbując samodzielnie znaleźć skrótów ku wolności. Wtedy uznał, że to jedyna szansa. Drugi raz nikt tego nie zaryzykuje. Trzeba stąd zabrać Izydora, nie znowu może zostać zerwana, gdy tylko reżim zechce wypłynąć w innym miejscu globalnej matrycy.

Zlokalizowanie uskoku, w którym totalitarny kraj miał kontakt z oblewającym go oceanem danych, było najtrudniejszym elementem. Do tej pory wchodzili przez te mroczne wrota od strony światła, nagle znalazł się po drugiej stronie lustra i po omacku, próbował znaleźć wyjście. Czy mknął teraz światłowodem przez gabinet któregoś z dygnitarzy reżimu? Intuicyjnie balansował na ostrej jak brzytwa krawędzi osobliwości, opuszkami palców wspinając się na Mount Everest hakerskich umiejętności. Nikt z jego świata, nigdy tu nie był i nie dokonał czegoś podobnego. I wtedy znalazł klucz, odszukał wśród tysięcy rejstrów znajomy kod oznaczający znane wody cyberprzestrzeni.

Otworzył stronę google, poprzez Kwangmyong sięgnął w głąb zachodniej cywilizacji. Zagryzł rękaw by nie krzyknąć z radości, aż zaszkliły mu się oczy. Wrócił na poziom skryptu. Na dosowej czerni czekało na niego C://

Gavril został mnemonitą. Miał jeden cel – donieść w pamięci swój fragment kodu blockchain. Nie wiedział, którą część niesie, jego ciąg nic nie znaczył, ale któraś z kombinacji czterech zbitek była szyfrem, pod którym kryło się bitowe złoto. Szedł przez nieskończone pola słoneczników, podmokłe ugory, rozsypujące się PGRy, uświadamiając sobie, że nie miał pojęcia, jak wygląda ta przygraniczna kraina, w której mieszkał.

Usiadł na nasypie i wyjął kanapkę z celofanu. Powiedział żonie, że dostał nową pracę, fizyczną, ale pewną. Faktycznie był na rozmowie o pracę w lokalnym biurze. Po wielkim centrum usług wspólnych zostały już tylko niewielkie oddziały, którym groziło zamknięcie.

Odpowiadając na pytanie rekruterów, opowiadał o swojej pierwszej pracy, gdy jeszcze ścieżka kariery wydawała się mglistą, ale obiecującą możliwością. Dla humanistów, filologów, absolwentów państwowych uniwersytetów i wyrastających jak grzyby po orzeźwiający deszczu transformacji prywatnych uczelni, jednym słowem dla wielkiej części jego pokolenia, otwierały się wtedy szerokie i niebezpieczne wody. Wskakiwali do nich, nie mając pojęcia, w którą stronę płynąć, poruszali się na oślep, zdani na nurty wielkiej ekonomii.

Tłum wciskał się jakoś w sztywne ramy maszyny losującej. Jedni wypadali z niej ze szczęśliwym numerem, inni wypadali z obiegu, większość jednak tworzyła medianę przeciętniaków. Gdy aspiracje urosły, pojawił się kryzys. Nie było to tapnięcie, raczej wody podmywające kruchy szkielekt egzystencji, zbudowanej na kredytach. Kto by pomyślał, że stabilizacja życiowa stanie się cennym dobrem, że będą musieli o nią walczyć w rozlewiskach XXI wieku. Wydawałoby się, że będą mieli to zagwarantowane, a jednak popyt na dostatek przewyższył podaż.

Nie zabrał prawie nic, zero zapisków, telefonów, nic co mogłoby zdradzić, że przenosi w głowie tysiące dolarów. Po dotarciu na miejsce zbiórki, mieli połączyć kod i zapisać go na wirtualnym portfelu. Wystarczyło, że choć jeden z nich pomyli którąś cyfrę, a cały trud pójdzie na marne. Potem mieli zamienić go na realną walutę, wyjąć w banku i wrócić z plecakami pieniędzy do Mołdawii. Unikając podatków, systemów szpiegujących obroty i niebotycznych opłat za zamianę walut. Miał wrażenie, że załapał się na ostatni kurs. W podziemiu chodzili pogłoski o tym, że nowy, technokratyczny rząd ma zamiar posprzątać kryptowalutowy bałagan.

Jego podróż trwała już wiele godzin. Przemysłowe tereny ciągnęły się kilometrami. Unikał ludzi i brnął przez najmniej dostępne chaszczki. Sztuczna linia między Mołdawią i

Rumunią miała niedaleko swoje tajne przejście podziemnym korytarzem. Obok tej strasznej ruiny lepiej nie iść. Przed nim, było morze pokrzyw po pas i zdradzieckie studzienki, ale po lewej zaczynał się jakaś zmurszała budowla podobna do bunkra. Według mapy powinien kierować się tamtędy. Zejście do piwnic było już niedaleko.

Najpierw usłyszał szczeknięcie. Początkowo nie zwrócił na nie większej uwagi, po drodze mijał wsie z wałęsającymi się psami. W jednej musiał odganiać się kijem od watahy. Potem zrozumiał, że w okolicy nie było najmniejszego przysiółka. Z duszą na ramieniu zszedł z nasypu i zaczął brnąć w pokrzywy. Znosiło go stronę spalonej ruiny.

Straż graniczna nosiła zielone mundury, zbyt jasne, żeby ukryć się wśród ciemnego zielska. Oni też bez problemu zobaczyli jego szary płaszcz. Rzucił się przed siebie, choć pokrzywy chwytały jego ubranie. Potknął się i skręcił kostkę, ale wstał i biegł dalej, dziwnie pewny, że go nie dostaną. Pomyślał, że jeszcze niedawno siedział za biurkiem i wiódł swoje biedne, ale uczciwe życie. Dopadł do progu dworku, podczas gdy psy gończe były już w połowie polanki. Godzinę później siedział na komisariacie. Nie musieli się wysilać, wystarczyła oferta uniknięcia oskarżenia.

– Kto by tam dał ci pracę? Wszystkich imigrantów odsyłają teraz do domu. Musisz wymyśleć coś lepszego.

– Przewożę w pamięci szyfr kryptowalutowy – powiedział możliwie zrozumiale.

– Co takiego? – Roześmiał się komisarz.

– To prawda, przemycam w głowie wirtualne pieniądze.

Patrzyli na niego z rozbawieniem, a on rozkoszywał się nowym uczuciem, które w nim narastało. Gra skończona, strach minął, a on naprawdę nie sądził, że na końcu tej drogi znajdzie ulgę.

W radiu ortodoksyjny chorał śpiewał liturgię, a na pasku wiadomości leciały pilne newsy – parlament uchwalił zakaz płatności kryptowalutami. Choć słońce schowało się za wzgórze, Vasil nie zapalił światła. Z wiejskiego domu mieli dobry punkt obserwacyjny na bure klepisko i tonące w wieczornej mgle wzgórze.

Według tych, którzy kryli się gdzieś u stóp siedmiogrodzkiego zamku, zabawa kryptowalutami miała zacząć paroksyzmy starego świata. W dobie krachu mieli przejąć ster, stać się nową finansową elitą. Władza jednak wciąż czuwała i była daleka od oddania pierwszeństwa. Tak musi być – przypomniał sobie napis na katedrze, którą widział na Zachodzie.

Vasil dokończył jabłko i spokojnie wziął do ręki krótkofalówkę. Czas zaczynać – powiedział ni to do siebie, ni do ukrytego w mrocznej sieni adiutanta – a w zasadzie czas kończyć. Nie miał zamiaru tego załatwiać od razu i po cichu. Niech jego mocodawcy wiedzą, że zwycięstwo nie przyszło łatwo, niech liczby przemówią za siebie. Wtedy docenią jego trud rozprawienia się z algorytmem.

Skąd go wzięli? – Zadawał sobie to pytanie częściej niż – gdzie to trzymają? Dotarcie do grupy Metawers, było prostsze niż zakładał. Początek nici wskazał ich kurier, przemycający do Rumunii cząstkę ich nadziei na bogactwo. Potem szli do samego źródła. Zdążyli w międzyczasie dowiedzieć się, że algorytm, znany dotąd jedynie potężnym traderom, wymyślił niejaki Izydor, wyrzucony z koncertu programista, pragnący zdobyć pieniądze na kosztowne leczenie. Ile godzin pisania skryptu mu to zajęło? Stworzył model matematyczny i ukrył gdzieś wśród nici światłowodów, w nieprzeniknionej toni darknetu i wśród kadzideł mgły. Sam też gdzieś przepadł.

Podszedł do okna, gdy się zaczęło. Znakiem było podpalenie stosów siana wokół góry. Wiedzieli, że krąg wokół nich się zamyka, przenieśli koparki poza miasto i ukryli się wśród ostępów. Została ich już tylko garstka. Nicolae odczuwał dziwny spokój, pogodzenie z tym co ma się stać. Kierownictwo Metawersu pogrążyło się w letargu. Jedynie Stefan, opromieniony swoją akcją w Korei, zdawał się żywić nadzieję na szczęśliwe zakończenie.

– Jeszcze może się udać się – powtarzał, choć inni patrzyli na niego z powątpiewaniem. Pokazywał im niewielkie urządzenie wielkości pendriva – miniaturowy nośnik kryptowalut. W Mołdawii zakazany i bezużyteczny, po tym jak w godzinę położono wszystkie giełdy i konta.

– Gdy tylko weszły ustawy, chcieliśmy przejść do planu B – mówił przez telefon – podnieść Izydora na wyższe obroty, odciąć mu ogranicznik. Skoro i tak nas namierzali to niech algorytm zbierze jak najwięcej złota. Te waluty tam są, nie mamy do nich dostępu. Gdzieś w sieci jest Izydor.

– Spokojnie – powiedział Delux w momencie gdy płomienie ognisk urosły – nie uda nam się opuścić kraju, lepiej żeby się tego pozbył.

Ruszyli w stronę zamku, topiąc po drodze koparki bitcoinów w trzęsawiskach. Nie zostało już nic, po tym jak Izydor został namierzony. Nie było sensu pytać kto zdradził – podejrzanych było zbyt wielu. Byli w końcu tylko amatorskimi handlarzami, a nie szpiegami stworzonym do działania w ukryciu.

Zanim dotarli do bramy, oślepiły ich światła reflektorów. Z każdej strony nadleciał szum dronów. Gdy inni stali sparaliżowani, czekając aż aresztują ich ciężko opancerzeni policjanci, Stefan rzucił się w stronę schodów prowadzących na mury. Za nim wybuchł granat ogłuszający, pogrążając go w ciszy. Biegł w górę, a potem rzucił się przez mur.

Staczał się po zboczach, w stronę ciemnych trzęsawisk, aż zatrzymał się na pniach drzew. Podniósł się i brnął przed siebie, podczas gdy las zamykał nad nim swoją milczącą koronę.

– Trzymaj – powiedziała barmanka w stylu decora, z modnie wygolonym, szerokim pasem zamiast przedziałka, wciskając mu fiolkę z drinkiem, w którym kruszony lód pływał w kształcie ostrych kryształków. Pełny parkiet klubu wypełniała stroboskopowa burza i narastające dźwięki muzyki. Od kiedy zatrudniła go firma stawiająca na blockchain, Stefan nie musiał się martwić o pieniądze ani rozkładać starych pecetów na części. Mógł zająć się tym co pociągało go od zawsze. Wyprawa do Korei Północnej niespodziewanie otworzyła przed nim wirtualny ocean nowych możliwości. Rumunii szukali młodych talentów w dziedzinie blockchainu, a tak się składało, że miał do tego wielki talent. Dostał fikcyjne, niepozorne stanowisko w firmie

informatycznej, ale z najlepszym oprogramowaniem jaki można było znaleźć na rynku. Od razu wziął się do pracy. Czuł się, jakby po prostu grał w ulubioną grę.

Teraz w Gravemie był sam, ale czuł się wspaniale. Płynął w transie na falach przepuszczonego przez elektroniczną saturację chropowatego rytmu o psychoaktywnej częstotliwości. Czuł polisensoryczną nadstymulację, wibrację nowej ery, pulsowanie wspaniałego chaosu nadchodzących czasów, nadchodzącej z prędkością światłowodów przyszłości.

Zniknięcie

Kustosowi Muzeum Sztuki wydawało się, że czekał na tę podniosłą chwilę całe życie. Dzięki niemu Chiny goszczą dziś arcydzieła amerykańskiego malarstwa, a on napawa się sukcesem, otoczony kręgiem pochlebców. Jakże szybko stali się nimi jego krytycy, gdy udało mu się przekonać kierownictwo Partii. Teraz w sercu Republiki Ludowej, kilkaset metrów od Muzeum Chińskiej Rewolucji i Wielkiej Hali Ludowej, obiektywy czekają wycelowane w płachtę, za którą znajduje się jeden z najsłynniejszych produktów Zachodu – obraz *Nighthawks* Edwarda Hoppera.

To wtedy stało się to, co zasłynęło w świecie sztuki po prostu jako Zniknięcie. Dziwne zdarzenie, które będzie replikowane jako internetowy mem i które mogłoby wyglądać na performance konceptualistów. W mediach głównego nurtu wszyscy mówili jednak o zwykłej kradzieży.

Ultranowoczesna sala wystawowa rozbrzmiała entuzjazmem klakierów. Płachta opadła, a oklaski nie ucichły, nawet gdy kustosz wydał jęk rozpaczony i osunął się na kolana. Klęczał teraz przed obrazem, a właściwie przed tym, co z niego zostało. Dzieło, na którym oryginalnie mieściły się cztery osoby, stało się pozbawioną życia, tandetną makietą. Było już nie tyle studium samotności, co raczej opuszczonym planem filmowym czekającym na powrót aktorów. W jakiś przerażający i niewytłumaczalny sposób nocną scenerię całodobowego baru opuścili jego tytułowi mieszkańcy, jakby uznali, że mają dość siedzenia zamknięci za szkłem w wiecznej nocy.

Gdy burza oklasków ucichła, do wszystkich zaczęło docierać, jaką hańbą i wstydem okryło się muzeum. Kustosz nie miał pojęcia, jaka tajemnicza koniugacja wydarzeń sprawiła, że z lokalu zniknęło czterech nocnych jastrzębi. Jego pochlebcy już nie klaskali, tylko kiwali głowami z politowaniem.

Drzwi otworzyły się i wyszedł skulony pan Ziu, kustosz muzeum sztuki w Pekinie. Spojrzał na niego z rezygnacją, która niespodziewanie przerodziła się w gniew.

– To twoja wina! Zadenuncjowałem cię, gnido. To ty ukradłeś amerykańskie bazgroły!

Gdy zabrali już kustosza, przyszła kolej na niego. Kazali mu stać jak złodziejowi ryżu przed czerwonym sądem hunwejbínów.

– Panie Hau, co ma nam pan do powiedzenia?

Dyrektor wyrecytował samooskarżenie i gładko przeszedł do ostrej samokrytyki. Na koniec błagał o surową i sprawiedliwą karę. Zakończył słowami:

– Proszę, ukarście Xero, bo to tego wina.

– Po kimś, kto naraził Partię i lud na taką kompromitację, nie spodziewaliśmy się rzucania oskarżeń. Gdzie jest amerykańska wersja obrazu?

– W magazynie.

– Co z Xero? Jak mielibyśmy niby to ukarać? Jest rdzeniem naszego planu, zostało poddane testom we wszystkich placówkach. Kto wprowadził błędny algorytm?

– Czcigodna, nieomylna komisjo, uwierzcie mi. Sprawdzaliśmy milion razy czy algorytm jest prawidłowy. Niech wszyscy zostaniemy ukarani, jeśli kłamiemy!

– Kto dostarczył do muzeum błędną kopię?

– Wybrany został ostatni egzemplarz.

- Nie sprawdzono go?
- Wszystkie były identyczne.
- Łżesz! – wydarł się nagle pułkownik, rozrzucając papiery po całym biurku. Hau dostrzegł wśród nich zdjęcia obrazu i pomyślał, że ktoś już zdążył powiedzieć im prawdę.

Kończył właśnie kolację w Hyattcie w dzielnicy Medienhafen, kiedy dowiedział się o wydarzeniu w Pekinie. Przy okazji wyemitowano program o chińskich miastach kopiach. Walter Jansen chciałby zobaczyć te wydmszki na własne oczy. Jakże były inne od tego masywu cegły i stali, którą widział przez okno w przemysłowo-biznesowym Dusseldorfie.

Swoje biuro miał w przeskalowanym gmachu Stahlhof. O zachodzie słońca budynek nabierał barwy magenty, do tego te potężne filary, podświetlone wrota i rzeźbione głowy - przywodziły na myśl jakąś hanzeatycką fantazję na temat epoki pary i mechanizmów zegarowych. Czy jego też potrafiliby skserować, postawić identyczny gdzieś szczerym polu?. Napawało go to odrazą, ale i dziwnie fascynowało. Potężny gest unieważnienia w czasach post-historii.

Pomyślał, że musi to mieć, ten koślawy twór, będący nieświadomym dziełem maszyny. Czy aby na pewno nieświadomym? Istniało już wcześniej coś takiego jak Kunstmaschine, ale była ona w istocie niczym innym jak narzędziem zaprojektowanym przez człowieka. Teraz maszyna zrobiła coś wbrew oczekiwaniom swoich twórców.

Jansen był kolekcjonerem od lat, głównie europejskiej klasyki, trochę amerykańskiego pop-artu. Raczej wyższa półka. To byłoby jednak coś zupełnie innego, ten obraz nie nosił żadnej nazwy, nie było twórcy, który mógłby ją nadać. Było porażającym gestem nieistniejącego malarza, wybrykiem znudzonego kopisty. Posiadanie czegoś takiego w kolekcji zwracałoby uwagę.

Spędził godziny na forach by dowiedzieć się coś na temat „Zniknięcia.” Potem skontaktował się ze swoim opiekunem z galerii aukcyjnej . Znali się od dawna, Jansen traktował go jak swojego pracownika. Mógł sobie na to pozwolić ze względu na prowizje, które zostawiał w galerii. Był ich kluczowym klientem, czuli do niego respekt i zrobią wszystko by go u siebie zatrzymać.

To zadanie zdawało się ich jednak przerastać. Byli całkowicie zaskoczeni jego fanaberią, ale kazał im skontaktować się z kustoszami chińskiego muzeum i przekonać by wystawili obraz na aukcji. Rzucił przy tym sumami, które nawet jego samego nieco przerastały. Miał nadzieję, że Chińczycy traktowali ten obraz jak odrzut, którego najlepiej się pozbyć.

Jego zawód był ogromny. Nie chcieli mu pomóc. Kategorycznie odmówili sprzedaży i dali do zrozumienia, że nie chcą wystawiać obrazu na aukcji. Między słowami zrozumiał, że „Zniknięcie” jest dla nich powodem do wstydu i nie mają zamiaru nim epatować. Wtedy obiecał sobie, że odpuści tą sprawę. Do momentu aż nie napisał do niego ten człowiek kryjący się za pseudonimem Tzusing.

– Mielśmy rewolucję kulturalną, teraz trwa rewolucja przywłaszczania. Wytwory kultury mają być powielane, aż staną się powszechne. Każde chińskie miasto może mieć swoją wieżę Eiffla, identyczne muzeum z identyczną kolekcją europejskich wytworów, każda rodzina dostanie seryjnie wyprodukowaną *Mona Lisę*, a przed każdym blokiem może stać imitacja jakiegokolwiek rzeźby Michała Anioła z masy plastycznej. Egalitaryzm dóbr zabije oryginał poprzez powielenie go w nieskończoność. Nie tylko zalewamy planetę podróbkami jeansów i samochodów, ale wchłaniamy świat, tworząc jego tandetny prefabrykat z plastiku.

– Tak miało się stać z obrazem Hoppera?

– Tak stało się już z innymi wypożyczonymi przedmiotami.

- To jest odgórne zadanie?
- Plan pięcioletni zakłada stworzenie gigantycznych kombinatów z kopiarkami 3D. Poprzednie lata wiele nauczyły Partię. Sztuczne miasta flamandzkie i hanzeatyckie, prawie niezamieszkałe, ale odtworzone niskim kosztem i z zachowaniem detali. Na Aliexpress możesz kupić podróbkę wszystkiego.
- Ale z tym obrazem coś poszło nie tak?
- Najwyraźniej. Mamy garść informacji od koreańskiego cyberwywiadu. Muzeum w Pekinie współpracuje z syndykatem Hen, który jest częścią państwowego holdingu posiadającego znaczne udziały w przemyśle robotyzacyjnym. Skonstruowali myśliwiec ludzaco przypominający F-35.
- Myślałem, że szukamy jakiegoś malarza kopisty?
- Boję się, że jesteśmy w innej epoce. To może wydać się nieco osobliwe, ale szukamy drukarki.

Kustosz Ziu przemykał białymi korytarzami z poczuciem wstydu i hańby. Choć oczyszczono go ze wszystkich zarzutów, miał świadomość, że gdy cała sprawa ucichnie, zostanie zesłany do jakiego prowincjonalnego domu kultury, pachnącego kurzem i kamforą. Tutejszy labirynt roztaczał woń ozonu nowoczesności i sterylny eter prestiżu.

Przez media przeszła fala memów, plotek, informacji i dezinformacji na temat obrazu. Dzieło Hoppera zwrócono Art Institute of Chicago, co niestety nie uciszyło komentarzy. Ktoś widział mężczyznę z obrazu idącego ulicą, ktoś inny zobaczył go na płótnie Chirico. Prawda była dużo bardziej przerażająca.

Ziu otwierał chipem kolejne drzwi magazynu, aż w końcu znalazł się w jego najpilniej strzeżonej części. Gotowe kubiki czekały na kopie cennych dzieł sztuki oraz na ich podmienione oryginały. Miały stać się sztancą do masowej produkcji, tak jak kiedyś amerykańskie ubrania i europejski design. Partia postanowiła wykorzystać do operacji zaawansowaną technologię stworzoną w laboratoriach syndykatu Hen. Nazwano ją po prostu Xero. Ziu do końca nie wiedział, czym było. Skomplikowanym algorytmem, wojskowym programem, duchem w maszynie czy też załącznikiem czegoś, co na wyrost można nazwać krzemową inteligencją? W każdym razie kopiowało wszystko czego dusza zapagnie i to z precyzją nieosiągalną dla człowieka.

Czasami coś jednak szło nie tak, jakiś błąd zakłócał działanie programu, tajemniczy zgrzyt powodował odchylenie od oryginału. Te aberracje zwykle wyrzucano, ale część z nich trafiała tutaj, do najdalszego zakątka piwnicy.

Ziu, idąc między kubikami, wyobrażał sobie te wynaturzone mutacje mezaliansu sztuki i maszyny, porzucone na wysypiskach cywilizacji, leżące w betonowym kanale ściekowym i pod wiaduktem miejskiej kolei. Sterylna sala wyglądała jak atelier surrealisty. Błędnie spreparowane rzeźby renesansowych klasyków przywodziły na myśl powykrzywiane lalki Belmera. Cała ta zdegenerowana menażeria manekinów i bohomazów była dla kochającego chińską harmonię kustosa czymś odrażającym. Co więcej, Ziu miał przeczucie, że te odstępstwa od normy nie są halucynacją zawirusowanego software'u, ale raczej jego zamierzonym działaniem, tak jak celowym zamierzeniem pomyślonych postmodernistów jest poddawanie dzieła sztuki zgrzytom, zapętleniom i potknięciom pędzla.

Wrażenie to urosło, gdy skontaktowali się z nim Amerykanie. Nie zgłosił tego Partii, choć wiedział, czym to grozi. Może dlatego, że oferta CIA była warta ryzyka. Ekstrakcja na Tajwan przez ambasadę, strumień wirtualnych dolarów na koncje oraz posada w muzeum sztuki starożytnej. Zgodził się, zanim szpieg dokończył swoją kwestię. Potem wyjaśniono mu, jak ma postępować. Amerykanów nurtowało to samo pytanie, co jego. Musiał dowiedzieć się, czym naprawdę jest Xero.

Tzusing nie był kopistą w staromodnym znaczeniu tego słowa. Nie ślęczał przy lampce z pędzlem w ręku, starając się naśladować pociągnięcia mistrza. Był raczej technikiem uzbrojonym w nieco toporną z wyglądu aparaturę z pokrętłami i czułymi soczewkami kamer. Dzieło obserwował na ekranie, podzielone siatką i opisane współczynnikami. Czasami pracował z VR, ale najlepiej sprawdzała się cyfrowa optyka od Zeissa.

Nie od razu wpadł na ten pomysł. Dopiero gdy usłyszał o zainteresowaniu jakim cieszą się wadliwe kopie w Europie. Wcześniej odrzuciłby tę myśl, ale teraz potrzebował gotówki. Od kiedy popełnił błąd i spadł w systemie oceny, mógł zapomnieć o kredycie na mieszkanie. W tym momencie lojalność wobec pracodawcy była dla niego sprawą drugorzędną. Jeśli dyrektor Hau dowiedziałby się o jego pozycji, natychmiast kazałby go zwolnić. Prędzej czy później się dowie.

Nie dbał więc już o pikującą w dół lokatę w rankingu obywateli. Jego zabiegi nie pozwoliły udobruchać ani Partii ani rodziny. Teraz nadszedł czas na śmiały ruch. Najtrudniejsze miał już za sobą. Zrobił ukradkiem zdjęcie słynnego *Nighthawk* Hoppera. Nie oryginałowi ani jego idealnej kopii, ale temu wybrakowanemu, który został zaprezentowany w niesławnej noc „Zniknięcia”. Potem skontaktował się na forum z niejakim Walterem Jansenem, bogatym kolekcjonerem z Niemiec, który miał obsesję na punkcie tego dzieła. Wmówił mu, że skorzysta z zamieszania z wieloma kopiami i wyniesie z magazynu oryginalny twór maszyny. Jansen może w to uwierzył, a może nie do końca dbał o to co dostanie. Chodziło mu raczej o efekt szoku jaki wywoła w swoim środowisku. Wtedy ludzie jeszcze niewiele wiedzieli o Xero. Umówili się, że sprzeda obraz za grosze w sklepie internetowym. Nikt nie zauważył tej transakcji, wśród milionów innych. Prawdziwą zapłatę otrzyma na cypryjską giełdę walut wirtualnych.

Tzusing otworzył w domu fotografię. Wyniesienie fizycznego przedmiotu z muzeum było niemożliwe. Wiedział, że ryzykuje zdemaskowanie. Nie dbał o to. Liczył się tylko cel. Położył na sztalugach świeże płótno, zanurzył pędzel w kremowej bieli. Uśmiechnął się na myśl o tym, że nie będzie musiał malować ludzi. Ich tam po prostu nie było.

Potem zadumał się nad tym co robi. W pewnym sensie był pionierem, pierwszym człowiekiem, który kopiał dzieło maszyny. Pędzel dotknął płótna.

Ziu przypomniał sobie dziwny sen, który miał tej nocy. Przechadzał się w nim samotnie wśród idealnej geometrii strzelistych ulic tworzących symetryczny plan – konstrukcję czytelną jedynie z góry. Przekraczał plac wydany amarantowemu niebu, omijając z dala nienazwane, plastikowe i metalowe postacie, niepokojące twory przywdziane w togi i ożywione przez wystające głowy manekinów. Dźwięk odbity od tych figur wydawał echo przypominające ni to świszczące odetchnięcie, ni to okrzyk podziwu czy też zaskoczenia. Nie widział, czym były te tajemnicze muzy, człekokształtne figury o pękatych głowach. Wydawało mu się, że są mu w jakiś sposób przychylnie.

W drodze do kompleksu drukarek syndykatu miał dostatecznie dużo czasu na przemyślenia. Wjeżdżając i wyjeżdżając z kolejnych aglomeracji, obserwował wylotówki. Jedne z nich potwierdzały czystość i postęp nowoczesnych Chin, inne były prawdziwą galerią kiczu. Część tworzyła zmechanizowany pejzaż nowoczesności, reszta była rozdętymi do granic karykaturami zachodniego kapitalizmu. Kasyna, motele i zajazdy, pseudotradycyjne karczmy i bary szybkiej obsługi, sale weselne i sklepy ogrodnicze, centra konferencyjne, małe biura i wielkie hale, zaplecza logistyczne, hodowle ryb, skupy złomu, stacje benzynowe i puste sklepy meblowe w szczerym polu, mikroświaty wiejskich domków przylegających do ekranów wygłuszających, megatekstura krajobrazu komercyjnego połączona ze skrajnym formalizmem. Inwazyjna przestrzeń tranzytowa rozrastała się, a drogi szybkiego ruchu i hale spedycyjne wchłaniały krajobraz. Miasto, które mijał wydawało się nie mieć nazwy. Było wcieleniem pustki, przejeżdżał przez jego obszar, ale nigdy do niego nie docierał. Przedmieścia były przezroczyste jak hologram, niemożliwe do zapamiętania, nic nie stabilizowało przestrzeni.

Obserwował reprodukcję świata w znakach, tworzenie kopii kopii i obsesyjne duplikowanie prowadzące do utraty znaczenia. Ziu czuł się jak wieczny emigrant – emigrant w pustce rodzącej rozrastającą się bez końca nostalgię.

Na miejscu zastał estetyczne, białe hale i tysiące oczekujących kontenerów DHL. Jedynie w tle majaczyło coś dziwnego. Szybko wytłumaczono mu, że pod wielką płachtą, przypominającą instalację land artu, powstaje kopia piramidy sprzed Luwru, w skali pięć do jednego.

Hau oczekiwał na niego w gabinecie. Powitał go chłodno, ale bez obrazy. Zaskoczyło go to, zważywszy na denuncjację i ich spotkanie w domu Partii. Łączyła ich jednak nie tylko stara znajomość, lecz także wspólne problemy.

– Pozwól złożyć na swoje ręce przeprosiny za ostatnie spotkanie – zaczął Ziu.

– Przyjmuję. Każdy jest zobowiązany mówić prawdę. Nasz czas się kończy, oboje zaniedbaliśmy obowiązki i czeka nas koniec zaszczytów. Niezbyt szczęśliwa przyszłość, dlatego cieszę się ze spotkania.

– Zaniedbaliśmy obowiązki, ale bezpośrednią winę ponosi Xero. Chciałbym wiedzieć, co mogę zrobić.

Hau uśmiechnął się i zaczął przechadzać się pomiędzy kolekcją rękopisów. Ziu nie mógłby odróżnić, czy to oryginały czy reprinty, gdyby nie wiedział, że oryginały już dawno nie istniały – zostały spalone w czasie rewolucji kulturalnej.

– Oboje wiemy, że od początku program Xero obciążony jest niezidentyfikowaną wadą. Jakiś modyfikator, którego nie potrafiliśmy wychwycić. Spowodował, że w nieokreślonych odstępach czasu ujawnia się skaza. Algorytm wymaga tak wielkiej ilości kombinacji i ma w sobie taki stopień skomplikowania, że nie jesteśmy w stanie go ani w pełni kontrolować, ani nawet obserwować. Xero musiało wielu rzeczy nauczyć się samo...

Hau zapadł się z powrotem w skórzanym fotelu, robiąc się nagle mały i zmęczony.

– Dlaczego produkuje błędne kopie? – zapytał Ziu.

– Odrzucimy wszelkie hipotezy zawierające założenie celowości. Badamy, gdzie leży błąd systemu. Nie potrafiliśmy odpowiedzieć na to pytanie, bo hardware działa prawidłowo. Niemniej liczba błędnych kopii ciągle rośnie.

– Od kiedy?

– Nie byliśmy w stanie zapoznać Xero z każdą rzeczą z osobna. Zająłoby to lata, dlatego podłączyliśmy go do sieci, by kopiował wirtualną bibliotekę wszystkiego, co stworzył człowiek. Miał się przecież stać ucieleśnieniem chińskiego „spełniacza życzeń”. Otwarcie go na świat dało nieskończone możliwości, ale pozwoliło wniknąć do systemu wirusowi i rozpoczęło cykl powstawania wadliwych kopii.

– Te kopie budzą wielkie zainteresowanie. Miałem już kilka telefonów z Europy. Znaczący kolekcjonerzy oferują duże sumy.

– Co odpowiedziałeś?

– Odmówiłem.

– Bardzo dobrze.

– Mogę to zobaczyć? – zapytał Ziu. – Nigdy w zasadzie nie wyobrażałem sobie, jak to wygląda. Produkty po prostu przyjeżdżały do muzeów, jakby materializowały się na wystawach.

– Wiesz, że to tysiące maszyn?

– Chciałbym zobaczyć chociaż jedną. Tę, która dostarczyła kopię obrazu Hoppera.

Hau sprawdził coś na tablecie.

– Kopiarki w sektorze Zagraniczne Dobra Kultury obecnie pracują. Jako kustosz pekińskiego muzeum masz prawo nadzorować proces.

– Co teraz robią?

– Malują Holbeina.

Nerwowe ruchy głowicy odgrywały rolę pędzli, z zimną precyzją nanosząc farbę na płótno. Bezosobowy ruch maszyny wydobywał oleiste cienie i delikatne pryzmy światła, przepuszczone przez perforację liści. Pracownicy porównywali obrazy pod kątem prawidłowości. Obok leżała odrzucony kopia *Henryka VIII*. Przywodziła na myśl dzieło XXI-wiecznego glitch artu, podnoszącego defekty i niedoskonałości do rangi dzieł sztuki. To przypominało niepokojący świat zapętlonych errorów, śnieżących ekranów cyfrowego szumu, zacięć renderingu i nakładających się interferencji. Ziu zrozumiał, że Xero, tworząc mutacje, ewoluuje, naśladując przy tym naturę, w której przypadkowa nieprawidłowość staje się podstawą rozwoju.

Obok z sykiem pomp pracowały drukarki kopiujące dzieła użytkowego designu. Jedna z nich akurat tworzyła błędną kopię krzesła w stylu Eamesów. Poprosił, by nie przerywano. Z magmy plastiku, z amalgamatu wszystkich kultur wytapiał się jakiś posąg będący idealnym zespoleniem techniki i sztuki. Płynny twór tężał, odsłaniając skomplikowane załamania, finezyjne połączenia kształtów, doskonale symulujące zamiar nieistniejącego artysty. Narzędzie, bez udziału sprawczej woli twórcy, rodziło dzieło maszynowej sztuki. Maszyna pracowała zaciekle, jakby wysyłając komunikat – jestem w stanie unieważnić waszą kulturę i stworzyć coś czego nie rozumiecie. Czy ta bezkształtna magma zimnego plastiku to była przyszłość? Ziu pomyślał o rzędach temu podobnych rzeźb, grafik i obrazów. Wystarczy dokonać selekcji i zappełnić nimi galerię. Postanowił, że zajmie się tym pomysłem, gdy już dotrze na Tajwan.

Perymetr Czerenkowa

Rozpadało się na dobre, gdy Wrona i Płaka dotarli na miejsce. Ponad nimi wznosił się kaskadowy blok pod adresem Sobieskiego 100, otoczony fosą i murem niczym betonowy zamek. Zielone cyfry analogowego casio wskazywały dokładnie 22:00. Byli obładowani, jakby wybierali się na tygodniową ekspedycję w obce środowisko. Wrona uważał to za grubą przesadę, ale jego towarzysza ta cała otoczka zdawała się nakręcać. Zaciągnęli kaptury przeciwdeszczowych parek i ruszyli. Chwilę potem Płaka wspinał się w wyznaczonym wcześniej miejscu. Kalecząc sobie palce o porzewiały drut, odgiął wycięty fragment siatki. Teraz wystarczyło tylko ominąć kamery.

– Ciekawe czy ktoś tu mieszka? – zapytał Płaka bez odpowiedzi. Zawsze, gdy myślał o tym w takich chwilach, ogarniało go niepokojące wrażenie czyjejś obecności. Przecież w wielu opuszczonych miejscach kryli się kanalarze i narkomani.

To Wrona wpadł na pomysł wzięcia ze sobą tych ciężkich owali, które teraz obciążały jego wojskowy plecak kostkę. Płaka wiedział, że jego towarzysz lubi zmyślać, nie mógł też słuchać obsesyjnej mantry o niedostępnych lokacjach pod Warszawą. Jego narzędziem był przede wszystkim Olympus, który nie przestawał błyskać w jego dłoniach.

– Płackowski przestań wreszcie pstrykać – rzucił zirytowany Wrona.

Ani jednego graffiti, ani jednego osiedlowego tagu czy kibicowskiej wrzuty – pomyślał Płaka, chowając aparat. Zwykle nawet szabrowników wyprzedzali inni intruzi – graficiarze. Ich autografy dodawały otuchy w ponurych korytarzach. Tutaj nie przedostało się nic z zewnątrz,

musieli być pierwsi. Przypomniwał sobie, na ile dziwnych rzeczy można się natknąć w mrocznych warstwach metropolii, uprawiając miejską archeologię.

Ostrzeżenie po rosyjsku – zakaz wstępu – brzmiało na poważnie. Byli jednak przyzwyczajeni do ignorowania zakazów, a w czasie swoich wędrówek napotkali różne pułapki – prąd z nieszczelnych instalacji, gaz, skorodowane konstrukcje, a w podziemiach jednej z fabryki wdepnęli w cuchnąca breję wyglądającą jak czarny kisiel.

Włamali się do piwnicy i po ażurowej konstrukcji zeszli do niskiego pomieszczenia, pachnącego gorzką mieszanką lakieru, sparciałej gumy i wilgoci. Latarki wydobywały z ciemności sploty rur i kratownice prętów. W rogu stała para gumowych kaloszy jakby wrośnięta w niekompletną szachownicę płytek pcv.

Wrona wyjął ciężki dysk i położył go w trudno dostępnym kącie. Pomysł artefaktu przeniesionego z miejsca na miejsce przez kolejne grupy spodobał się nawet Płace. To była jak sztafeta w wymyślaniu coraz bardziej zwariowanych lokacji. Kwestia czasu, aż ktoś zdobędzie podziemia PKiN czy labirynt pod Centralnym.

– No to możemy spadać. Trochę się zmęczą, zanim to znajdą– powiedział Płaka, ale Wrona był daleki od zadowolenia.

– No nie wiem. Poczekaj, zobaczmy co jest tam.

W momencie, gdy w podziemnym labiryncie zostawili dysk tokarki, zrobiło się nieswojo. Płakę dopadło duszne, klaustrofobiczne poczucie zniecierpliwienia. Okazało się, że piwnica jest bardziej rozbudowana, niż na początku sądzili, a wąski korytarz zaprowadził ich do większego pomieszczenia. Gdy bliźniacze snopy latarek spoczęły na przeciwległej ścianie, obaj oniemieli ze zdziwienia. Przed nimi były potężne, stalowe drzwi przywodzące na myśl olbrzymi sejf lub grodzie na okręcie.

Nagle zniknęły wirujące w świetle drobinki kurzu, zmiecione przez podmuch przeciągu. Stanęli jak wryci, nasłuchując prądu chowającego się gdzieś w czeluściach bloku, niczym w głębokiej studni. Rzucili się do ucieczki w tej samej sekundzie, gdy snopy latarek zaczęły szperać po kątach.

– Stać to teren ambasady rosyjskiej! – krzyknął ktoś zatrważająco blisko.

Ucieczka trwała aż do momentu gdy silne ręce wyłowiły ich z ciemności. Wrona skończył z nosem w podłodze, a Płaka na muszce pistoletu. Ta zabawa poszła za daleko –

pomyślał, a jego przerażenie jeszcze wzrosło, gdy ubrany w wojskową kurtkę mężczyzna odezwał się do niego po rosyjsku – Nu charaszo małady czelawiek.

Przypomniiał sobie te czasy, gdy snuł się od lokalu do lokalu, zawsze w tej samej kolejności, zgodnie z tym samym rytuałem, do którego należało zatracanie się w obsesyjnym hazardzie. Znaleźli go kilka lat temu w Jałcie, w azylu dla przegranych oligarchów, którzy w furii oddawali się swoim mrocznym nałogom, trwoniąc resztki majątku dla samej euforii upadku. Dopadli go przy stole z kartami w rękę i osaczyli. Demonem i wysłannikiem był eleganckim szulerem, kanciarzem o wielkich manierach. Sam musiał być kiedyś hazardzistą, gdyż wiedział o grze wszystko. Podszedł go i zaproponował niebezpieczny zakład, a on w upojeniu zgodził się nim mogła powstrzymać go reszta zdrowego rozsądku. Później, gdy odkryli karty, okazało się, że oni mają same asy, a on przegrał pełną pulę.

W nowym budynku KGB, niczym niewyróżniającym się spośród przysadzistych budowli urzędniczej Moskwy, panowała biurokracja, działająca według własnych reguł. Potem zastanawiał się, czy gesty, skróty myślowe pomiędzy pracownikami, zawile procedury, których nie był już w stanie przeanalizować, nie mając nowych, komunikacyjnych kluczy dostępu, były tylko specyficzną relacją interpersonalną czy też kodem blokującym dostęp do informacji.

Jakim zaskoczeniem było dla Czerenkowa, gdy zamiast wypełnionego pracą biura, zobaczył niewykończone, pachnące mokrym cementem i świeżym tynkiem pokoje, a zamiast uspokajającego szumu wentylatorów, usłyszał tylko napastliwy szelest folii i monotonne bębnienie deszczu bijącego w siermiężny beton.

Sekretarka wskazała mu odpowiednie wejście, do którego trafił przechodząc między okienkami urzędników, a następnie przez kuchnię. Wzdłuż labirynt pomieszczeń różnych oddziałów, dotarł nareszcie do niepozornego biura oznaczonego kartką z zeszytu, wciśniętą za

pożółkły plastik – Kierownik Smirnow. Pachniało zapleczem sklepu meblarskiego. Nie tak sobie to wyobrażał. Poczłł nawet pewien zawłd.

– Wiktor Czerenkow, dwadzieścia sześć lat słuźby, oddział w Omsku, odznaczenia, cztery patenty, liczne wyjazdy, brak nagan. Przeprowadzał pan juź akcje podobne do tej. Dlatego zwróciliśmy się do osoby z największym doświadczeniem w tej delikatnej materii - przedstawił go jego dawny znajomy. Kiedyś to Czerenkow był jego przełożonym, teraz role się zmieniły.

To naprawdę o nim? – pomyślał Czerenkowo. Tamten człowiek zniknął w 1991 roku. To juź pięć lat temu. A teraz stał tu jego golem.

– Czasy są skomplikowane, sytuacja niestabilna – przejął pałeczkę Smirnow – dlatego nasze przywództwo –wypowiedział to słowo ze szczególnym naciskiem – zdecydowało się podjąć istotne kroki w celu unormowania stosunków z, że tak powiem, trudnymi sąsiadami. Jednym z wyznaczonych nam zadań, zajmiecie się wy, obywatelu i powiem wam szczerze, że akurat to zadanie ma kluczowe znaczenie. Zabrzmiało jak groźba – pomyślał Czerenkow – teraz, po pauzie nastąpi atak.

– Zdecydowano o opuszczeniu naleźących do naszej ambasady bloków mieszkalnych w Warszawie. Musimy przedtem tam posprzątać i wywieźć naszą własność. Operacja ma kryptonim „stront”. Przyświecają jej trzy cele – zabezpieczenie, odzyskanie, relokacja.

Czerenkow siedział jak wryty, nie mogąc z siebie nic wykrztusić. Uświadomił sobie, że degradacja i odsunięcie na boczny tor byłyby najlepszym scenariuszem. Nie śmiał pytać, co takiego ma odzyskać z Polski, wiedział że powiedzą mu tyle, ile uznają za stosowne.

– Na miejscu pozna pan swoją grupę i przygotowuje obiekt do wywozu. Zakładam, że będzie to przebiegało etapami. Nadrzędną, powtarzam, nadrzędną zasadą jest zachowanie transportu w tajemnicy. Przekonacie się o tym na miejscu.

Wyjaśnili mu, na czym będzie polegać operacja, omijając jednak odpowiedź na pytanie – co ma wywieźć. Wypracowany przez lata zmysł obserwacji podpowiadał mu, że któryś z puzzli nie pasuje do kompozycji. Takie umiejętności percepcji można było nazwać nieświadomą kompetencją. Tylko właśnie nie był świadomy, co było nie tak. To było jak poprawne zdanie, które miało jednak w sobie semantyczną wieloznaczność i musiał teraz rozwikłać relację syntagmatyczną niepasujących do siebie szczegółów.

Czerenkowo siedział z otwartymi oczami, aż zaczęły go szczypać. Kągiebowcy spojrzeli na niego z niepokojem. Pewnie w tej samej chwili przez ich głowy przemknęło pytanie, czy na pewno wybrali właściwego człowieka. Ich słowa strzelały niczym pioruny w klatce Faradaya. W samym środku był Czerenkow kulący się ze strachu.

Tego popołudnia niewiele się działo. Przynajmniej tutaj, na Mokotowie. Jakaś kobieta w kwiecistej sukience i przydługiej kurtce pchała mały wózek obok zmatowiałej witryny z maszynami do szycia. Z mikroświatów wystaw spoglądały wszystkie te koślawe przedmioty ery niedoboru, rzeczy z ponurego wymiaru, które zaciemniały i tak ciasne mieszkania społeczeństwa zbieraczy. Trwały tam, w swoich limbach, bezwstydnie archaiczne i ostentacyjnie niemodne, wskrzeszone z martwych. Ludzie mieli nieco wyrzutów sumienia, bo wyrzuciliśmy je na śmietnik, upchnęli pod łóżko lub do piwnicy. Być może lepiej by było, gdyby tam pozostały. Są nastawione ironicznie, jakby wiedziały, że kiedyś wrócą do tego wymiaru, dogonią nas i przeżyją.

Odłożył krzyżówkę jolkę, poprawił się w siedzeniu swojego Golfa trójki. Ktoś przyglądał się beretom na popiersiach manekinów, a do sklepu przywieźli Coca-Colę. Ponadto nic godnego zanotowania. A Przyłębski uwielbiał notować. Był w końcu dziennikarzem i to nie było jakim. Tak przynajmniej uważał.

Odruchowo sięgnął do kieszeni swojej ramoneski po Davidoffy, ale przypomniał sobie, że już nie pali, przynajmniej nie na trzeźwo. Potem wyszedł kupić zapiekankę z kiosku z nadtopioną ścianą. I dalej obserwował blok. Był przyzwyczajony do godzin nudnego oczekiwania niczym paparazzi. Trzeba jednak przyznać, że w sprawie prywatyzacji Ożarowa działo się więcej. Musiał być cierpliwy, od dawna nie podchwycił czegoś naprawdę gorącego. A ilość tytułów pisanych wielkimi literami na okładce ustawiała cię w hierarchii. Liczyła się tylko pierwsza strona.

Puścił kasetę De Mono, pstryknął dawno wysuszony wunderbaum i cyknął kilka fotek małpką Minolty. Czasami zastanawiał się, dlaczegoś coś robi, już w trakcie robienia tego. Tak było z tą całą rywalizacją z byłą żoną. Zaczęło się, gdy miesiąc po rozwodzie zobaczył ją z Grochalem na Foksal, a potem natknął się w kioskach na swoje własne nazwisko na okładce konkurencji choć to nie były jego artykuły. Zawsze miała niezły, cięty, ironiczny styl, wychwytywał dobrze znane zwroty, nieco wyświechtane, ale celne. Postanowił, że będzie pisał inaczej.

Na przykład ta sprawa z radzieckimi wojskami. Po tym, jak ostatnie pociągi przeskoczyły na szerokie tory i odjechały w siną dał, Rosjanie wcale nie mieli zamiaru się wyprowadzać. Do tego nasi nie mieli zamiaru ich wyrzucać. Kto i komu płacił za te obiekty?

Nie dowie się tego od kurierów chodzących do rosyjskiego budynku na Sobieskiego 100. Prędzej od bywalców tajemniczego klubu zwanego sotką. Krążyły o nim różne miejskie legendy. Jedno było pewne – ruscy zamawiali bardzo dużo pizzy, listonoszy, kurierów i innych dowozicieli. Przy małej furtce panował od kilku dni wyjątkowy ruch.

Spojrzał na zegarek. Była 11:55, 21 maja, 1996 roku. W radiu leciała Celine Dion.

Prawdę powiedział mu Volkov. Urzędnik, w typie kafkowskim przedstawił to tak sucho jak to możliwe, na jednym wdechu. W tym czasie, Czerenkow mało nie zemdłał. Wcześniej odczuwał ciekawość, o co chodzi – o bursztynową komnatę, o czarną wołgę? Czerenkow lubił z tego żartować, ale prawda okazała się dużo bardziej poważna, zresztą Volkov nie wyglądał na typ żartownisia.

Odtąd, spacer po zacienionym ogrodzie wokół ambasady stały się jego rytuałem. To w czasie jednego z nich wpadł na pomysł, a potem już tylko utwierdzał się w postanowieniu. Teraz taki sposób działania wydawał mu się oczywistą koniecznością.

Jego zespół był już w Warszawie. Personel placówki zapewnił im niezbędne środki bezpieczeństwa i wszystko, czego potrzebowali. Ich akcja miała najwyższy priorytet. Tego wieczora, po solidnej kolacji, zebrali się na naradę sztabową wokół dębowego stołu. Za oknem rozciągał się widok na kamienny taras i żywopłoty. Po upalnym dniu zbierało się na wiosenną burzę.

Czerenkow przez pierwsze dni wyrabiał sobie posłuch w zespole. Samo jego obecne stanowisko sugerowało, że jest ekspertem na właściwym miejscu, a jednak nie do końca mu się to udało. Platonow zbratał się z innym wojskowym Nikolaewem. Waleria Stiopanova znalazła wspólny język z Kuznetsowem. Pozostali, Orłow i Volkow niewiele się odzywali. Miał wrażenie, że każdy pilnuje tu każdego, tylko on, w tym zazębionym układzie ma inne zadanie – musi naprawdę coś wymyślić.

Po krótkim wstępie nadszedł czas na ogłoszenie planu. Zaczerpnął powietrze i możliwie spokojnie wyjaśnił :

– Obiekt zostanie rozmontowany i ukryty na terenie kraju, w którym jesteśmy - Tak jak sądził, jego słowa wywołały niemałe zamieszanie.

– Chce pan to pociąć? – zapytała profesor Waleria Stiopanova, patrząc na niego znacząco zza grubych okularów.

– Czyli z pociągiem nie przejdzie? Pod brezent i wywieźć jako sprzęt wojskowy – powiedział Platonow.

– Już kilkakrotnie omawialiśmy tę kwestię. To już niemożliwe. Ostatnia relokacja naszych oddziałów zakończyła się, teraz Polacy wszystko kontrolują.

– No dobrze, niech pan mówi. To wydaje się rozsądne, choć...na pierwszy rzut oka, niebezpieczne. – Wzięła go w obronę Stiopanova.

– Szczegóły będziemy omawiać na kolejnych spotkaniach. Manewr skonsultowałem z górą. Teraz przedstawię ogólne jego założenia. Omijamy najpoważniejszy problem przetransportowania obiektu. Pierwotnie rozważałem posłużenie się szlakiem kontrabandy, na przykład użycie tak zwanych mrówek do przeniesienia transportu w paczkach po papierosach. Można by wykorzystać szarą strefę z kupcami ze stadionu. Ostatecznie jednak uważam to za zbyt niebezpieczne. Złapanie większej ilości przemytników lub nieostrożny kontakt zwróci

uwagę i rozpocznie śledztwo. Przede wszystkim nie możemy dopuścić do tego, żeby strona Polska wpadła na jakikolwiek, powtarzam jakikolwiek trop.

Na zewnątrz błysnęło, lecz chyba tylko on to zauważył. To nie lampa błyskowa – uspokoił się, ale poczekał na cichy pomruk grzmotu.

– Utylizacja na miejscu pozwoli nam ograniczyć do minimum ryzyku dekonspiracji. Badając konstrukcję obiektu, ważącego 1,1 tony, oszacowałem, że będziemy musieli pociąć go na około czterdzieści tysięcy kawałków. Niektórych części nie da się rozłożyć, będą musiały być zakopane w całości. To zadanie wezmę na siebie osobiście. Sprzęt zakupimy na miejscu poprzez firmy budowlane. Musimy być samowystarczalni. Znalezienie nawet kilku procent fragmentów, nie może sugerować przeznaczenie obiektu.

– A kto i gdzie zakopie części? Wzmożony ruch personelu natychmiast wzbudzi podejrzenia

– Będziemy wynosić po trochu przy każdej okazji. Codziennie. To potrwa. Do tego zatrudnimy swoich kelnerów, dostarczycieli, dowozicieli, taksówkarzy, każdego, kto ma kontakt z ambasadą. I będziemy zakopywać w określonym radiance. Dużą część będzie można po prostu wrzucić do kosza w dowolnej części Warszawy. Kawałki będą nie do rozpoznania.

Chyba dali się przekonać, ułożyli usta w podkowę i pokiwali głowami. Stiopanowa klasnęła w dłonie, a Orłow wstał od stołu i podszedł do okna, po którym spływały duże krople deszczu.

Regulowane słuchawki z giełdy na Wolumenie lekko zsuwały się z uszu, ale Sting brzmiał w nich znakomicie nawet w korku. Jego wueska mozolnie przeciskała się między samochodami. Na tyłach straszyl ciemny zaułek, jakby fragment drugiego obiegu miasta. Zrobił sobie tamtędy skrót. Minął migający kiczowatymi stroboskopami i obwieszony płachtami Sezam i wyjechał na zaniedbany pasaż. Omijając pijaczków, cygańskie wróżki i straganiarzy wypadł z

drugiej strony przy Rotundzie. Podłączył się za autobus. Z ortalionowej kurtki wyjął kartkę z centrali – Sobieskiego 100. Chwilę się spóźni.

Na miejscu było spokojniej. Strzał z rury wydechowej obudził stado gołębi na podwórku i długowłosego faceta w skórze, który przysypiał na betonowym kwietniku naprzeciwko. Na zewnątrz wyszli też wartownicy. Wręczyli paczkę kurierowi w t-shirtcie Fruit of the Loom i kazali podpisać. Facet w skórze zerwał się i pobiegł do swojego Golfa.

Przyłębski postanowił, że to będzie właściwy cel. Ten motorek nie może mu uciec. Chłopak ewidentnie coś dostał od Rosjan i był już trzeci dzisiejszego dnia po taksówkarzu i listonoszu.

Ruszyli w stronę centrum. Trzymał się blisko, gotowy dać gazu. Ich jazda szybko zmieniła się w pościg. Tamten nic nie zauważył, po prostu się spieszył. Przyłębski modlił się przy każdym świetle, ale zielona fala pozwalała im pędzić na północ.

Za MDMem napotkał wzrok chłopaka w lusterku. Kurier był nerwowy, spłoszył się i dodał gazu. Teraz to była prawdziwa gonitwa. Chłopak wjechał na chodnik, wywrócił się i porzucając motocykl, pobiegł w stronę targowiska pod Pałacem Kultury. Pokaleczył sobie dłoń. Ostre drobinki szkła zalegające na poboczach drogi, poszarpane kawałki urwanego zderzaka świadczyły o gwałtowności miasta. Przyłębski zostawił Golfa na środku ronda i przeskakując przez ulicę, ruszył za nim.

Wpadli w gąszcz straganów. Wbiegli w alejkę z pepegami i stoiskami kaset VHS. Świat różowych reklam, wyabstrachowanych mikroświatów firm kończących się na pol i ex, prusakolep, Niki Lauda, magnetowidy, wyspy z palmą, bogactwo krojów, amatorski dizajn z hurtowni, eurodisco, audio–video za kujawską firanką. Potrafił kogoś z walkmanem, wpadł w kanciasty sznyt Hitachi. I tam nagle poszybował w objęcia jeansów i adidasów. Kurier okazał się sprytniejszy. Schował się za zasłoną mikroskopijnej przymierzalni i pchnął rozpędzonego Przyłębskiego.

Dziennikarz stracił orientację. Zanurkował w prowizoryczny, przejrzały świat. Plakaty czerwonego Lamborghini, nieosiągalny luksus, wysmukłe rakiety do badmintonu, które w pastelowym lakierze odbijają odbłaski słońca w zenicie. Wynurzył się i otrząsnął z tych wszystkich przedmiotów. Z dziwną satysfakcją pobiegł w stronę samochodu.

Wypili toast z grawerowanych kryształów. W ambasadzie panował dzisiaj świetny nastrój. Zneutralizowali już połowę obiektu, jego rozbiórka nabierała tempa. Jedyne względy bezpieczeństwa hamowały proces. Oczywiście nie wszystko szło gładko. Pojawił się pierwsze poważne problemy. W końcu musiały się pojawić.

Czuł ciężar tej misji i wiedział, że musi dźwigać go w samotności, że niesie go wraz z odpowiedzialnością za los tysięcy ludzi, których nigdy nie spotka. Racja, miał już kilka momentów, gdy wydawało mu się, że cały świat, z dyrektorami i całą świtą, przysiadł mu na ramieniu. Jak wtedy gdy w popłochu gasili czernobylski płomień, rękoma, wszystkim co się dało. Był tam tego pamiętnego marca, w samym środku wydarzeń, w pobliżu rozbieganego reaktora jego gardło chłonęło promienie jak gąbka. Doglądał prac, miotał się między tunelem pod reaktorem, a centrum dowodzenia, wsłuchiwał w oszalałe trzaskanie aparatury rejestrujących wyrzut. W głowie utkwił mu ten słynny dach, z którego likwidatorzy miotłami usuwali promieniujący gruz. Było tam coś mistycznego, zetknął się tam z niezmierną mocą. Po powrocie rodzina długo nie mogła poznać w nim tego samego człowieka.

Kelner poinformował Czerenkowa, że przy telefonie oczekuje go ważny rozmówca. Przed wejściem do gabinetu odchrząknął, przetarł wysuszone oczy. Chyba miał gorączkę. Jego obawy się potwierdziły. Przy telefonie był sam kierownik Smirnow. Szybko przeszli do konkretów, jego rozmówca nie stawiał na kurtuazję. W końcu musiał mu zdać kolejny raport. Im lepiej będzie się układać współpraca, tym większe ma szanse wyjść z tego bez szwanku.

– Oprócz dobrych wiadomości mam też... – zatrzymał się, żeby nie użyć tego słowa, ale Smirnow go ubiegł :

– Nie przyjmuje złych wiadomości Wiktorze Czerenkow. Nie ma tu miejsca na złe wiadomości. Smirnov był wyraźnie zdenerwowany, nie tak to miało wyglądać, Czerenkowa natychmiast opuściły resztki dobrego nastroju.

– Może źle się wyraziłem. To normalne problemy przy tego rodzaju operacji. Wchodzi ona w gorącą fazę. Trochę tego znalazło się na zewnątrz, to znaczy w piwnicy pod budynkiem. Ludzie nie mogą przy tym za długo pracować, potrzebna jest rotacja. Był drobny wypadek, ale kontynuujemy akcję bez szwanku. Nasi gospodarze nie mają pojęcia, co tu się dzieje. Zresztą, na pewno sami trzymacie rękę na pulsie.

– Musicie przyspieszyć. To trwa zbyt długo.

– Oczywiście możemy, ale – chciał tutaj zaproponować, ale nie znalazł w sobie tyle siły – będziemy musieli kończyć własnoręcznie, cały zdrowy personel zostanie rzucony na ten odcinek.

– Świetnie, taka postawa mi się podoba. Oczekuję szczegółowego raportu do jutrzejszego wieczora. I trzymajcie się tam, robicie wielką rzecz, Związek...Rosja, wam tego nie zapomni. Telefon spoczął na widelkach. Czerenkov otarł pot i ciężko opadł na fotel. Koniec świętowania, należy wrócić do pracy.

Ostatnie dni przyniosły pierwsze efekty, choć w redakcji łapali się za głowę, gdy opowiadał czym się teraz zajmuje. Musiał wziąć sobie kilka normalnych tematów, żeby go nie wylali. Może i miał opinię, ale kto by chciał utrzymać pracownika, który bierze pieniądze za śledzenie dostawców pizzy i tak jak teraz – śmieciarek.

Tereny za dworcem zachodnim to były odcięte od miasta pustkowia z torowiskami i ceglanyimi zabudowaniami kolejowymi. Leżało tam zapomniane, małe osiedle. Dookoła same ugory, gdzieniegdzie jakiś bunkier, spalona ruina lub skup złomu.

Dotąd zebrał trzy kawałki żelastwa. Porzucili je ludzie, którzy w jakiś sposób zetknęli się z budynkiem na Sobieskiego. Gdy cyrklem nakreślił radiant, miejsca wyrzucenia obiektów były stosunkowo podobne. Zawsze były tu jakieś odludzia, których istnienie ledwo przeczuwał.

Te odłogi miały swoją przeszłość, choć nie znajdziemy o niej wzmianek w przewodnikach. Miały też jakąś przyszłość. Może kiedyś zostaną pokryte masowo produkowanymi osiedlami lub biurami, a może, w jakimś innym czasie, w innej rzeczywistości znów ruszą tu taśmociągi fabryk. Błotnista droga wiodła w środek niczego. Minęli dawną wagonownię, kilka lokomotyw stojących na bocznicy, terminal kontenerowy, mozolący się przez wertepy autobus, niewielkie poletko uprawne, otoczone murem ze sklejki i blachy, zdziczałe działki, tonące w niezdrowej bujności chwastów.

Kiedy śmieciarka zniknęła za bramą jednego z zakładów, po prostu wysiadł z samochodu i poszedł za nią. Przy stróżówce nikt go nie zatrzymał. Wydalone odrzuty cywilizacji były w tutejszej kompostowni mielone na miazgę i wychodziły w postaci śmierdzącej pulpy.

Przyłębski schował się za górą śmieci. Nad jego głową latały ptaki. Pomyślał o morzu, ale zaraz na ziemię przywrócił go łoskot otwierających się szczęk śmieciarki. Kolejna porcja odpadów wylądowała na górze. Dokładnie zapamiętał miejsce i długo czekał, aż zostanie sam na wysypisku.

Ktoś pchnął go na blachę kontenera. Nagle wszystko zawirowało, stracił czucie sparaliżowany niewidoczną siłą. Myślał przez chwilę, że spada w przepaść. Ocknęło go silne uderzenie o ziemię i widok trzaskającego przed nosem paralizatora. Mistrzem judo, okazał się być potężny typ w żółtym kombinezonie śmieciarza. Drugi z napastników machał mu przed twarzą elektrycznym łukiem.

– Kim jesteś?

Przyłębski zacisnął usta i pokręcił głową. Osilek chwycił go za mankiet i z dzikim uśmiechem i jakąś nadludzką siłą wcisnął w ścianę kontenera.

– Po co za nami jeździsz?

Każda z mętnych prób wytłumaczenia wydała mu się zbyt głupia, a powiedzenie prawdy zbyt niebezpieczne, postanowił więc milczeć. Mógł mieć tylko nadzieję, że uznają, że jest tylko wścibskim gapiem, który nie stanowi dla nich zagrożenia.

– Nie chcesz mówić? Dobrze – powiedział tamen tuż przy jego twarzy. Drugi w tym czasie wyjął jego portfel i oglądał dowód oraz legitymację dziennikarza.

– A więc posłuchaj Przyłębski. To jest ostatnie ostrzeżenie. Masz zakaz zbliżania się do Sobieskiego, rozumiesz? Trzymaj się z daleka. Nigdy nas nie widziałeś. Rozumiesz?! – wydarł się drugi wprost do jego ucha.

Pokiwał głową na znak, że rozumie i zacisnął oczy, czekając co się stanie. Po chwili usłyszał oddalające się kroki. Drżącą ręką wyłączył nagrywanie w dyktafonie.

Jeszcze tego wieczora, siedział w redakcji i odtwarzał taśmę swojemu szefowi, drugą ręką przyciskając siatkę z lodem do oka.

– Nawet nie wiesz kto to był. Masz numery tej śmierciarki? Dziwisz się, że policja cię zbyła?

– Nie, ale dziwie się, że ty to robisz.

– Nie robię, po prostu nie wiem, od czego zacząć. Mamy puścić artykuł o tym, że ruscy z ambasady, przebrani za śmieciarzy pobili dziennikarza za kawałek napromieniowanego żelastwa?

– Dokładnie tak. Przedostatnie słowo jest najważniejsze. W innym wypadku nie zawracałbym ci głowy. Mamy już nawet tytuł.

– Jak w ogóle wpadłeś na ten pomysł?

– Wiesz, siedziałem w domu. Położyłem te kawałki na stoliku obok telewizora, gdy nagle sprzęt zaczął szaleć.

– Może masz zepsuty telewizor?

– Niemożliwe. To nowiutki Grundig. Poszedłem na domy centrum. Wyjąłem to przy wystawie telewizorów. I znów to samo, pasy, śnieżenie. Tak przecież musi wyglądać promieniowanie.

Czerenkow stał na skraju kartofliska z reklamówką Boss w ręku. Dzień chylił się ku końcowi. Był ostatnim likwidatorem, wszystkie fragmenty obiektu zostały ukryte. Mapa w sztabie roiała się od czerwonych pinesek.

Pozostał tylko ten. Przewiózł go tramwajem, a potem podmiejskim autobusem. Zgodnie z napisaną przez siebie instrukcją, zaniósł w najdalszy perymetr, wykopał ręką głęboki dołek i umieścił w niej ciężki obiekt. Jeśli ktoś go znajdzie, uzna go za kawałek żelastwa. Kto pomyśli, że w rowie obok jego pola leży głowica jądrowa bomby typu 8U49 o mocy pięciu kiloton? Niewiele brakowało. Jakiś ambitny dziennikarz wpadł na trop i znalazł kilka części. Śledztwo ucięło, ale tamten napisał sensacyjny artykuł, tworząc legendę budynku na Sobieskiego 100.

Strzepnął kępkę włosów z ramienia i ciężko zakaszłał. Rozbroili pułapkę, zostawioną na wypadek, gdyby wojska NATO zdobyły Warszawę. Wiele ich to kosztowało, takiej prowizorki nie było od osiemdziesiątego szóstego. Może uratował ludzi i uchronił świat przed echem zimnej wojny, ale teraz musiał wrócić za pozostałymi do rodziny, do Moskwy i pomyśleć o sobie. Świat się o tym nie dowie, ale jeśli nie zamkną go łagrze albo w psychiatryku, gdzie będzie wygadywał, że pociął bombę atomową w warszawskiej piwnicy, to może w najtajniejszych aktach nazwą jego manewr – perymetrem Czerenkowa.

Dryfowanie

To był środek lata, czas poranków koloru sepii, żółtych od słońca dni, cyjanowych wieczorów i atramentowych nocy. W południe, miasto Brasilia miało barwy wypłowiałej, pozbawionej kontrastu pocztówki. Długie pasy pożółkłych trawników, ślimaki dróg i rzędy modernistycznych bloków, ciągnące się po nieskończony horyzont.

Rooker spędzał dzień, spacerując po pustych placach, przechodząc łącznikami ponad bezpańskimi przestrzeniami, wpatrując się w parkingi dla autobusów i przesuwające się w ciszy, odległe strumienie samochodów. Czasami oglądał masywne bilbordy, wystające ponad linię wiaduktów. Naliczył kilkanaście wielkich reklam bestsellera sławnego coacha z hasłem „rozwijaj się”. Jego była żona, pracowała w agencji medialnej, promującej tego typu pozycje, rozchodzące się w setkach tysięcy egzemplarzy. Sam do niedawna miał biblioteczkę takich książek. Uważał to obecnie za dość zabawne.

„Postęp, jest jedyną stałą we wszechświecie” – głosił cytat na jednym z telebimów. W tej chwili nie zastanawiał się nad tym za bardzo. Szczerze mówiąc, był wystarczająco zadowolony z powodu z wolna sunących pływów czasu i ze swojego własnego dryfowania.

Jakieś kilka miesięcy temu nastąpiła dziwna zmiana. Jakby struktura czasu nagle rozciągnęła się i wydłużyła, a sinusoida nastrojów i wydarzeń spłaszczyła się niemal do linii prostej. Sam nie wiedział, kiedy to się zaczęło. Może to była ostatnia rozprawa rozwodowa, oddanie kluczy do swojego własnego mieszkania, złożenie wypowiedzenia, czy wtedy jak upadł mu telefon i ekran rozbił się na setki drobnych kawałków. Nie było chyba żadnej cezury albo

wydarzenia, które wyznaczałoby moment przesilenia. W pewnym momencie nurt rzeki po prostu się zatrzymał.

Mieszkanie, które wtedy wynajął, może nie było najlepszym adresem w mieście, ale dało się lubić. Piąte piętro było na tyle wysokie, że miał widok na otwartą przestrzeń i na tyle niskie, że nie tracił kontaktu z ulicą. Jego nowy dom, mieścił się w funkcjonalnym bloku, miał balkon wychodzący na morze betonu i szare tarasy, na których dogorywała roślinność. Salon był zawsze nagrany od słońca, tylko umieszczone w czymś na kształt wykuszu okienko w kuchni nie dawało zbyt wiele światła.

Często wychodził na balkon i przeganiając gołębie, siadał przy plastikowym stoliku, nadpalonym papierosami przez poprzednich lokatorów. Siedział tam z laptopem, gdy odczytał maila zapraszającego go na rozmowę do nowej pracy. To było call center, coś na szybko. Gdy odchodził z dobrego stanowiska w banku, nie miał nic nowego na oku. Będzie tam jednym ze starszych pracowników, ale postanowił się tym nie przejmować.

Trafił w sam środek wielkiego open space, wyłożonego kilometrami kwadratowymi zielonej wykładziny. Wielkim marzeniem pracowników było uzyskanie miejsca możliwie najbliżej okien. Początkowo odbierał telefony przychodzące od ludzi reklamujących klimatyzację, potem jak to zwykle bywa, przenieśli go do sprzedawania ozonatorów i mierników zanieczyszczenia powietrza. Mało kto był zainteresowany. Zepsuł mu się wtedy samochód, więc zostawił go na nasłonecznionym placu pomiędzy wiaduktami. Spod biura, wracał kolejką. W połowie drogi postanowił, że znajdzie pracę gdzieś bliżej.

Wybrał ogłoszenie z miejsca, które mógł dostrzec z własnego balkonu. Wieżowiec z fasadą przypominającą wielką, trochę pordezwiąła żaluzję. W tej dzielnicy dominował przejrząły sznyt utopijnej epoki, formalizm wzbogacony o wywietrzniki, wypustki, wentylatory. Raczej mało szkła, a więcej ciężaru.

Wnętrze budynku go zaskoczyło. Długo szukał odpowiedniego wejścia. Zadzwoił domofonem, wbudowanym w piaskową ścianę. W tym czasie patrzył na plakaty, które bombardowały go obrazami rajskich plaży, przeplatanych z wymyślnymi hasłami reklam proszków do dezynsekcji. Podobno miasto opanowała plaga karaluchów, choć ostatnio żadnego nie widział. Trudno było ustalić coś naprawdę, ale kompletnie o to nie dbał.

W holu paliły się telewizory z dźwiękiem ustawionym na poziom tła. Napis – poczekalnia – nadawał znaczenie temu surowemu miejscu. Na jednej ze ścian, ponad automatem z tanim jedzeniem od Kochen&Backen, był telewizor. Leciąco pasmo reklamowe z zeszłego roku. W milczeniu wpatrywali się w ekran dwaj podobnie ubrani mężczyźni. Na ich twarzach rysowało się napięcie, dłonie kurczowo zaciskali na podniszczonych teczkach, wyglądających na wypchane dokumentami.

– Czekają panowie tam? – pokazał palcem obrotowe drzwi.

– Do Schwitters – odpowiedzieli niemal jednocześnie, a ich głos zabrzmiał jak źle dostrojony syntezator mowy. Chciał usiąść na plastikowej ławce, ale głośnik wezwał go do wejścia. Był zdziwiony tym wyróżnieniem, ale nie miał zamiaru protestować. Obaj petenci prychnęli jednocześnie.

Przeszedł przez drzwi, a potem przez następne. Tam, powitała go bucząca bramka laserowa. Biuro wyglądało trochę jak z poprzedniej epoki. Nawet podobał mu się ten brak form i reguł znanych z innych firm, ta beztroska nonszalancja. Uwagę zwracały liczne niebieskie ekrany. Nadzorujący pracę mężczyzna w odblaskowym garniturze miał dzięki nim wgląd, co robili podlegli mu ludzie. Byli na nich mężczyźni, którzy siedzieli w różnych miejscach i patrzyli się w przestrzeń. Wkrótce stał się jednym z nich.

Zlecenie, które dostał, było dziwne, choć spodobało mu się, ze względu na samodzielność. Dostał ogrodowe krzesło na jednym z betonowych balkonów i liczył samochody wjeżdżające do centrum handlowego. Gdy ruch wieczorem malał, dla samego siebie oglądał trajektorie lotów sztucznych satelitów.

Gdy któregoś dnia zapadł w letarg, ktoś krzyknął jego imię. Wydawało mu się, że ktoś woła go we śnie, ale przed nim stał Moreira, jego dawny znajomy ze studiów. Zupełnie o nim zapomniał, tak jak o wielu znajomych. Moreira zdawał się pochodzić z jeszcze wcześniejszych warstw jego przeszłości, z czasów gdy wszystko wydawało się prostsze, albo może zdążył zapomnieć, jak było skomplikowane, mając przed oczami jedyni esencję, puszczony na kasecie w trybie przyspieszenia, skrót tych lat. Ucieszył się na jego widok. Opowiedział mu o swoich zmianach, choć nie robiło to wrażenia na Moreirze, który przecież nie był na bieżąco z jego życiem i mógł co najwyżej pamiętać, jak bawili się na imprezach w dawno nieistniejących lokalach. O dziwo, Moreira zdawał się jednak nadal tkwić na niezmienionej linii czasu. Rooker

uświadomił sobie, jak one splatają się ze sobą, przenicowują, wyobraził je sobie jako ocean świecących i wydłużających się nicieni.

Moreira wciąż związany był z muzyką, choć nie prowadził już audycji radiowych, przez jakiś czas wędrował po mieście, tułał się od drzwi do drzwi dawnych przyjaciół i byłych dziewczyn. W końcu zajął się prowadzeniem sklepu z płytami, puszczał muzykę na imprezach bogatych dzieciaków, chcących być retro. Co prawda Dj-em był żadnym, ale tak potrafił dobrać kawałki, że wszyscy szaleli. Miał po prostu dobry gust.

– Hej, a może chciałbyś zmienić pracę?

– Dobrze mi się tu siedzi.

– Widzę, ale może masz ochotę poznać kilku ludzi, wiesz, wciągnąć się w coś, dryfowanie jest ok, ale czasami można nadać temu jakiś kierunek.

– Nie, chyba nie potrzebuję nowego towarzystwa.

– Jak się zdecydujesz, dać znać.

– A co to za praca?

– Taki sklep z muzyką, wiesz, starocie.

Pod wpływem spotkania, w ciągu kilku następnych dni, Rooker odszukał w sieci garść zespołów, których wtedy się słuchało. Linki zaprowadziły go w coraz niższe pokłady sieci, gdzie autentyczne wspomnienia mieszały się z popkulturowymi przeźrocami. Starał się, wśród tych kopii pokoleniowej pamięci, odzyskać coś, co należało też do niego. W tych poszukiwaniach, nurkował coraz głębiej, niczym w pudełku duchów Edissona, wsłuchiwał się w głosy swoich własnych wersji, gdy był innym człowiekiem. Niczym archeolog własnej przeszłości, zaczął odgruzowywać dawno zapomniane przejścia. Gdzieś tam, musiały leżeć mitologiczne krainy złotych czasów. Uważał, że tak jak każdy, miał w życiu kilka wielkich epok, kiedy terażniejszość była terażniejszością i działały się rzeczy wyrastające wysoko ponad uniwersalną codzienność.

Stwierdził, że jest to kwestia gotowości wyobraźni, dostrojenia częstotliwości umysłu do odmiennych stanów świadomości, uwolnienia jakiegoś wewnętrznego narkotyku. Podświadomość zdaje się przeczuwać takie momenty, choć człowiek ich kilkumiesięczną obecność uświadamia sobie już prawie po fakcie. Wtedy jest to etap schyłkowy. Pamięć o tych wydarzeniach była wyraźniejsza, czasami pamiętał z dużym realizmem, godzina po godzinie, te

dni, które poprzedzały magiczne epoki. Te wielkie sezony, nadchodzą kiedy im się podoba, zwykle z jakimiś osobami, choć w pewnym stopniu można je sprowokować do pojawienia się.

Pomimo bezcelowości przywrócenia tych odmiennych stanów, próbował choć musnąć ich powierzchnię. Echo wielkich epok objawiało się czasami jakimś migotaniem rzeczywistości, zapachem, smakiem powietrza, nastrojem, nakazującym zerwać się i iść w poprzek czasu. Żerowały na tym całe rejestry muzyki, pola magnetyczne dźwięków, odsyłające wprost do zmyślonych wymiarów nostalgii. Te poszukiwania przekonały go by zgodzić się na ofertę Moreiry.

Do sklepu z winylami zajrzał w okresie, gdy po pamiętnych upałach, zaczęły się obfite deszcze. Było to miejsce na zapleczu ulicy, wciśnięte w boczną alejkę. Tutaj budynki oddychały, wyrzucając kłęby pary, wywary z kuchni i gorąc z klimatyzatorów. Pomimo wielu wiatraków w sklepie było duszno. Panował poszatkowany żaluzjami półmrok barwy sepii. Brakowało stróżki papierosowego dymu, unoszącego się znad popielniczki oraz plakietki – prywatny detektyw. Zamiast niego, przysypiało tam zawsze dwóch sprzedawców. Wybudzali się tylko na hasło związane z muzyką, o której wydawało się, że wiedzą więcej niż sieć.

Rooker, mając teraz dostęp do bogatych banków pamięci, rozpoczął poszukiwania rzadkich dźwięków z młodości, szperał w zapleśniałych archiwach rozsianych po całym mieście. Na zlecenie sprzedawców, wyszukiwał podprogowych komunikatów na rzadkich, niemal przypadkowo nagranych płytach. Wysyłały go w przeszłość, rzeka czasu spowalniała, aż w końcu się zatrzymała. Problem był w tym, że w młodości słuchał beznadziejnej muzyki. Teraz konstruował nową ścieżkę dźwiękową tamtego okresu. Kiedyś marzył o wspaniałej przyszłości, dziś śnił o wielkiej przeszłości.

Skupowali odpryski wystawy światowej z lat pięćdziesiątych, plakaty i okładki ze służącymi robotami, z którymi można porozmawiać, gdy one przygotowują kąpiel w podgrzaną niemal darmową energią z fuzji, jedząc pożywne pastylki zamiast obiadów, zabezpieczające przed wszelkimi chorobami, kiedy oglądasz w telewizji transmisję z lądowania na kolejnych planetach układu słonecznego lub reklamy wakacji na księżycu. Co z tego, że telewizor nie jest płaski, a z dużym kineskopem, jeśli zapracowałeś na niego, obsługując komputer myślami i to tylko kilkanaście godzin w tygodniu.

Chrononauci, bo tak nazywali siebie ludzie ze sklepu, wpadli wtedy na osobliwy pomysł osobistej maszyny czasu. Zgodnie z ich zaleceniami trenował odwracanie czasu, głównie poprzez beczynność, choć jego ostatnie dwa miesiące były dokładnie tym, o czym mówili jego nowi towarzysze. Podczas gdy oni wizualizowali sobie jakieś zaprzese kontinuum, on, od jakiegoś czasu, kawałek po kawałku rozbrajał terażniejszość.

Przeszłość oglądał za to, jak na taśmie VHS puszczonej na przyspieszeniu, wspominał ekspresowo jakieś urywki pamięci. Gdy biegał za piłką na boisku, gdy otaczał się masą ludzi, gdy przenieśli się na jakiś czas nad morze z dziećmi, gdy wrócili do stolicy, gdy awansował w banku i wkrótce zrozumiał, że jest zamożny oraz moment, gdy przestało go to obchodzić.

Pewnego dnia wrócił Moreira z dalekiej wyprawy po winyle i Rooker musiał zwolnić stanowisko. Dawny przyjaciel nie odprawił go jednak z niczym i skontaktował z człowiekiem który miał dla niego zlecenie.

– To jest prawdziwa bomba – powiedział podekscytowany, podając mu wizytówkę – sam czuje się jak agent Międzystrefy. To brzmi nie jak przeszłość, ale jak alternatywa dla obecnej chwili.

Padało już trzeci dzień, kiedy pojechał po wskazany adres. Miasto wysyłało w eter pogłos ulicy i tęskne zawodzenie syren. Stary jazz i głos spikera dobiegały z okna. Ciemna układanka wysokościowców kontrastowała z ciągami witryn i nocnych sklepów, a światła układały się w typografię miasta, tworzyły oniryczny czas pionierskiej grafiki komputerowej.

Przeszedł obok budki telefonicznej, na tyle wolno by usłyszeć sygnał i rozmowę w obcym języku, turyści w przezroczystych płaszczach przeciwdeszczowych przebiegali przez pasy, światło sygnalizacji i migających billboardów ślizgało się po kałużach i szklanych fasadach biur. Metr dalej, w wyrwach między blokami ziały kopalniane szyby tylnych uliczek. Musiał

wejść w jedną z nich by odnaleźć szylc – Dezelbot. Jego nowa praca schowana była między kontenery na śmieci i rusztowania schodów pożarowych.

Warsztat nie przypominał nic co widział do tej pory. No stołach kreślarskich leżały części rozebranych maszyn – zwykle sprzęty RTV AGD, ale i robot czyszczący, podobny do żółwia przewróconego na skorupę.

Niewielki mężczyzna w sile wieku pracował nad stołem. Na głowie miał duży zestaw okularów służących za digitalowy mikroskop. Korzystając z trójwymiaru, joystickiem kierował lutownicą. Fioletowe wiązki przemykały nad układem scalonym uchwyconym w imadło.

– Gadasz i dadasz, źle was zrobili, potrafisz tylko powtarzać w kółko, nie ma z was pożytku.

– Słucham? – zapytał Rooker, ale technik zdawał się go ignorować. Zamachał ręką przed kamerą, technik krzyknął i zerwał hełm.

– Kim jesteś? Rudy cię przysłał? – zapytał z europejskim akcentem.

– Nie, nie znam Rudego.

– Jak to nie znasz? Mówił mi o tobie. Masz procesory.

– Nie, to nie ja. Jestem od Moreiry. W sprawie ogłoszenia o pracę.

– Moreira? Hm, nie wiem. Ale praca się zgadza, czy się zajmowałeś?

– Byłem analitykiem w banku. Potem miałem kilka mniejszych prac, ostatnio sprzedawałem płyty.

Co chwilę odzywał się ledwo słyszalny bot głosowy próbujący chaotycznie zareagować na strzępy zasłyszanej rozmowy. Zepsuty amplituder schodził gładko z wysokiego tremolla do głębokiego basu.

– Hm? No nieważne. Słyszałeś o dezelbotach, napewno słyszałeś. Wiesz, zepsute maszyny kuchenne, niezarejestrowany sprzęt. Wszystko, co w jakiś sposób zagraża właścicielom. Ubezpieczenie nie obejmuje zbuntowanego miksera, ale wtedy dzwonią do nas. Nazywany to wyłączeniem. Tego deszczowego wieczora, Rooker do pewnego stopnia spełnił swoje marzenie z dzieciństwa i został łowcą dezelbotów.

Pierwsze zadanie dostał następnego dnia. Narzucił płaszcz i autobusem nocnym pojechał na sypialniane przedmieście. W duchu dziękował Moreirze za to, co go wprowadził. W jakiejś kuchennej norze czekała na niego przerażona właścicielka robota kuchennego, który jeszcze przed północą przestał wykonywać polecenia i dziwnie się zachowywał. Zamiast kroić warzywa, zaczął dźgać powietrze zestawem ostrzy i kręcić się na wszystkie strony. Całe szczęście, że polecenia wydano głosem, z bezpiecznej odległości.

– Model Dynotronic, krajalnica automatyczna, przejdź w tryb spoczynku...model nie funkcjonuje prawidłowo, przystępuje do twardego resetu – powiedział Rooker do mikrofonu.

– Uwaga – ostrzegła go właścicielka – lodówki wylały, a robot się iskrzy.

Wziął gruby plik gumowych wycieraczek i rzucił na podłogę. Zbliżył się do wirującego sprzętu i załatwił go z bliska impulsem elektrycznym. Wypiął robota kuchennego z gniazdka i podsunął właścicielce dokumenty potwierdzające wyłączenie.

– Poinformujemy producenta, zadzwonią do Pani – powiedział w drzwiach filmowym tonem.

Drugie wezwanie wpadło mu SMS-em dwa dni później, w pierwsze od dawna słoneczne popołudnie. Szybko dotarł na cichy zaułek na końcu wyludnionej ulicy, poza głównym krwiobiegiem dzielnicy, miejsce egzystujące obok miasta, na innej płaszczyźnie, omijane przez ludzi i niepodpisane na mapach. Na balkonach wisiało pranie, a w słońcu prażyły się skupiska talerzy satelitarnych. Skądś dobiegał ledwo słyszalny pogłos telewizji. W dole wybetonowanego kanionu wysychał strumyk opływający wraki starych vanów i jakieś plandeki wyglądające na obozowisko miejskich posthippisów.

Okazało się, że fałszywe pogłosy pracy, odbijane przez martwy kanał, pochodzą z baraku nad tamą. Powitał go ktoś ubrany w strój pustynnego nomady, skrzyżowany z rugbyściem. W środku manufaktury siedzieli kolejni przedstawiciele osobliwego plemienia, wyrosłego na skrzyżowaniu metropolii i dziczy. Ubrani byli jakby apokalipsa już przetoczyła się przez ich miejskie ugory.

Rokker poszedł obejrzyć sprzęt. Cztery ramiona robota z sykiem pneumatycznych serwomechanizmów, straciwszy koordynację, pędziły po tylko sobie znanych osiach, uderzając o stoły i ściany. Zupełnie nieczułe, zderzały się ze sobą ze straszliwym łomotem i jak oszołomione zwierzęta otrząsały i wracały do makabrycznej zabawy. Syntezator zacinając się powtarzał w kółko – praca w toku.

– W nowej partii robotnic Equinox wyskoczył wielbłąd – powiedział Rooker.

– Czyli? – zapytał nomada w goglach spawacza.

– Zapętłony błąd skryptu. Nie wszystkie egzemplarze udało się zlokalizować. Musimy odnaleźć wszystkie dezele i odstawić je do magazynu.

– To niemożliwe, chyba nie chcecie jej zniszczyć?

– Nie, tylko zaktualizować.

– Ale jak to?

– No normalnie, naprawić. Poproszę o numer gwarancyjny.

– Nie mamy – spojrzeli po sobie.

– Kto jest właścicielem?

– Nie ma go tutaj. To znaczy, zostawił jakieś papiery – Rooker przejrzał dokumentację.

– No dobrze, ustalmy fakty. Widzę, że kupiliście tego robota i nie zarejestrowaliście go? Mogę go wyłączyć za standardową opłatą, ale gwarancja nie obowiązuje naprawy.

Nomadzi się zgodzili, najwyraźniej nie mieli za dużego pojęcia o przemysłowej robotyce. Aplikacje pozwalały drukować i wytwarzać rzeczy amatorom w małych manufakturach. Tylko po co, jeśli masowe produkty koncernów były wielokrotnie tańsze?

Rooker zaobserwował powtarzalność ruchów ramion. Po wyłapaniu cyklu zmierzył jego częstotliwość. Okazało się, że przerwy w czasie, których można by podbiec do kontaktu, są zbyt krótkie. Trzeba przeprowadzić twardy reset. Podsunął dwa biurka i przeszedł pod nimi. Znalazł się blisko maszyny, oszalałe ramiona cięły precyzyjnie powietrze nad jego głową. Wymierzył paralizator i wysłał elektroszok prosto w automat. Robot zadrżał w paroksyzmie, ramiona zderzyły się ze sobą i opadły bezwładnie. Emulator głosu wyrzucił z siebie jakąś transkrypcję kodu zero–jedynekowego na angielski.

– No, to by było na tyle – powiedział Rooker wystawiając zaświadczenie o wygaszeniu dezelbota – Swoją drogą? Co to są za rzeczy, które tu produkujecie?

– Zabawki. Takie gadżety do odtwarzania przyszłości. Takiej ze starych filmów. Mamy je na sobie.

Właśnie odłączył zestaw zawirusowanych kserokopiarek. Na mokrej ulicy stało volvo jego współpracownika z czasów pracy w banku. To było zaledwie kilka miesięcy temu, ale zdawało się leżeć nawet nie gdzieś wstecz, ale gdzieś obok, w innym obszarze rozlewającego się po płaski horyzont, płytkiego jeziora teraźniejszości.

Wentylatory, wbudowane w postumenty budynku rozrzedzały parujące powietrze. Plamy wody spływały po obłych murach z syntetycznego piaskowca. Usiedli w knajpie na dziedzińcu, otoczeni amorficznymi rzeźbami. Patrzyli, jak po wiaduktach sunęły taśmy samochodów, podobne do poruszających się kresek.

– Długo się nie odzywałeś. Wszyscy się zastanawiają, gdzie bywasz, dlaczego omijasz stare miejsca?

– Miałem małą przerwę.

– Musisz skończyć z tym, wrócić do żywych. Co się z tobą stało? Bawisz się w jakiś film?

– Chciałem sobie przypomnieć trochę rzeczy, wiesz, odświeżyć, wrócić do paru spraw, poukładać.

– To już nie twoje życie, a te dziwne zajęcia, wybacz, ale to mocno dziwaczne. Wszyscy myślą, że wiesz, trochę ci odbiło po wyprowadzce z domu. Miałeś trudny okres, ale zobacz, rozwijamy się. Gdy odszedłeś z firmy, to ok było ciężko, ale wyszliśmy z tego, mamy nowych kontrahentów, jakoś idziemy do przodu, dzień po dniu.

– Dzień po dniu – powtórzył Rooker.

– A co ty robiłeś w tym czasie? Jakies dziwne zachowania, obijanie się, nie wiem w czym rzecz?

– Może po prostu...może po prostu...straciliśmy kilka rzeczy, minęło nam obok nosa, nie załapał się na przyszłość albo wręcz przeciwnie, dogoniliśmy ją i okazała się...

– Jaka?

– No inna. Inna niż myśleliśmy.

– Uważaj, żebyś załapał się tym razem – powiedział kolega z banku pokazując mu nowy model Samsunga z wyginającym się ekranem.

– Nowy?

– Tak, wiesz co potrafi? Trzydzieści megapikseli aparat, głośniki stereo, czytnik linii papilarnych wbudowany w ekran, no i oczywiście płatność komórką. To jest przyszłość.

– Rozczarowująca.

– Tak myślisz? No to zobaczymy, czym odpowie Apple na nowych targach światowych.

Wieczorem wrócił do domu rodziców. Postanowił, że się od nich wyprowadzi. Te kilka miesięcy kiedyś może zaliczyć do magicznych okresów, teraz było na to za wcześnie. Była to dziwna wyrwa w jego epizodzie, chaotyczny eksperyment na linii jego życia. Pozbył się wszystkiego, żeby odzyskać motywację, ale nie mógł opierać się prądowi w nieskończoność. Czas ruszyć do przodu, znaleźć pracę w zawodzie, poznać kogoś, kupić samochód, zbierać na wakacje. Teraz to będzie się działo.

Wędrowcy

Pod niebem poprzecinanym trasami satelitów, sunęły taśmociągi wiaduktów. Pomiędzy nimi, pracowały zakłady, a wielka galeria handlowa obsługiwała bez przerwy tysiące konsumentów. Załóżmy, że ten ruch ustał niemal z dnia na dzień. Kapitał i życiodajny strumień samochodów przeniosły się w inną strefę. Wektor zmiany pozbawił tą krainę konsumpcji jedyne znaczenia.

Po odejściu ludzi, pojawiła się anomalia i czas zaczął biec w tył, rozpadać się i kruszeć. Nie było żadnej substancji, fantastycznego „ubika”, który powstrzymałby to cofanie się do źródeł, powrót do prochu.

Peryferyjna dzielnica, znalazła się teraz poza globalnym panoptikonem sieci. Nie została skopiowana przez cyfrowy syntetyk rzeczywistości. Trzebaby znaleźć się tam osobiście by zrozumieć jej naturę. W tym królestwie materii, banalne przedmioty zostały pozbawione sensu i stały się samodzielnymi artefaktami. Nagie szkielety budynków stoją tam obdarte z godności, ale i fałszywej fasady, skrywającej materialistyczną naturę rzeczywistości.

Było to zwycięstwo maszyny. Maską rzeczywistości opadła, zmyty został makijaż miasta, ukazało się coś, co na chwilę, oszołomiony umysł może uznać za drugą stronę lustra, za wyjście z wirtualnej rzeczywistości. Jednak to nie wyrwa, jedynie kolejna symulacja upadku, znak przypominający, że wszystkie budynki noszą w sobie zapowiedź ruiny.

Hristo przykucnął na stercie gruzów by wymienić obiektyw. W zielonej parce i wysokich butach dobrze wtapiał się w tło. Ten miejski kamuflaż dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Podniósł aparat i wycelował w mur pokryty graffiti. Nagle drgnął, gdy w wizjerze pojawił się

najpierw jeden, a potem kolejne psy. Nie zauważywszy go, dzika wataha z wolna przeszła z jednego końca kadru na drugi. Zrobił kilka zdjęć i zsunął się z góry by wrócić na przyfabryczny parking.

W odległości widać było prawdziwe miasto. Tutaj nie docierała jego kakofonia, rozpływał się po drodze szum ulicy. Słyszał każdy chrzęst na betonowym podłożu. Wejście w tą dzielnicę, było jak eksploracja obcego środowiska. Hristo zmieniał perspektywę i była to perspektywa szabrownika i intruza. Punktami orientacyjnymi stawały się dla niego przechylona latarnia lub wysprejowany wagon. Na pustkowiu nasiąkał nim. Ta efemeryda powstała po upadku poprzedniej epoki, nowoczesna ruina, wydawała się przez moment przejściem do czasu poza czasem.

Hristo zamarł w bezruchu gdy ponownie zobaczył psa. Chwilę potem wychynęła reszta stada. Pozornie nie zwracały na niego uwagi wężąc u ziemi. To tylko bezpańskie psy – powiedział sobie – ale lepiej jeśli już zaczniesz wracać. Robiło się późno i zaczynało mżyć. Po drodze musiał jeszcze wstąpić do supermarketu.

Wsiadł do samochodu, który zostawił przy przejściu kolejowym. Psy skręciły w stronę zalanego tunelu. Wycofując, w lusterku zobaczył innego gościa, który nawiedził to zapomniane pustkowie. W odróżnieniu od Hristo, tamten rzucał się w oczy. W rękę niósł siatkę, ubrany był w srebrną kurtkę i wełniany sweter owinięty w pasie. Stawiał wielkie kroki po skorodowanym wiadukcie nad torami, potem przeskoczył przyspawaną kratę i ruszył między wagony na zarośniętej bocznicy. Nagle zatrzymał się przy ścianie i rozejrzał wokół siebie. Potem wyjął spray i zamasztył ruchami zaczął malować.

Biblioteka Narodowa była monumentalnym gmachem, składającym się z kilku poustawianych obok siebie pudełek. Stojące na węższym boku, obłożone kafelkami pudełko,

było olbrzymim magazynem, dostępnym tylko dla pracowników. W białym, niskim pudełku mieściły się czytelniki, zbyt obszerne by je wypełnić studentami.

Jednym z czytelników był Kiril, student Akademii Sztuk Pięknych, prywatnie graficiarz. Siedział właśnie z Konstantiną, przyjaciółką z roku i wpatrywali się w telefony. W podziemnej palarni, w której siedział Kiril i Konstantina zapadał tropikalny zmierzch ponad dżunglą sztucznych kwiatów. Dziewczyna poszła do automatów po napój i batony, a Kiril oparł się rozmażony o ścianę.

– To wygląda jak grafitti Todora – powiedział Kiril gdy podała mu puszkę Fanty.

– Wiem Kiril. To znaczy, coś w tym jest. To z twojego zdjęcia i to z google są bardzo podobne.

– Są identyczne.

– Nie przesadzajmy.

– Styl jest identyczny. Kreska, temat, kolory, typografia są jak u Todora.

– Tylko, że jeden z nich to Todor sprzed wielu lat, a to twoje, to zdjęcie z miejsca, o którym nikt w Europie nie słyszał. On zniknął Kiril. Przyjmij to do wiadomości.

– Artyści znikają. Może robił coś anonimowo.

– A teraz pojawi się w Skopje?

– W końcu stąd pochodził, studiował na naszej akademii.

– I dawno temu stąd wyjechał.

– Dziesięć lat temu.

– W dzisiejszych czasach to cała epoka. Niby dlaczego ktoś, kogo nowe grafitti było wydarzeniem na miarę wystawy Duchampa, miałby malować na takim zadupiu? Nawet biorąc pod uwagę jakiś nagły przyływ regionalnego patriotyzmu.

– Może nie chciał, żeby ktoś to widział, może widowia stała się przeszkodą do wyrażenia się w pełni? Może było to przeznaczone dla przypadkowego odbiorcy, takiego jak ja? Jego tematyka pasuje do tej właśnie scenerii, do korzeni grafitti, jego naturalnego środowiska, a nie do snobistycznych galerii na Manhatanie.

– Zakładając, że masz rację, jak masz zamiar to sprawdzić? Chcesz do niego napisać, chcesz to komuś pokazać? – zapytała Konstantina strzepując popiół z ekranu komórki.

– Nie – zaprotestował zdecydowanie – ten obraz jest bardzo świeży. Chrom się błyszczy, czernie były jeszcze wilgotne. Mam zamiar tam wrócić i odnaleźć kolejne rzeczy. Tym razem będę się posuwał wzdłuż zakładów mechanicznych, aż do budynku urzędu celnego. Po drodze jest ta opuszczona galeria i mnóstwo ścian czekających na wypełnienie. On nie ma pojęcia, że ktoś o tym wie. Ilu znawców graffiti mogło się tam znaleźć? Prawdopodobieństwo było skrajnie małe. Powinnaś ze mną tam pójść.

– Taki teren nie jest dla mnie.

– Spodobałoby ci się. Pamiętasz jak podobał ci się tryptyk Gaillarda – Desniansky Raion, ten z belgradzkim wieżowcem i bitwą kibicowskich plemion na blokowisku. Pustkowie ma coś z tego. Do tej twojej instalacji na przykład. Jest tam mnóstwo przedmiotów, mogę ci coś przynieść. Znajduję tam pełno rzeczy.

– Na przykład co?

– Całkiem współczesne przedmioty. Wiesz, wentylatory, obudowy telewizorów, klawiatury, zderzaki, konserwy, zabawki – wymieniał Kiril.

– Można zacząć zmyślać ich historię, choć będą one banalne.

– Niczym letnie popołudnie spędzone na podwórku.

– Na przykład podziurawione rakiety do badmintonu. Rakiety ze swoją wysmukłością i lekkością, przywodzą na myśl dynamikę lat 90. Myślę o jakiejś wyidealizowanej wizji sportu i wiecznych wakacji – podchwyciła opowieść Konstantina.

– Albo dajmy na to plakat sportowego samochodu. Symbol nieosiągalnego, ozdobił czyjś pokój w bloku. Do tego zgniecione napoje energetyczne symbolizujące nerwową naturę teraźniejszości – kontynuował Kiril.

– I te całe lasy plastikowych kwiatów i choinek, tropikalne gaje poupychane w piwnicach. Palmy na lastrykowej podłodze, ogrzewane ciepłem kaloryferów, kaktusy poniewierające się po klatkach schodowych, co w końcu lądują w krzakach, jakby właściciel nie miał serca wyrzucić ich do śmieci i oddawał ich sztuczny żywot naturze – powiedziała Konstantina i oboje roześmieli się ze swoich egzaltowanych pomysłów.

To chyba wtedy, na schodach baru, Hristo postanowił, że zostanie kronikarzem i kartografem państwa Entropii. Nazwał tak rozległy teren rozciągający się za pręgą torów, oddzielającą kolonię prostych domów jednorodzinnych, ostatnią przystań cywilizacji, od przemysłowego pogranicza.

Z hotelu robotniczego, przekształconego w tanie pensjonaty, wyjeżdżała jakaś para starszych pań. Zdecydowanie pochodziły z pogranicza epok, jakby zatrzymały się w połowie procesu transformacji ustrojowej. Starym Volkswagenem, choć bardziej pasowałby Trabant, z przytroczonymi do bagażnika śpiworami i namiotami, jechały w niewiadomym kierunku i w nieokreślone kontinuum. Wieczne turystki z NRD, które wypadły z obiegu czasu, przemierzają wschodnie blokowisko w poszukiwaniu rodzinnych śladów. Może zmierzają do Saratowa by odnaleźć nadwołżańskich przodków?

Hristo odczytał wiadomości od grupy miejskich eksploratorów. Na początku ich nie rozumiał. Są ludzie, którzy czują potrzebę przeczesywać dzikie wysypiska, przekraczanie nieznanego, choćby to nieznanie leżało zaledwie na peryferiach miasta, pobudzało ich potrzebę do odkrywania i zdobywania. Podejmowali się archeologii bliskiej przeszłości, próbując uchwycić błyskawicznie płynącą w tył rzekę przedmiotów i technologii. Chodzenie po ruinach było może jeszcze czymś innym, było jak oplakiwanie własnej straty i nurzanie się we własnej nostalgii.

Ktoś pod pseudonimem „wędrowiec”, odpowiedział mu na pytanie dotyczące opuszczonej galerii – Jeszcze nikt się tam nie zapuszczał. Za dużo kamer, jest budka, kręci się ochrona. Jedyne sensowne wejście od parkingów podziemnych. Nie wiem czy uda się dostać na klatki schodowe.

Wędrowiec odpowiedział mu na pytanie dotyczące fabryki – Jeśli chcesz wiedzieć to wejść można na dwa sposoby. Pierwsze prowadzi z uczelni. Druga kabina w toalecie na drugim piętrze ma drzwi do sąsiedniego budunku. Drugie wejście do hangaru pod łącznikiem. Na teren przeskoczysz przez blaszany mur, uwaga na wysokość i druty. W czasie ostatniej wizyty ochrony brak, ale można się natknąć na bezdomnych.

Notował, a potem nanosił na mapę. Przy każdym budynku jego nazwa, historia, możliwe niebezpieczeństwa, daty zamknięcia, funkcje, stan zachowania. Absurdalny projekt, który zabierał mu coraz więcej czasu. Był niewyspany, zarwał noc by dokończyć obróbkę sesji dla „Sukcesu”.

Hristo zaczepił wtedy sprzedawca ze sklepu. Opowiedział mu, że pracował kiedyś w zakładach mechanicznych.

– Kręci się ich tam. Blisko jest miasteczko złomiarzy, nazywają je noclegownią. Nikt tam nie zagląda to robią co chcą. Kiedyś kilku się tu zadomowiło, ale ja nie będę ich przeganiał. To i tak nikomu nie jest potrzebne, niech to rozbiorą. Ci co ich spotkałem, śmieszni tacy, jeden był nawet tam kiedyś doktorem jakimś, mniejsza z tym, to mówili o podziemnym miejscu, którego niby wszyscy szukają. Taki raj złomiarzy jakby. Wszystkie miejscowe plemiona szukają tego tunelu, miejscowi koczownicy walczą z szabrownikami z osiedla i złomiarzami, którzy przenieśli się tu z północy jak zamknięto wiadukt.

Fotograf zanotował w airbooku – Krainie Entropii nie można przypisać określonego wieku, jest to skomplikowany układ cykli. Choć ludzie wyobrażają sobie czas jako ciągłą linię, w rzeczywistości istnieje wielka mozaika współistniejących, przeplatających się czasów. Przeszłość nawarstwia się w krajobrazie miejskim, a terażniejszość jest jej zapisem. Dziś czas porządkują kolejne cykle powstawania przedmiotów konsumpcji, substytucja materialna sprawia, że nowe rzeczy stają się przestarzałymi, a nieodległa przeszłość staje się przeszłością odległą. Śmieszne i niemodne staje się to co było na topie dziesięć lat temu. Poza strukturą miasta istnieją zakamarki i nadmiar przestrzeni wyrzucony poza nawias. Nie ma tam perspektywy, przestrzeń trwa w bezruchu. Przestrzeń pozbawiona przynależności. Wypełnia ją ciągle deja vu. Wieczorem można się tu zgubić, wpaść w pętlę i błędzić pomiędzy identycznymi miejscami, cofając się ciągle do tego samego fragmentu. Należy odnaleźć raj złomiarzy.

Graffitiarz zdjął plecak i usiadł na płycie zbrojonej. Przed nim był fragment ściany ze świeżym graffiti. Chromy i czernie były jeszcze świeże. Choć od rana panowała paskudna pogoda to spędził tu cały dzień. Zerwał się z wykładów by szukać śladów po Todorze. Gdy odnalazł tę ścianę, nabrał pewności, że ma do czynienia albo z nim albo z innym geniuszem, który idealnie naśladuje jego styl. Szukał podpisu, który byłby ostatecznym dowodem, ale bezskutecznie. To co się tu działo, to zaprzeczenie „fejmu”, który napędzał ulicznych artystów. Postanowił, że rozwikła zagadkę.

Wtedy stało się kilka rzeczy. Najpierw usłyszał szczekania psa, obejrzał się i zobaczył trzy postacie wychodzące zza kopca gruzu, potem usłyszał stłumiony huk i dźwięk obsypującego się tynku. Przez sekundę nie rozumiał co się stało, ale chwilę potem biegł już przez wnętrze rozpadającej się fabryki prefabrykatów.

Wyleciał przez dziurę w ścianie i wspiął się na nasyp kolejowy. Wzdłuż ściany złomowiska truchtał w kierunku opuszczonej galerii handlowej. Gdy obejrzał się za siebie, zobaczył na nasypie swoich prześladowców. To musieli być szabrownicy. Wszedł na ich teren więc go przegonili.

Na parkingu przed galerią panowało wrażenie pozornego życia. Wydawało się, że z megafonów popłynie zaraz przyjazny jazz, a wiadukty dróg szybkiego ruchu zapelnia się sznurami samochodów. W istocie towarzyszyło Kirilowi tylko echo własnych kroków i miejski eter – zapętlony szum miasta.

Jakoś udało mu się wejść do środka. Nie było to nawet trudne. Przerzucił plecak przez płot i wcisnął się między sztachety. Drzwi obrotowe były zablokowane, ale przedarł się przez zielsko na zapleczu. Z łatwością zeskoczył na parking samochodów dostawczych. Pomyślał, że skoro jemu się udało to pewnie nie jest pierwszy. Kto wie kto jeszcze się tu urządził. Takie miejsce musiało być dużo przyjemniejsze niż koczowiska w piwnicach.

Świetlista przestrzeń otoczyła go widmową aurą. Wspiął się na drugie piętro. Liczył sklepy i oglądał szyldy popularnych marek. Gdzieś natrafił na jakieś ślady obecności – wózek, porzucone płatki śniadaniowe, stłuczona szyba, koce i śpiwory. Nawet bezdomni opuścili to miejsce. Być może przegnało ich plemię szabrowników lub ochrona.

Wtedy jego uwagę przyciągnęła ściana przy wejściu do kina. Przeszedł przez morze rozsypanych ulotek i plakatów i stanął przed dziełem swojego mistrza. Nie mógł uwierzyć, że na

to trafił. Podziw zmieszał się ze wzburzeniem. Dlaczego Todor tworzy anonimowo, gdzieś w najdalszym zakątku miasta? Potem przyszedł zawód. Pomyślał, że Todor nie kryłby swoich obrazów przed publicznością. Twórca takich dzieł nie oparłby się pokusie pokazania ich światu. Jednak ktoś to namalował.

To było niczym impuls, gdy wyjął z plecaka spreje i zaczął przywłaszczać sobie sąsiednią ścianę. Jego obraz korespondował z dziełem pseudo-Todor, wprowadzał nowe znaczenie, śmiało rzucał mu wyzwanie, prowokował do dokończenia.

Po godzinie pracy zrobiło się ciemno. Słońce zaszło więc postanowił, że będzie się zbierać. Choć opuszczał galerię z niecierpliwością, wiedział, że jutro tam wróci.

Siedzieli przy zamkniętym barku biblioteki.

– To pokaż co masz w tej siatce. – Trąciła go w ramię Konstantina.

– Dobrze, a więc mam elementy przekładni, płyty winylowe, plastikową orchideę. -

Kiril myślał, że go wykpiw, ale uważnie oglądała przedmioty.

– Zabrałeś to z tej swojej dzielnicy?

– Dokładnie.

– Możesz tam sobie po prostu wejść i coś ukraść?

– Raczej zabrać. Nikomu to już nie jest potrzebne.

– A ochrona, ktoś to pilnuje?

– Nie widziałem, jeśli już to rządzą tam bezdomni.

– Nieźle.

– I co, przyda ci się?

– Hmm, może...tak, tak to wygląda nieźle. Jakoś to widzę, można to włączyć do mojej instalacji.

– Ciesze się.

- A co z graffiti? Pojawiło się?
- Tak, znów coś domalował. Musiał tam być w tygodniu. Jak wróciłem w weekend, pojawiły się zmiany. Robi niewielkie poprawki, dopracowuje. To wygląda niesamowicie. Spójrz
- pokazał jej zdjęcie Kiril.
- Naprawdę myślisz, że to Todor?
- Graficiarz schował telefon.
- Nie, myślę, że to nie on. Nie wiem dlaczego, po prostu ktoś taki nie bawiłby się w coś podobnego.
- A co jeśli to jednak on?
- Jeśli to on, to odkryłem złoty grall graffiti. Zresztą, niedługo się przekonamy.

Jak zawsze o świcie, wychodził z komory technicznej pod elektrociepłownią. W odróżnieniu od szabrowników, którzy należeli do ludu zbieraczy, kanalarza można było określić raczej jako łowcę. Z najdalszej pętli jechał do centrum by polować na datki. Gdy miał siłę, zaczepiał ludzi, ale większość czasu siedział z tekturką, na której nabazgrał zbyt długą i niewyraźną prośbę. Musi ciągle przenosić się z miejsca na miejsce, podawać swoje dane, odpowiadać na te same pytania – skąd się tu wziął i gdzie mieszka i w końcu kłamać, że więcej nie będzie przesiadywał na schodkach wraz z ulotkarzami, aktywistami dziwacznych ruchów, kombinatorami i innymi żebrakami. Kanalarz, doznając codziennie pasma upokorzeń, wyćwiczył w sobie stoicki spokój i wyzbył się wszelkiego wstydu. Dla samego siebie niewidzialny, wyłącza świadomość i jest jak wydrążony od środka, lewituje jak brahmin.

Uchylony właz parował życiodajnym ciepłem. Nie pamiętał już tego, ale pierwsze zejście musiało być czymś niezwykłym. Przespał wtedy wiele godzin w mroku, nie mając pojęcia czy nie dzieli studzienki z kimś innym. Gdy w otworze pojawiło się burzowe niebo, upewnił się, że trafił do opuszczonej komory. Przez następne dni nikt nie wrócił. Piwnica była nieduża,

wyłożona gazetami i gruzem. Pod ciepłym cielskiem rury można się precyzyjnie przemieszczać do sąsiedniego pomieszczenia, z którego dochodzą głosy, czuć zapach papierosów i szcęknięcie butelek. Są też porządnie drzwiczki wiodące do ciągnącej wilgocią korytarza, ale postanowił zostawić je w spokoju. Pierwsze spotkanie z sąsiadami, odbyło się na szczęście na powierzchni.

Kanalarz wkrótce zaczął urządzać swoją norę, niczym Robinson Crusoe na absurdalnej wyspie śmieci i zapomnienia. Jakoś utrzymał się na poziomie. Udało mu się wcisnąć materac znaleziony w krzakach i zgromadzić sporo ubrań. Zbiera pieniądze, których nie zdoła zmieścić nałóg. Są to żałosne kwoty, ale pozwalają snuć rojenia o ucieczce z pustki. Niestety, któregoś razu kiedy wrócił z polowania na jałmużnę, zastał swoją studzienkę ograbioną z całego marnego dobytku. Innym razem, zapomniał zasunąć właz i przyszedł w ostatniej chwili nim deszcz zalał studzienkę.

Walka o przetrwanie, żebranie i wystawanie w kolejkach po darmową zupę, zajmuje mu praktycznie cały dzień. Wieczorem pojawiają się mgliste myśli o powrocie do cywilizacji. Sny wydają się bardziej realne niż rzeczywistość. Rano świadomość rozprasza się jak mgła, jego świat koroduje, a każda myśl obłazi rdzą zanim wykiełkuje. Mechaniczne ruchy prowadzą kanalarza na powierzchnię, gdzie czeka już kolejny bezduszny dzień.

Ostatnio zauważył pewne ruchy w okolicy. Zbieracze zaczęli gromadzić się wokół jednej z fabryk. Wiedział jak wejść do niej z podziemii. Chodziły plotki, że teren nawiedził bezdomny kaznodzieja, że ludzie szukają jego nauk. Potem mówiono o odkryciu magazynów bogatych w drogocenny złom.

Którejś nocy precyzyjnie przemieszczał się przez drzwiczki wprost do niskich podziemi. Kamienne ściany pokryte lodowymi naciekami przypominały grotę. Wrażenie potęgowało czerwone światło reflektora, padające na malunki. Ktoś tam był, kręcił się w sąsiedniej komorze. Skulony przyjrzał się bliżej naskalnym malowidłom, rysom długich postaci niosących złom, ludziom w szatach wpatrzonych z religijnym namaszczeniem w elektrownię buchającą ogniem katharsis. Potem uciekł przez kratę słysząc wracającego twórcę. Nie mógł spać, zastanawiając się kim był tajemniczy malarz, który nawiedził ich Hades.

Wtedy dostał to duże zlecenie na reklamę. Reżyser zażyczył sobie pleneru ze sztuką uliczną, ale portfolio innych fotografów go nie przekonały. Hristo szukał inspiracji, od słonecznych lat Beattelsów, przez hippisowskie źródła po glamrockowy kicz. Wybudzał się rano i oglądał wszystko, przy czym najbliższy jego wizji był punkowy klimat z animowanych filmów o wojowniczych żółwiach ninja. Metalowe śmietniki z pokrywką, kartony po pizzy i zielona breja w kanałach. Jakkolwiek śmiesznie to brzmiało, to idealnie współgrało z serią butów retro na gumowej koturnie, którą mieli sprzedać tłumowi spragnionemu odgrzewanych nowości. Plan trzeba było zaaranżować od początku, ale jego kraina Entropii idealnie się do tego nadawała. Wystarczyło teraz znaleźć najlepsze tło i artystów. Musiał trochę podzwonić. Pijąc czwartą kawę, stwierdził, że ma najlepszą pracę jaką mógłby sobie wyobrazić.

Pomimo przygotowań do reklamy, nie opuścił swoich wędrówek po Entropii. Przy okazji, wciąż szukał lepszego planu. I dalej pisał – Gruzowiska to naładowane siłą pola, na których występuje napięcie pomiędzy ich pre–historią i post–historią. Istnienie tego co nieużyteczne i odrzucone, w pobliżu tego co zaakceptowano, powoduje konflikt. W ruinach, przeszłość została wyrzucona z ciągłości czasu, stoi w zawieszeniu w stosunku do wciąż obecnej przeszłości i przyszłości, która nie chce nadejść. Resztki cywilizacyjne są potencjalnymi czynnikami zakłóceń rzeczywistości, a jednocześnie aktualizują to, co jest niechciane.

Fotograf oderwał się od notatnika i spojrzał w głąb korytarza. Czuł się jak na studiach. Pamiętał zajęcia na wydziale geografii, w ramach pozakierunowych wykładów do wyrobienia. Spóźniał się z napisaniem pracy, aż w końcu ostatniego dnia, przed początkiem wakacji zaniósł swój esej do pustego już wydziału. Czekał ciepłym wieczorem na ostatni dyżur w semestrze, w ciemnym korytarzu, w którym zapach kamfory mieszał się z woniami nadchodzącego lata.

Tym razem pachniało mokrym tynkiem. Robotnik gładził ścianę prywatnej uczelni na skraju przemysłowego pogranicza. Na krześle czekało dwóch wiecznych studentów. Aż trudno było uwierzyć, że istnieje taka szkoła, ktoś prowadzi tu zajęcia i wystawia oceny.

Fotograf trafił tu przypadkowo, idąc od strony marketu budowlanego, ku rozległej sieci torowisk. Za wiaduktem zaczynały się pustki. Ta dziwna szkoła była przedostatnim przyczółkiem cywilizacji. Ostatnim była siedziba świadków Jehowy.

Po rozmowie ze stróżem naszkicował mapkę. Na północy, rozciągało się morze torowisk i dzikich haszczy. Nikt nie miał powodów by się tam zapuszczać. Od czasu do czasu przejeżdżała drezyna służb kolejowych. Niewiele się tam działo.

Na południowy-wschód, znajdowała się fabryka urządzeń precyzyjnych. Stróż twierdził że jest tam mnóstwo taśmociągów pordzewiałych wałków. W okolicy, można było spotkać wrogie sobie plemiona, złomiarzy i koczowników. Taśmy schodziły pod podłogę, gdzie podobno znajdowało się wejście do rajy złomiarzy. Szukało go wiele grup, w nadziei na drogocenne surowce.

– Tam jest mnóstwo miedzi. Mnóstwo miedzi, jest wolfram, nikiel, jest chrom – mówił starszy stróż – dlatego tam się zbierają. Szukają czegoś, szukają wejścia.

Hristo zapragnął tam wejść. Balansowanie na skraju bezpieczeństwa, opuszczanie strefy komfortu, budziło w nim atawistyczny dreszcz łowcy, robiącego krok poza ciepły krąg cywilizacji. Tylko, że tym razem, celem było zbadanie tajemniczego obszaru, o którym nie mówią przewodniki. Do tej pory żywił się fantazjami na temat Entropii. Jaka historia stoi za zgniecioną puszką, którą ktoś wyrzucił z samochodu mknącego wiaduktem autostrady, jak znalazły się tu niepasujący przedmiot, co znaczy uliczny ideogram, gdzie prowadzą tamte drzwi? Ta okolica, podobna do cmentarza cywilizacji, była strefą tabu miasta. Czasami, budziła w nim naturalny odruch wstrętu, jak wstydlive odpady. Postanowił zagłębić się w ten świat. Szukał czegoś, szukał wejścia.

To był wietrzny i ciemny dzień. Przemoknięty i zziębnięty obserwował przez zoom aparatu stado dzikich psów, kiedy jakiś szczegół zwrócił jego uwagę. Przed jednym z budynków

zauważył świeże ślady, jakby ktoś ciągnął po ziemi ciężki przedmiot. Jedna z bram do starej fabryki była wyłamana. Pod murem leżały poukładane stosy śrub, pociętych szyn, kół zębatych, metalowych nakrętek. Uwagę zwracała systematyczność z jaką posegregowano rupiecie.

Za fotografem, chodził złomiarz, którego zaczepił przy jednym z dzikich skupów. Za dość solidną opłatą pokazał mu kierunek, w którym ma iść, jeśli szuka, jak on to nazywał – rdzawego pokoju. Potem przewodnik zabrał wózek, w którym woził trofea i ruszył na północ, w stronę zamkniętej niedawno elektrowni. Cmentarzysko rozrastało się, wchłaniając sąsiednie obszary.

Fotograf doszedł do drzwi czując uścisk strachu. Ciekawość zwyciężyła i świecąc telefonem przekroczył próg budynku. Nabral pewności, że trafił we właściwe miejsce. Pomimo, że była to jedynie porzucona fabryka, miał wrażenie, że odkrywa fragment antycznej ruiny.

Byli tam. Powinien rzucić się do ucieczki, ale pierwotny instynkt nakazał mu skulić się wobec niebezpieczeństwa. To wcale nie nadeszło. Złomiarze nie zwrócili na niego większej uwagi. Omietli go wzrokiem jakby był jednym z nich. Może nie był dla nich zagrożeniem, nie wyglądał jakby przyszedł tu wytapiać miedź z kabli, a może zbyt byli zajęci rdzawą komnatą.

Ostrożnie poszedł za nimi wzdłuż nieskończonych taśmociągów. Kilka razy skręcił mijając grodzie drzwi i schodząc ażurowymi schodami wgląb wystygłego molocha. W końcu jeden z złomiarzy przywołał go ręką.

Weszli do środka szerokiej i niskiej piwnicy. Oświetlona była kilkoma ogniskami. Na pordzewiałych ścianach połyskiwało grafitti, niczym naskalne malunki ludzi prehistorycznych. Nie znał się, ale obrazy wydały mu się pochodzić spod mistrzowskiej ręki. Nigdy nie dowiedział się kto, ani po co je zrobił. Kilkunastu złomiarzy, niczym mrówki rozbierało olbrzymią maszynię, wyciągało drogocenny towar ze stosów pordzewiałego złomu.

Fotograf podniósł aparat do oka. Dał sobie czas by ustawić parametry. Oczekał na właściwy moment i nacisnął spust migawki. Kiedyś usłyszał, że fotograf robi w życiu wiele dobrych zdjęć, ale tylko kilka wybitnych. Właśnie miał jedno z nich.

Na miejscu przyglądał się obu rysunkom. Swojemu i pseudo-Todora. Położył się na kanapie przy kasach, skąd mógł obserwować hol, samemu pozostając w cieniu. Tak minęło pierwsze sześć godzin. Oglądał filmy na komórce i drzemał. Przeszedł się między salami kinowymi, a potem wrócił na kanapę. Wtedy usłyszał głosy z dołu.

– Życzą sobie państwo włączyć schody ruchome?

– Nie, ale moglibyście zostawić uchylone drzwi.

– Oczywiście. Zapłacili państwo za wejście i wyjście. To udanej pracy.

Potem graficiarz nie mógł uwierzyć w to co zobaczył. To musiał być on, to był on. Identyczny jak w telewizji i na zdjęciach wiszących na wydziale. Ale nie był sam.

Przed zamalowaną ścianą pojawiły się oświetleniowcy z blendami, fotograf mocujący statyw i modelki poddające się ostatnim poprawkom makijażu. Rozbawiony Todor rozmawiał z reżyserem reklamy, pokazując fragment obrazu.

Street art w służbie komercji, czy artyzm reklamy, nie miało dla niego znaczenia, Kiril już wiedział czym jego idol zajmował się gdy opuścił podziemie. To nie była społeczna komunikacja, ani spontaniczny gest postmodernistycznego folkloru, tylko reklama butów z globalnego sklepu Zalando.

Reżyser zwrócił się do fotografa – Hristo, ustaw ludzi, zaczynamy, światło mi się podoba. Kiril przesunął się bliżej, żeby lepiej widzieć scenę. I wtedy stało się to. Puszka ze sprejem spadła z kanapy, a potem z głośnym brzdękiem potoczyła się po podłodze.

– Jest tam kto?

Kiril chciał skulić się w sobie, schować za kanapą, ale było już za późno.

– Halo, czy jest tam ktoś?

Człowiek z ekipy podszedł bliżej cienia i zobaczył Kirila, wystającego w głupiej pozie ze sprejem w rękę. Było mu wstyd. Wstyd przed samym sobą i przed Todore, z którym starał się nieudolnie korespondować, opacznie rozumiejąc jego intencję. Wtedy fotograf, nazwany Hristo, od niechcienia podniósł aparat i strzelił mu fotkę.

Graficiarz jeszcze chwilę stał w półmroku. Potem powoli minął ekię i zszedł na dół. Wyszedł z galerii i ruszył w stronę pętli autobusowej. Mijał porzucone fabryki, tory kolejowe i

złomiarzy ciągnących wózki do skupów. Obejrzał się tylko raz, żeby przyjrzeć się billboardom przedstawiającym nowoczesne apartamenty, które kiedyś zostaną tu zbudowane.

Emanacja

To było jakiś tydzień po obchodach dnia zwycięstwa, gdy za opuszczonym zakładem Elektropromu odkryto raj. Mieszkańcy osiedla nazwali go Eldorado. Nie było zgodności co do położenia tego miejsca ani co do tego, kto je odnalazł. Jedni widzieli je pomiędzy starą stacją benzynową a magazynami Elektropromu, inni uważali, że leży nad zarośniętymi basenami miejskimi. Większość początkowo w ogóle zaprzeczała jego istnieniu. Nieliczni, którzy tam dotarli, opowiadali, jak wygląda ów obszar na skraju blokowiska i przemysłowego pustkowia. Rudnicki, nauczyciel biologii, opisywał go jako bujną oazę wśród jałowych ugorów, zielony azyl pośród morza betonu. Sprzedawca palet mówił o czymś w rodzaju przystrojonej szopki. Inni widzieli tam darmowe automaty pepsi lub plaże z krystalicznie czystą wodą. Wszystkich przepełniało szczęście i błogi spokój, poczucie satysfakcji i pewności siebie. By się tam dostać, musieli, zależnie od opowieści, pokonać siatki, tunele, ochronę pobliskiego supermarketu albo dopadające człowieka mdłości i obezwładniające zmęczenie.

Kiedy Michaił Władymirowicz, inżynier kombinatu Nikiel Norylsk, przyjechał na pobliskie osiedle, o Eldorado mówili już wszyscy mieszkańcy. Gościa z Moskwy zakwaterowano w hotelu robotniczym zajmującym najwyższe kondygnacje jednego z bloków. Gdy po raz pierwszy rozsunął kwieciste zasłonki, za oknem zobaczył milczącego, przemysłowego molocha. Wpatrywał się w niego, aż nie zapadła jasna, syberyjska noc. Myślał o tym, że materia nieożywiona pozostawiona sama sobie staje się jakby niezależna. Przestrzeń, która leżała pod nim, została wchłonięta i przekształcona przez pustkę. Stworzona przez człowieka i uwolniona od niego zbliżyła się do natury. Po części musiała przed nią skapitulować, ale nadal nie była jej składową. Żyjąc własnym, niewidocznym życiem, była obszarem niczym, groźnym i najeżonym pułapkami. Człowiek czuł się w niej obco, musiał ją na nowo eksplorować, czując irracjonalny lęk przed czymś, co mogło pojawić się pod jego nieobecność.

Michaił Władymirowicz nigdy nie sądził, że jego błyskotliwa i poparta koneksjami kariera zostanie przerwana zesłaniem do tego robotniczego hotelu. Dla dobiegającego czterdziestki inżyniera było to bowiem zesłanie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Efekt walki o wpływy, zakończonej restrukturyzacją i wymianą kadr. Z powodu katalizatorów zimnej fuzji i

związanego z tym spadku cen gazu w całym kraju przeprowadzano cięcia. Podstawy imperium chwiały się, co widać było na każdym kroku. Stąd czystki, tradycja dziedziczona z pokolenia na pokolenie, niezależnie od ustroju.

Inżynier znał Norylsk ze zdjęć w sieci i propagandowych filmów kombinatu, na których graficy wyciągnęli z Photoshopu maksimum możliwości. Szybko przekonał się, że ponure ujęcia dymiących kominów i łuszczących się do nagiej płyty bloków mają dużo więcej wspólnego z rzeczywistością. Nie miał jednak zamiaru zmieniać swoich przyzwyczajzeń. Jego ambicje i dawne przywiązanie do korporacji wystarczyło, by od pierwszego dnia w pełni zaangażować się w pracę w instytucie. Początkowo nie doskwierała mu nawet napierająca zewsząd samotność ani oddalenie od rodziny. Zawiesił zdjęcie Leny na ścianie, rozpakował zbyt liczne walizki i uznał ten wyjazd za przygodę w odległej krainie mroźnej tundry. Czuł się tutaj jak w oblężonej twierdzy.

Do wyjazdu przygotował się z właściwą sobie dokładnością. Kupił nowy kozuch i parę litrów wódki Russkij Standard, niby podarek dla ugłaskania tubylców. Wódkę skonfiskowali mu już na wjeździe. Jediną ocalałą butelkę rozpił do telewizora w ciągu dwóch pierwszych wieczorów.

Miejscowi od początku traktowali go z chłodnym dystansem. Nawet recepcjonistka, która zawiozła go na ostatnie piętro punktowca, wcisnęła mu w ręce ręczniki i bez słowa zniknęła w korytarzu. Może nie wiedziała, że jest człowiekiem kombinatu będącego władcą wszystkiego, co ją otacza. Zapomniał wyjąć legitymację, która – jak sądził – była tu przepustką do wszystkich udogodnień. Postanowił na przyszłość trzymać ją na widoku.

Faktem było, że to odległe północne miasto wszystko zawdzięczało górniczemu syndykatomu. Wcześniej było oficjalnie nieistniejącym gułagiem, w którym zamarzyły setki tysięcy więźniów, potem – największą kopalnią stalinowskiego imperium. Dziś można było tu nieźle zarobić. Była też druga strona medalu, czyli powietrze gęste od siarki i całkowita izolacja od świata. Ale o tym inżynier Michaił Władymirowicz, podobnie jak jego towarzysze pracy, nie myślał. W końcu tam, gdzie był przemysł, musiały być odpadki, tam, gdzie były kominy, musiał być smog, a tam, gdzie były surowce, były też duże pieniądze i niezbędne środki bezpieczeństwa.

Inżynier dopiero po kilku wyczerpujących dniach w instytucie znalazł trochę czasu, by rozejrzeć się po okolicy. Nudziło mu się w kubiku przypominającym skansen głębokiego komunizmu. W ten sposób wszystko się zaczęło.

Na zewnątrz czekał na niego surowy krajobraz. Obłazące farbą, upstrzone antenami bloki sterczące w szczerym polu pod ołowianymi chmurami. Pomiedzy nimi kilometry pordzewiałych rur biegnących we wszystkich kierunkach. Gdy mijał złomowisko zamykające osiedle, ktoś go zaczepił. Poczł świeżą woń alkoholu.

– Widziałem pana w hotelu.

– Przepraszam, ale chyba się nie znamy – odpowiedział chłodno Michail.

– Ale za to mamy wiele wspólnego.

– Nie rozumiem.

– I pan, i ja jesteśmy tu z tego samego powodu.

– Rozumiem, że pracuje pan dla kombinatu?

– Jak prawie każdy tutaj, ale ja też jestem przyjezdny. Inżynier Berezowski z oddziału IV w Niżnym Nowogrodzie. Pan skąd?

– Moskwa.

– Tak myślałem. Proszę mi wybaczyć, ale w tym kozuchu z Arbatu i śmiesznych rękawicach wygląda pan, jakby się przebrał za bogatego Eskimosa. Do tego trzęsie się pan z zimna. Zapraszam do siebie na dziewiąte piętro na kieliszek albo dwa.

Gdy już usiedli w hotelowym pokoju, Michail przyjrzał się bliżej nowemu towarzyszowi. Łysiejący, niski sześćdziesięciolatek w grubych okularach. Sympatyczny, ale niewzbudzający zaufania.

– Tajmyrska tundra ma w sobie połowę tablicy Mendelejewa. Nikiel, pallad, kobalt, iryd, tellur, hafn. Wie pan, że wydobywają tu rocznie pięć kilo hafnu do reaktorów atomowych? Pięć kilo, a na świecie jest tego może kilka ton. Gdyby tego nie było, hulałaby tu czarna purga i byłaby teraz absolutna noc. Ani jednego światła.

Michail skinął głową.

– Słyszał pan już o Eldorado? – zapytał Berezowski.

- Nie, chyba nie.
- Ludzie z blokowiska coś odkryli.
- Co?
- Rzeczony Eldorado. Tak nazywają jakieś miejsce, tę całą porzuconą część fabryki i tak dalej.

Inżynier Władymirowycz nalał kolejny kieliszek i zaciekawiony zachęcił swojego towarzysza do opowiedzenia mu historii o norylskim Eldorado. Tamten mówił ochotczo, jakby zmęczony milczeniem w betonowej pustelni.

– A więc jakiś tydzień po obchodach dnia zwycięstwa szabrownicy odkryli za zakładami Elektropromu raj.

– I jak by pan to wytłumaczył?

– Wierzę im – odezwał się tamten, jakby rozbawiony własną naiwną deklaracją.

Michaił zaśmiał się nieco zbyt głośno. To od tej wódki, pił jej tu więcej niż w domu i szybciej uderzała do głowy. Berezowski przyjrzał mu się trochę urażony.

– Naprawdę pan wierzy w to Eldorado?

– Tak naprawdę nie mam podstaw ani by im wierzyć, ani by nie wierzyć. Musiałbym sam się przekonać, ale nawet wtedy nie mógłbym stwierdzić nic na pewno.

Mijały tygodnie, a Michaiła Władymirowicza wciąż zaskakiwały wyraziste sceny, które obserwował na swoim zesłaniu. Sylwetki pasażerów majaczące rano w śnieżnej zamieci, ludzie opalający się na bitumicznych dachach, piknik po szkole z dymiącymi fabrykami w tle, noce rozświetlone zieloną luną reflektorów i rzadkie chwile rażącego słońca, wypalającego niebo jak na prześwietlonym zdjęciu.

W instytucie poznał dwóch inżynierów, którzy tak jak on przyjechali tu na kontrakt. Wspólnie kierowali instalacją taśmociągów dla kopalni rudy miedzi. Młodszy, Aristow z Nowosybirsk, był w Norylsku najdłużej, już drugi rok. Jako jedyny przyjechał tu z własnej woli, dla podwyżki. Wydawał się do tego całkiem zadowolony ze swojej sytuacji. W jego mieszkaniu aż gęsto było od roślin, które naświetlał halogenami. Sprowadził też rodzinę, córkę zapisał na lekcję baletu i skrzypiec. Ją także w szkole dla zdrowia naświetlano halogenami.

– Tutejsi ludzie uznają czyjąś pierwszą noc polarną za test. Jeśli uda ci się przetrwać, to zdałeś. Dwa miesiące bez światła. Byłem tak zmęczony, jakbym w ogóle nie spał, do tego pojawiał się ten dziwny lęk – opowiedział pewnego dnia w palarni, w piwnicy instytutu.

– Ile ci jeszcze zostało? – zapytał Michaił.

– Mam kontrakt na trzy lata, a ty?

– Nie wiem, mam tu siedzieć do odwołania. Albo dopóki nie wytrzymam i się nie zwolnię.

– Da się wytrzymać. Normalne miasto. Świetlice, cerkwie, poczta, dyskoteki. Tyle że zimno.

Po chwili milczenia Michaił zagaił, aby podtrzymać rozmowę :

– Jeden inżynier opowiedział mi o jakimś raj. Mieszkańcy mojego osiedla nazywają go Eldorado.

Aristow spojrział na niego z rozbawieniem. Drugi, Fiodorow, oczekujący na emeryturę technik z Jekaterynburga udawał, że nie słyszy.

– Berezowski?

– Tak, tak się nazywa, mieszka w moim hotelu robotniczym – przyznał Władymirowicz, rozgniatając niedopałek o barierkę schodów.

– Poznaliśmy go na odprawie. Też nam o tym mówił, był bardzo podekscytowany. Ja bym to włożył między bajki. U nas ludzie przecież uwielbiają mity i teorie spiskowe. To tak samo jak z tą wycieczką japońskich turystów, którzy podobno rok temu szukali tutaj jakiejś cerkwi. Albo o tych inżynierach z oddalonego instytutu, którzy nie chcieli wracać do miasta, bo jakiś radiesteta nawcisnął im głupot o promieniowaniu.

– Swoją drogą, przysiadź się do nas na stołówce, to pogadamy o kombinacie. Tylko cicho, wiesz... Wiesz, o co chodzi?

Inżynierowie z Moskwy od tego dnia zaczęli razem jadać, skazując się tym samym na pewną izolację. Ich rozmowy często schodziły na temat osiedlowego rajy. Pewnego razu Michaił zaskoczył ich wyznaniem, które w pewien sposób zdziwiło nawet jego samego:

– Chciałbym zobaczyć to Eldorado. Berezowski popija z miejscowymi, podobno poznał kogoś, kto może nas tam zabrać.

Tego dnia Michaił Władymirowicz nie mógł już skupić się nad planami taśmociągów. Z okien kolosalnego budynku instytutu wpatrywał się w zamrożone rozlewiska, skarłate lasy i płaskowyże pełne cennych pierwiastków. W nocy rozświetlały je reflektory fedrujących je maszyn. Ten chaotyczny krajobraz zaczął go wciągać. Sama myśl o oddaleniu się od przedmieścia wydawała mu się lekkomyślna i zarazem pociągająca. Zapragnął zmierzyć się z otaczającą go pustką, by lepiej ją zrozumieć. Być może nie tylko ją, ale coś, co się z nim działo. Postanowił, że jutro zaproponuje Berezowskiemu termin wyprawy.

Ich przewodnikiem był Alosza, młody górnik dorabiający na szrocie. Władymirowicz od początku był pewien, że to zwykły cwaniak. Niemniej sama przygoda zaczęła go fascynować. Miał wrażenie, że przekraczają granicę pomiędzy najdalszym przyczółkiem cywilizacji, a bezgraniczną dziczą. Przemysłowy kordon był ziemią niczyją, należącą po trochu do obu światów.

– Trzeba uważać na ochronę z marketu, bo przejdziemy przez ich parking. Potrafią spuścić psy. Nie wpadnijcie w jakieś chemiczne gówno i uwaga na głowę.

– A Nikiel?

– Ludzie z kombinatu w ogóle się tym nie interesują, mają ważniejsze sprawy na głowie. Dostawy prądu, coś się dzieje z elektryką w niektórych zakładach. Chodźcie, na miejscu jest już pewnie dużo osób.

– Jak to?

– No, dzisiaj jest słońce. To nie zdarza się często.

Zaleciało absurdem, ale nikt już o nic nie dopytywał. Minęli ostatni blok, potem wyrwę w blaszanym wiatrochronie. Powitał ich konglomerat zmatowiałych od brudu hal. Miało się wrażenie, jakby ta pozostawiona odłogiem przestrzeń wsysała w siebie zapachy i dźwięki, a następnie wypluwała je odmienione, nacechowane innymi barwami i skojarzeniami. Było tam pełno bezpiecznych zakamarków, wiejących nudą, ale i wabiących swymi mikroskopijnymi światłami.

– Widzicie tę hałdę wiórów. To jest za nią. Tylko nie polećcie w dół. Idźcie gęsiego.

– A Ty?

– Ja już wracam.

– Umowa była...

– Umowa była taka, że doprowadzę was na miejsce, i doprowadziłem. Idźcie przed siebie.

– I jak to zauważymy?

– To zależy, może w ogóle nic nie zauważycie. Najczęstsza wersja jest taka, że jest tam ciepłe źródło. Najwyraźniej wszyscy cierpią na brak lata z prawdziwego zdarzenia. Idźcie i patrzcie, nie myślcie za wiele. Ja tam nie zaglądam.

Przewodnik zawrócił.

– Jest coś mistycznego w tej ciszy – powiedział Fiodorow, gdy zostali sami.

– Proszę nie poetyzować, inżynierze. Proponuję podejść do tego fenomenu nie filozoficznie, ale czysto naukowo – powiedział Aristow.

– Proszę bardzo, towarzyszu. Niech pan będzie głosem rozsądku, a ja zabawię się w ten głos, który każe podważać racjonalną naturę rzeczy – skomentował z entuzjazmem Berezowski.

– Albo tłumaczyć to zjawisko jako fenomen socjologiczny – dodał Michaił Władymirowicz, gdy wspinali się na górę wiórów.

I tu należy zrobić pauzę. Wtedy bowiem wydarzyły się wszystkie te rzeczy, które mogłyby stać się przedmiotem nieskończonych analiz, gdyby kombinat nie zamiótł wszystkiego pod dywan. Decyzja o tym zapadała w gabinecie samego dyrektora operacyjnego w Norylsku, w którym co prawda nie było dywanu, ale gdzie mnóstwo rzeczy wyparowywało w powietrzu.

Wersje wszystkich uczestników tej amatorskiej ekspedycji są tak splątane i niejasne, że nie sposób ich opisać. Każdy z inżynierów zobaczył coś innego, a ich późniejsze zeznania kłuczą i giną we mgle amnezji. Wszyscy, może poza Aristowem, którego dolegliwości były czysto fizyczne i objawiły się po prostu mdłościami i zawrotami głowy, doświadczyli specyficznych halucynacji. Inżynier Michaił Władymirowicz twierdził, że był świadomy, że sceny rozgrywające się przed jego oczami są wytworem jego mózgu, ale dwaj pozostali towarzysze uwierzyli w omamy. Berezowski widział, w pierwszej wersji swojej opowieści, grupę radośnie kąpiących się ludzi, a w drugiej – palmę, choć plastikową, i złocisty piasek, taki jaki można zobaczyć w Bułgarii na wczasach.

Fiodorow wyobraził sobie raj tak, jak przedstawiano go na pocztówkach i folderach turystycznych. Na plaży stały automaty z darmową pepsi i czerwone lamborghini pod wielkim fioletowo-żółtym słońcem wprost z czołówki Miami Vice. Pojawiły się też hostessy z drinkami wprost z reklam zapowiadających nadejście jakiejś wyimaginowanej ery szczęśliwości, która uparczywie nie chce nadejść.

Nagle, to symulakrum rajy prysnęło jak bańka mydlana. Zapadł wczesny zmrok.

Po powrocie do bloku, w oparach papierosów i wódki, rozgorzała dyskusja na temat rajy. Wraz z ilością wypitych kieliszków rosło skupienie i ekscytacja. O ile Berezowski zdawał się

ulec mistycznej aurze Eldorado, to Aristow stanął po przeciwnej stronie bieguna. Dwaj pozostali inżynierowie początkowo wstrzymywali się od głosu.

– Nie zaprzeczam, że coś tam jest, po prostu uważam, że jest to niebezpieczne i trzeba to ogrodzić.

– Należy to raczej zbadać. W momencie gdy kombinat się o tym dowie, to oczywiście zbada to, ale zaraz potem utajni. Tak więc jakby badań nie było. Dotrą do nas szczątki informacji, parę pogłosek. A ja jestem ciekawy, co to jest.

– A ty, Władymirowicz, co o tym myślisz?

– Myślę... myślę, że powinniśmy tam wrócić i wziąć próbki wody, i zbadać teren licznikami Geigera. A potem zgłosić.

– Chcesz narażać siebie i ludzi dla czystej ciekawości? To sprawa kombinatu. Mnie się wydaje, że ty bierzesz pod uwagę jakąś osobliwość tej sprawy. I dlatego tak cię to dręczy – mówił Aristow.

– Nic nie biorę pod uwagę, ale jak wytłumaczysz to, że jedni z nas widzieli to, co mieszkańcy osiedla, a inni nie? To znaczy, zgodzę się, że cała scena była absurdalna.

– Nic nie rozstrzygniemy bez pomiarów. Jeśli okaże się, że jest tam coś, co zagraża ludziom, to ostrzeżemy kombinat – dodał Fiodorow.

– No dobrze, więc zagłosujmy, co robimy, i niech nikt się nie wyłamuje. Kto jest za samodzielnym badaniem? – zarządził Berezowski.

Jedynie Aristow nie podniósł ręki. Chciał coś dodać, ale reszta już zdążyła wznieść toast za porozumienie. Dopił wódkę i słuchał, jak tamci planują drugą ekspedycję do raję.

Berezowski rozrysował mapę strefy, zaznaczając opuszczone baseny i fabrykę Elektropromu oraz nanosząc miejsca, w których zaczęły się dziwne symptomy i halucynacje. Sprzęt, czyli licznik radiologiczny oraz próbówki, wynieśli następnego dnia z instytutu. Nie udało się jedynie zdobyć kombinezonów ochronnych. Tym razem postanowili udać się do raję po zmroku.

Do badania terenu na ochotnika zgłosił się Michaił. Reszta zatrzymała się przed górą wiórow. Tym razem działanie raję było subtelniejsze. Inżynier pobrał próbkę wody i czuł się całkiem dobrze. Tak, jakby nabrał odporności. Dopiero gdy zamknął oczy, zdało mu się, że na

czarnym niebie widzi trajektorie spadających sputników. Bielka i Strielka z tęsknotą wypatrywały ziemi przez okno czerwonej rakiety z propagandowego plakatu.

Następnego dnia wysłali próbówki do laboratorium, a dwa dni później pojawili się ludzie kombinatu i szczelnie odgradzili obszar. Nikomu nie powiedzieli, że to ich wyprawa doprowadziła do odcięcia dostępu do rajów.

Gdy wydawało się, że wszystko umilkło, i pogodzono się z utratą rajów, a nawet uznano, że nigdy nie istniał, pojawiła się ona. Nazwano ją Emanacją. Świeciła tak jasno, że widzieli ją z okien wszyscy mieszkańcy osiedla. Oślepiła, jakby ktoś puszczał zajączki, i dezorientowała, jednocześnie nieporadnie zdając się swoją tajemnicą przyzywać ku pasmom gór. Osiedle i Emanację rozdzielało bure, skute na kamień pustkowie, gdzieniegdzie poprzecinane jeziorkami. Nikt nie miał ochoty oddalać się od bezpiecznego azylu, jakim było miasto, i zapuszczać się w te jałowe ugory. Wkrótce miało się to zmienić.

Plotki pojawiły się pewnego dnia, gdy z szczyty wrócili górnicy pracujący najbliżej samotnej góry, na której to coś błyszczało. Po całej sprawie ktoś zeznawał u psychiatry:

– Byli jakby odmienieni, promieniowali radością, wszystko przychodziło im z łatwością...

Niedługo znaleźli się również tacy, którzy szukając wrażeń, postanowili dotrzeć do źródła światła. Nie wszyscy są zgodni, kto pierwszy się do niego zbliżył. Niektórzy zeznali, że wcześniej były inne wyprawy, które zawróciły z pustkowiecia w połowie drogi.

Inżynier Michał Władymirowicz spotkał Fiodorowa w palarni instytutu. Zamknął drzwi do pomieszczenia wypełnionego zakurzonym ogrodem sztucznych paproci, grzejących się w złudnym cieple halogenu.

– Dawno pana nie widziałem – zagaił.

– Pracowałem przy Samarnej, zepsuły się taśmy. Wszystko poszło w łeb. A pan?

– Słyszał pan o Emanacji? Widział ją pan?

– Coś tam słyszałem.

– Nie interesował się pan? – zapytał Władymirowicz.

– Nie bardzo, po tej całej historii z rajem. Lepiej zostawić takie sprawy w spokoju – odpowiedział Fiodorow.

– Rozumiem, ale mnie to zaciekało. Powiem panu więcej, planuję się tam wybrać.

– Skoro lubi pan górskie wędrówki – roześmiał się Fiodorow.

– Nie idzie pan ze mną?

– Niby w jakim celu?

– Poznajemy. W wypadku raję być może udało nam się uratować ludzi. Kto wie, co czeka nas tym razem.

– Pan się tu chyba nudzi, brakuje panu Moskwy?

– Nie wiem, możliwe. Ja w każdym razie idę i inżynier Berezowski też podobnie się na to zapatruje. Jeśli chce pan się przyłączyć, to widzimy się w piątek w moim mieszkaniu.

Minął wietrzny wtorek i pochmurna środa. W czwartek wyszło słońce, ale szybko się schowało. W Michaile Władymirowiczu narastał niepokój. Trzymał się z dala od balkonu i zasłaniał okna firankami, ale tego wieczora, trzeźwy i samotny, siedział w fotelu, a po chwili, nie mogąc już znieść bezruchu, wyszedł na niewielki balkon. Widok osiedla kłuł w oczy swoją wyrazistą, surową realnością. Powietrze jakby lekko mrowiło ziarnem saturacji, a dźwięki były niemal namacalne. I wtedy ją zobaczył. Wbiła się w niego jak igła w żyłę, wpompowała tam

adrenalinę, a potem przeszło go uczucie obcowania z czymś nierealnym, z rewersem rzeczywistości. Tak to zapamiętał, gdy obudził się ciężki jak ołów, w przepoconej pościeli i z kwaśnym smakiem w ustach.

Emanacja poraziła go w jakiś sposób, ale lękowi towarzyszyło również uczucie błogości i otwierania się na wiedzę pochodzącą z wyższego wymiaru. Być może coś na kształt śmierci klinicznej. Pomyślał, że dotąd był bardzo krótkowzroczny.

Michaił Władymirowicz coraz rzadziej wychodził z domu. W zasadzie nie było takiej potrzeby ani powodu. Zaraz po pracy wracał do swojej betonowej samotni i powoli konsumował gęsty, niestrawny czas. Przeżuwał go z rosnącym niesmakiem. Od dawna nie spotkał Berezowskiego. Nabrał nawet podejrzeń, że ten wyjechał z miasta. Poczul się z tego powodu nieswojo. Byli trochę jak bohaterowie *Solaris*, zamknięci w swoich kajutach ponad dziwnym oceanem. Dotąd byli samotni, ale jednak świadomi swojej obecności, co tę samotność łagodziło. Teraz miał wrażenie, że w całym hotelu jest jedynym rozbitkiem z zewnętrznego świata.

Kilka razy wydawało mu się, że widzi rozbłysk Emanacji. Wyłączał wtedy telewizor, gasił światło i przyklejony do szyby wypatrywał. Jakieś uczucie spokoju spływało na niego niczym przyjemna drzemka w chłodny dzień. Pewnego wyjątkowo wietrznego wieczora wypił trochę więcej niż normalnie i nagle poczuł chęć działania. Zjechał na piętro Berezowskiego, żeby zapukać do jego mieszkania, ale nikt mu nie otworzył.

Wrócił po kozuch i wyszedł na zewnątrz. Czuł jakąś narastającą chęć zrobienia czegokolwiek, co byłoby lepsze od stopniowego wtapienia się w tapczan. Przez te kilka miesięcy zdążył już zapomnieć, jak jest w Moskwie. Miał nawet pewne obawy, że tu czy tam nie ma dla niego aż takiej różnicy. Miał odwiedzić rodzinę już miesiąc temu, ale postanowił, że poczeka z

tym jeszcze jakiś czas. Najpierw Eldorado, teraz Emanacja nadawały codzienności posmak przygody. W sumie czuje się tu dobrze. Mógł przynajmniej do woli trwonić krótkie dni i długie, pozbawione refleksji wieczory.

Ruszył przed siebie pustymi ulicami szerokości placów. Bał się iść w stronę centrum, może dlatego, że wiedział, że i tak nigdzie nie dojdzie. O tej porze będzie tam równie pusto jak na obrzeżach. Chciał dotrzeć w pobliże zielonej cerkwi, ale zabłądził gdzieś na poboczach dróg dojazdowych. Zniechęcony przez mknące ciężarówki zawrócił w pobliże osiedla. Poszedł jednak w stronę centrum. Nieliczni ludzie śpieszyli do domu, chowając się przed wiatrem. Dotarł na olbrzymi plac okolony arkadami. Zorientował się, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Przez chwilę błądził między identycznymi ciągami budynków, aż w końcu porządnie zmarzł. W warzywniaku, który właśnie zamykali, wyjaśnili mu, jak dojść na przystanek.

Czekał tam i myślał o Emanacji. Wszyscy rozsądni ludzie, którym wspominał o tym przez telefon, zbywali go milczeniem. Mając niedowierzenie w genach, zdecydował całkowicie świadomie, że na przekór wszystkim uwierzy w Emanację. To znaczy, że poprzez tych mieszkańców osiedla, którzy uważali ją za coś wyjątkowego. Tak naprawdę z niewieloma o tym rozmawiał i nie znał ich zdania. Nieważne. Uwierzy na przekór cywilizacji, utwierdzającej w nas podejrzliwość wobec wszystkiego, co niewytłumaczalne.

To miasto-maszyna było ucieleśnieniem pracy i pokornego życia bez nadziei na ziszczenie się marzeń. Chyba dlatego w Eldorado ludzie podtruci wyciekami bromu chcieli widzieć to, czego nigdy nie będą mieć – tropiki, darmowe atrakcje i życie jak z amerykańskiej telenoweli.

Emanacja jeszcze mocniej nie pasowała do tego miejsca. Nie było w niej nic przyziemnego. Posiadała za to jakąś osobliwą moc, sięgającą dużo głębiej w pragnienia ludzi przemarzłych do szpiku kości.

Ziemia chrzęściła pod kołami starej hondy, którą rzucało na wszystkie strony. Czwórka inżynierów nie rozmawiała ze sobą, gdy kluczyli między gliniankami opuszczonej żwirowni. Za skorodowanymi taśmociągami wpadli w koleiny, ale Berezowski okazał się nie tyle dobrym, ile pozbawionym lęku kierowcą. Podróż skończyła się na żwirowym nasypie. Kontynuować musieli pieszo. Dookoła kłuł w oczy bazaltowy krajobraz jak z obcej planety. Za sobą zostawili rzędy bloków i iglice kominów osnute mgłą siarczanych wyziewów.

– Tam jest! – krzyknął Fiodorow. – Jaka jasna, ledwo można patrzeć.

Mozolnie wspinali się dalej, aż pojawiły się zawroty głowy i wszyscy opadli z sił. Władymirowicz widział świetliste linie, jakby ktoś machał latarką przed aparatem nastawionym na długie naświetlanie. Aristow widział lawinę bazaltowych kamieni przelatujących ponad ich głowami. Z kolei Berezowski obserwował, jak Emanacja zmienia się w świetlisty promień przebijający chmury. Pomimo tego wszyscy poza Aristowem twierdzili potem, że lęk mieszał się z doświadczeniem czegoś wspaniałego.

Gdy zbliżyli się do źródła na jakieś dwieście metrów, czuli się, jakby nie mogli zrobić już ani jednego kroku więcej. Z ledwością zawrócili do samochodu.

Kiedy tylko doszli do siebie po wymiotach, spotkali się w mieszkaniu Berezowskiego. Aristow oznajmił, że wycofuje się z tego szaleństwa i nie chce więcej słyszeć o żadnych Emanacjach. Pozostała trójka wyrzuciła go za drzwi i po kilku kieliszkach wróciła do omawiania sytuacji. Od czasu poprzedniego spotkania zaszła w nich jakaś zmiana. Michaił Władymirowicz stał się teraz motorem napędowym. Jako neofita, tłumiący w sobie to dziwne uczucie towarzyszące porzuceniu zdrowego rozsądku, gorąco namawiał, by nakłaniać mieszkańców osiedla do pielgrzymowania pod Emanację.

– I tak zadają pytania. Wszyscy już wiedzą, że byliśmy najbliżej. Powinniśmy ich poprowadzić.

Przystali na jego propozycję, aby ogłosić na osiedlu wielką pielgrzymkę pod górę. Zapał i ilość mieszkańców być może poruszy Emanację do wyjawienia swojej tajemnicy. Byli przekonani, że źródło światła objawiło jedynie przedsmak swojej mocy.

Cała trójka była zgodna co do tego, że po dziwnych wydarzeniach na górze spłynęło na nich jakieś poczucie szczęścia, jedności ze światem i wrażenie obcowania z czymś przebijającym klaustrofobiczny sufit rzeczywistości. Czuli się jak w idealnym stanie upojenia alkoholowego, kiedy nie musisz jeść, spać ani martwić się jutrem. Wystarczy tylko poić się dalej.

– Inżynierze Berezowski, co to za śmieszna procesja? – Wciąż nie zrezygnowali ze zwracania się do siebie *per* pan, choć ich rozmowy brzmiały przez to jak pastisz dialogów literackich. – Przyjechałem z armeńskim koniakiem, a tu widzę tłum idący wśród glinianek. Czy ten sztandar zabrano z cerkwi? W tej mgle śmierdzącej kadzidłem wygląda to naprawdę dziwnie. Nie mówcie mi tylko, że macie z tym coś wspólnego? – powiedział Aristow. Z niedowierzaniem wciskał Berezowskiemu butelkę w ręce, jakby chciał dać mu do zrozumienia: „Nie wygłupiaj się, wróć do rzeczywistości i bezpiecznych rozważań o Eldorado i Emanacji”.

– Nikt nie każe panu iść z nami, ale proszę się przynajmniej nie naśmiewać. Może pan nic nie widzieć, kiedy my widzimy, ale proszę nam nie mówić, co mamy widzieć. Pan widzi światło, my widzimy Emanację.

Aristow stał w miejscu, podczas gdy inni zaczęli oddalać się od bloków i zbliżać do góry oświetlonej teraz górniczymi reflektorami. Ten przypadkowy korowód kilkudziesięciu mieszkańców osiedla wlokł się powoli. Ludzie ubrani byli w to, w czym wyszli do sklepu lub na podwórko, niektórzy nawet ciągle nieśli siaty zakupów i wyglądali, jakby szli na piknik. Na czele kroczyli trzej inżynierowie kombinatu, niczym pionierzy pierwszomajowego pochodu. Wszystko jednak już wówczas zmierzało ku żalosemu końcowi.

Michaił Władymirowicz dał wtedy jeszcze mowę w pustej hali. Według zeznań jednego ze świadków mówił nieskładnie, choć z zapałem. Brzmiało to mniej więcej tak:

– Ciągłe nam ktoś coś obiecuje, a to złote góry, a to złotego roleksa, złote piaski, złote czasy. Sami sobie w końcu coś obiecujemy. „Słuchaj, jeszcze tylko do weekendu”, „Jeszcze do wiosny”, „Jeszcze tylko rok i nadejdzie”. Ciągłe czekając na coś, co nie przychodzi. Takie złudzenie konieczne, które sprawia, że te wszystkie fatamorgany, ku którym idziemy przez pustkowia, w końcu się zmaterializują, że wejdziemy w świat reklam, świat z durnych książek guru samodoskonalenia, w świat prawdziwie żywych. Ciągłe czekamy, żeby zaczęło być tak, jak powinno, żeby skończył się ten zawieszony czas na wiecznym kacu, ten trzynasty miesiąc, ósmy dzień tygodnia. Czasami są krótkie chwile, gdy na nic nie czekamy, łapiemy oddech od tego przyprawiającego o mdłości zniecierpliwienia. One jednak trwają krótko i zdarzają się rzadko. To czekanie przechodzi z dnia na dzień, z roku na rok, z pokolenia na pokolenie. Emanacja oddziałuje na nas w niepojęty sposób, jak jakiś nerwosól, który uśmierza czekanie, tak jakbyśmy zaczęli czuć się dobrze w swojej terażniejszości, jakbyśmy dobrze poczuli się sobą, poczuli się rzeczywistości, solidni, nierozmyci. Jakby z gazów i cieczy nagle uformowało się ciało stałe...

Mało kto, wraz z samym mówcą, był w stanie słuchać tej mowy nasączonej tygodniami picia na betonowym pustkowi, więc Władymirowicz, widząc, że zaczyna brnąć w ślepią uliczkę, szybko skończył. Jak ktoś opowiadający anegdotę, kto zorientował się, że nie ma w zanadru mocnej puenty. Ktoś się zaśmiał, ktoś inny rzucił żartem, jak to mieszkańcy Wschodniej Europy, którzy lubią ironizować z rzeczy, które sami traktują śmiertelnie poważnie.

Tym razem podeszli z drugiej strony góry, gdzie na szczycie prowadziła kolejka. Uruchomili ją górnicy z pobliskiej kopalni odkrywkowej, stanowiący trzon procesji. To oni przynieśli na osiedle radosną nowinę o pojawieniu się Emanacji, napawającej optymizmem i wewnętrznym spokojem. Teraz, pełni skupienia, wraz z trzema inżynierami jako pierwsi wsiedli do wagonika, który miał przybliżyć ich do promieniującego nadzieją zjawiska.

Wkrótce po tym, gdy kolejka ruszyła, na wyrobisku pojawiła się ciężarówka, z której wyskoczyło kilku ochroniarzy kombinatu. Szybko rozpędzili zbiegowisko. Kolejka nadal jechała pod górę, aż do momentu, gdy Emanacja stała się wyraźnie widoczna na tle ciemnej hałdy. Wtedy nagle zmieniła kolor i natężenie, oślepiając ich niebieskim promieniem. Naukowcy zidentyfikowali go później jako promieniowanie Czerenkowa. Tłumaczyło to, dlaczego ludzie

mogli zobaczyć światło jedynie w określonym położeniu, jako że fala elektromagnetyczna była emitowana w ściśle określonym kierunku.

Zaraz po tym wagonik zatrzymał się, a następnie zaczął zawracać, ściągnięty na dół przez ochroniarzy. Wiózł na wpół przytomnych uczestników wyprawy. Wkrótce wszyscy zawrócili i na hałdzie nie pozostał już nikt, kto mógłby patrzeć na świecący kryształ Emanacji. Jedynie nieliczni, którzy wyszli wtedy na balkon, mogli jeszcze raz oglądać ten radioaktywny spektakl.

Fragment raportu inżyniera Kropotkina z dnia 25.06.2017. Objasnianie badań nad anomalią energetyczną w obwodzie norylskim

Badania przeprowadzone przez tak zwaną grupę niżnonowogrodzką wydają się nie wyjaśniać wszystkich kwestii dotyczących dziwnego zachowania fal i struktur transmisji. Emiter promieniotwórczy (zwany dalej Emanacją) działa w paśmie fal trudnych do wychwycenia przez dostępny nam sprzęt, dlatego dane są niekompletne. Dodatkową przeszkodę w przeprowadzaniu pomiarów stanowi promieniowanie o sile 2,5 siwertów. Powstaje zasadnicze pytanie, jak jest w ogóle możliwe, by tak silnie radioaktywny obiekt znalazł się na wyżynach. Zakładamy, że nie były tam prowadzone żadne prace górnicze, które mogłyby odsłonić tego typu anomalię. Zwróciliśmy się do kombinatu Nikiel Norylsk oraz innych podmiotów o zaktualizowanie informacji o tego typu pracach. Do tej pory, o ile nam wiadomo, nie są znane przypadki naturalnego występowania tego typu zjawisk. Należy brać pod uwagę rozkład izotopów wyjątkowo obfitych złóż bromu.

Są to jedynie hipotezy, które sprawdzimy, gdy otrzymamy odpowiednie wyposażenie, które pozwoli podejść bliżej Emanacji.

Odpowiedź inżyniera Kropotkina z dnia 30.06.2017

Smuci nas odmowne pismo w sprawie dostarczenia skafandrów ochronnych. Dalsze badania muszą zostać wstrzymane ze względu na zagrożenie zdrowia naukowców. Eskpozycja osiągająca poziom 185 radów pozwala na ograniczone badanie. Bariera czasu i odległości nie może zostać przekroczona ze względu na rosnące wraz ze zbliżaniem się do obiektu skażenie powierzchni. Ze względu na wagę badań pragnę zasugerować możliwość wykorzystania dodatkowego sprzętu oraz ochotników świadomych zagrożenia.

Pragnę donieść o postępach badań nad Emanacją. Inżynier Luczakow skonstruował chroniony polimerem dron wyposażony w kamerę, który zbliżył się do Emanacji na około pięćdziesiąt metrów. W załączeniu przesyłam zdjęcia. Naznaczone są wadami wynikającymi z promieniowania. Pokazują regularny, sześcioboczny obiekt u wyjścia skalnego zagłębienia. Odważyłbym się postawić tezę, że jest to produkt przemysłowy.

Dokument o zamknięciu badań i objęciu obszaru kwarantanną z dnia 13.07.2017

Ze względu na zagrożenie terrorystyczne na terenie Federacji Rosyjskiej urząd podjął decyzję o utworzeniu obszaru objętego kwarantanną. Wszystkie grupy badawcze zostają zobowiązane do opuszczenia strefy w trybie natychmiastowym. Powrót do niej będzie karany z mocy artykułu 1 o stanie wyjątkowym. Postanowienie obowiązuje natychmiastowo, do odwołania.

Notatki psychiatry sądowego Igora Detmajera

Statystyczna grupa przebadanych mieszkańców osiedla nie wykazuje odchyleń w teście Kampa-Rotha. Większość uległa jednak podobnym zaburzeniom paranoidalnym i towarzyszącym im halucynacjom powiązanych z częściową amnezją. U badanych powtarza się opowieść o raju (nazywanym przez niektórych Eldorado) oraz Emanacji. Pacjenci zdają sobie obecnie sprawę z nierealności omamów. Badania ich przyczyn pozostawiam specjalistom z dziedziny toksykologii i radiologii. Sądzę, że ekstremalne warunki pogodowe oraz trzy miesiące nocy polarnej mogą mieć wpływ na pragnienia i stan psychofizyczny mieszkańców. Mogli to wykorzystać czterej inżynierowie Nikiel Norylsk. Przebadani znajdowali się przez jakiś czas pod ich wpływem. Skuteczne leczenie niedługo powinno umożliwić przesłuchanie inżynierów.

Betonowe zamki

Plan Złomiarza był dobry, sprawdzony, robił to już kilka razy. Najpierw wyjść poza barierę ochronną z blachy falistej, potem wrócić na osiedle podkopem za starą zajezdnią, iść wzdłuż wyschniętych basenów i włamać się na zaplecze magazynów RTV/AGD.

Gdzieś w połowie drogi natknął się na dzikie stado kręcące się wokół hali tramwajowej. Zaczęło się ujadanie, a chwilę potem krzyki ciecia ze stróżówki. Prawie każdy blok wystawiał teraz swoich strażników. Znikąd pojawiło się dwóch sąsiadów, jakby nie spali całą noc, czekając na intruza. Nazywali ich Kolejarzami, z powodu porzuconego taboru za blokiem, choć ich głównym zajęciem był handel elektroniką z przywłaszczonego hipermarketu.

Zanim go zauważyli, instynktownie schował się w betonowym kanale pod drogą. Od rodzimego bloku dzieliła go strefa zajęta przez Hutników z Gagarina i Elektryków ze spółdzielni. U jednych i u drugich nie miał co liczyć na specjalne względy. Lokatorów jego bloku słusznie uważano za szabrowników żywiących się rozkładem osiedla na Kriestach.

Między betonowymi monolitami materializował się zbolały, siny świt. Miał niewiele czasu, zanim mieszkańcy osiedla zwleką się z łóżek i wyjrzą na swoje poprzecinane ogrodzeniami podwórko.

Wyszedł z drugiej strony kanału i nie zważając na ujadanie psów i obelgi ciecia, dopadł do siatki, przeskoczył ją i pobiegł wzdłuż garaży. Zatrzymał się przed skokiem do wąwozu, do którego ktoś jak z worka wysypał tysiące opon. Zobaczył, że sąsiadów robi się więcej, więc rzucił się w dół nasypu, turlając się po oponach i osuwając wraz z lawiną śmieci. Wylądował

miętko na dnie jaru, zapadając się po pachy w foliowych workach. Dalszą drogę zagroziła mu siatka, ale obok znajdowało się wejście do studzienki. Na dole powitało go błogie ciepło i radosne popiskiwanie szczurów.

Dmitry niewiele widział przez zaparowaną szybę. Nieostry krajobraz przekształcony przez wielki przemysł, zmielony górnictwem tarczami, pokryty patyną z podwędzanych dymów. Gdzieś ślady tłętego się konfliktu, czarne leje, poszatkowane ściany, wrak wozu piechoty BTR, znicze palące się w granatowej mgle. Rozklekotany autobus zatrzymał się z sykiem i wypuścił samotnego pasażera. Na przystanku czekali ludzie jadący do pracy, tak zziębnięci, że nie zwrócili uwagi na porannego przybysza. Musiał się wtopić w tłum, dlatego zamienił mundur na zgrzebny kozuch, a teczkę ze skóry na sportowy plecak.

Ruszył główną aleją w stronę supermarketu, wokół którego koncentrowało się życie. Mróz zeszklił się na oknach, zastygł w szczelinach prefabrykatów i pokrył chodniki twardą taflą. Bezśnieżna zima była przezroczysta i pozbawiona życia. Z pustego parkingu przed sklepem spojrzał w górę. Długie mrówkowce z galeriami balkonów i kilka wyższych punktowców. Pozornie zwyczajne osiedle, podobne do każdego, od Odry po Władywostok. Teraz były to jednak betonowe zamki, z opustoszałymi flankami balkonów, najeżone antenami i obwieszone naroślami wentylatorów, obłazące liszajem odpadającej farby, zmurszałe i pokancerowane, lecz nadal dostojne w swojej starości.

Kriesty 17 miały być jego pierwszą enklawą. Od jakiegoś czasu działał tam już pierwszy obserwator oraz jakiś naukowiec z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Łomonosowa. Stworzyli przedpole do przejęcia kontroli nad pierwszym blokiem. Należało zabezpieczyć dostawy broni i stworzyć kadrę spośród mieszkańców. Za pomalowanymi w szaro-zielone pasy Kriestami 17

przemawiała bliskość przystanku, położenie na bezpiecznych obrzeżach oraz wysokość. Z osiemnastego piętra widać było całe osiedle.

Wylot kanału wychodził wprost na przystanek. Pod koślawą wiatą stała zbity grupka dygoczących pasażerów. Złomiarz poczekał, aż połknie ich umorusany autobus, i kuśtykając, wytoczył się na kłujący mróz. Znajdował się na terenie kontrolowanym przez Elektryków, nazywanych tak od dawnej spółdzielni. Podobno rządził tu jakiś węglowy oligarcha mający w domu srebrne żyrandole, perskie dywany na ścianach i 78-calowy telewizor.

– Ej, ty! – zaczepił go tituszka hołdujący sportowej modzie. Złomiarz poczekał, aż podejdzie bliżej i wyciągnął porzewiały pistolet. Kciukiem zakrywał ułamaną kolbę, w której nie było magazynka.

– To twój złom? – szabrownik kiwnął głową na samochód marki Zaporozec.

– Ta... tak... ja tylko...

– Kluczyki!

– Co? – wyjęczał tamten.

– Dawaj kluczyki, słyszałeś! – W jego głosie było więcej rozpacz niż stanowczości, ale tituszka chyba uznał go za groźnego.

Chwilę potem Złomiarz siedział w kaszłym Zaporozcu. Pomimo mrozu pociły mu się ręce. Ledwo czuł kierownicę. Chwilę potem pędził jak ślepy pocisk, taranując wszystko na swojej drodze. Z bloków wybiegli czujni mieszkańcy. Koktajl mołotowa musnął samochód, zostawiając za nim chmurę ognia. Nieco później celny strzał przedziurawił koło. Samochodem rzuciło na pobocze, gdzie staranował śmietnik i skosił kilka znaków drogowych. Jego rajd o mało co nie skończył się na ścianie bloku, ale Złomiarz zdołał opanować wóz. Zorientował się,

że właśnie minął terytorium Elektryków i zaraz przebije się przez kratę prowadzącą na ziemię Kosmonautów. Trwało to kilka sekund. Przemknął przez teren Kosmonautów, gubiąc koło, skręcił w Gagarina i zobaczył swój blok, enklawę Złomiarzy. Wtedy potężny ciężar zwałił się na niego, wtrącając go w studnię nieświadomości.

Dmitry patrzył z balkonu w mgłę rozpuszczającą surowe budowle. Liczył pływające w niej betonowe zamki, które musiał zdobyć. Rozświetlony punktowiec Złomiarzy wyglądał jak latarnia morska. Oni byli nie do ruszenia. Do galeriowca z lewej Dmitry posłał sabotażystów, aby wysadzili rury, a jutro pchnie tam delegację Hydraulików z żądaniem poddania się. Dalej ciągnął się blok opanowany przez gang dealerów. Przekształcili go w fabrykę brudnej heroiny i zatruli ją pół Ługańska. Mieli pod dostatkiem broni, ale sojusznicze bloki 8 i 21 były gotowe wesprzeć jego inwazję. Kolejnym krokiem będzie zajęcie ostatniego sklepu monopolowego i przejęcie dostaw wódki dla osiedla.

Był zadowolony z postępów, ale wszystko szło zbyt wolno. Musiał wymyślić coś, co złamie blokowisko raz, a dobrze. Mógł im odciąć prąd, wodę i ogrzewanie lub po prostu przekupić, ale to zadziała na krótką metę. W końcu ktoś wpadnie na pomysł, by go wyeliminować. Już teraz nie zjeżdża na dół bez obstawy dwóch byłych berkutowców. Poza tym jego czas uciekał. Nowe władze przysłały tu opancerzony BTR, na razie chyba tylko po to, by przypomnieć o swojej obecności i powiedzieć: „Pewnego dnia ta wojna się skończy i zrobimy tu porządek”. Część bloków zdecydowała potem o zaminowaniu osiedla.

Nie chodziło jednak o separatystów i namiestników z Moskwy, ale o jego suwerena – GRU. Nie interesowali się jego metodami, ale wolał postawić ich przed faktem dokonanym. Rozkazy brzmiały: zinfiltrować osiedle i rozpocząć mediacje w celu ukrócenia anarchii. A że mediował za pomocą całego arsenału metod i obwołał się hetmanem jednego z bloków – za to

mógł go czekać łagier albo medal. Zależy, kto będzie o tym decydował. Najbardziej życzyłby sobie, by o nim zapomniano. W końcu ludzie tu znikali, tak jakby ta niewielka strefa wojny była czarną dziurą wsysającą wszelkiej maści zbędnych dusz.

Pomysł przyspawania do starej łady blachy przemysłowej narodził się podczas rekonwalescencji po ostatniej wyprawie. Skończyła się, gdy dresiarz, któremu Złomiarz ukradł samochód, staranował go kamazem. Całe szczęście ludzie z Kreszczat 14 i Gagarina nie lubili się z Elektrykami. Z powodu myta za przejazdy autobusem. Za bilet do Ługańska trzeba było płacić podwójnie.

Jakoś udało mu się wyjść z tego z kilkoma pęknięciami i nowymi bliznami. Długo zbierał materiały do pojazdu, wybierając się w owiane złą sławą rejony fabryki prefabrykatów. Podobno kręcili się tam maruderzy, a na okolice spadały pociski grad. Na miejscu zastał jednak tylko opuszczone zakłady i morze chwastów. Wiele razy wracał tam, by szukać złomu. Nawet się tam zadomowił.

Nagie szkielety budynków stały obdarte z godności, ale też fałszywej fasady skrywającej materialistyczną naturę rzeczywistości. Po odejściu ludzi pojawiała się anomalia i czas zaczynał biec do tyłu. Anomalia rozpadu każe myśleć o anomalii, jaką jest istnienie cywilizacji.

Daleki od takich rozważań Złomiarz skonstruował swoją pancerną ładę, będącą raczej schronieniem niż pojazdem, bo tutaj za bardzo nie było już gdzie jeździć. Osiedlowe drogi przedzielały siatki i barykady. Większość wyjazdów zaminowano, oczywiście oprócz tych, którymi docierało zaopatrzenie sklepów i zasiłki.

Złomiarz musiał lepiej planować swoje wyprawy. Następną okazją do szabru pojawiła się, gdy rozeszła się plotka, że mieszkańcy przy Gagarina 28 opuścili swój blok i uciekli z

osiedla. Podjechał tam i obserwował okolicę. Począł, aż się ściemni. Wziął z siedzenia plecak, latarkę i rurkę gazową z kolankiem – na wszelki wypadek.

Krąg latarki ślizgał się po stopniach klatki schodowej i zaglądał na martwe piętra. Po drodze natrafił na porzucone artefakty blokowego życia – walizka, pranie na kracie, uschnięta paprotka, rower bez koła i zdechły gołąb na parapecie. Doświadczony stalker omijał wywarzone drzwi – te były albo pułapką, albo włamywacze wyczyścili wnętrze. Drzwi do pierwszego mieszkania ustąpiły szybko – w środku powitał go kwaśny zaduch niemytych naczyń i wilgotnego prania. Wnętrze wyglądało, jakby ktoś opuścił je tylko na chwilę – czajnik na kuchence, pełna popielniczka. Nie znalazł tam tego, czego szukał. Zabrał czajnik i jakąś figurkę z brązu.

W drugim mieszkaniu okna były otwarte, a na dole, w kałużach roztopiającego się śniegu, leżały pogruchotane meble. Ktoś spalił mosty, by nigdy nie wracać do tej nory ani nie dać satysfakcji takim jak on. Trzeci lokal okazał się szczęśliwy – na meblościance, na tle wzorzystych tapet stał szerokokątny Samsung. Prawie jak nowy. Ale i tym razem nie mogło obyć się bez problemów.

Gdy zabrał już swój łup, usłyszał łomotanie dochodzące z korytarza. Dopiero teraz doszedł do niego stęchły zapach jeszcze ciepłego legowiska. Ktoś jednak się tu zagnieździł. I ten ktoś z rykiem zbudzonego zwierzęcia rzucił się w stronę jego latarki. Zanim ją zgasił, zobaczył jeszcze grube cielsko brodatego lumpa w waciaku, który nacierał na niego jak taran. Uchylił się w ostatnim momencie, tłukąc witrynę meblościanki i zrzucając z niej nagromadzone latami wazon. Zerwał się na równe nogi i zaczął siec ciemność swoją rurką. Wtedy tamten rzucił się do ucieczki, miotając niezrozumiałe przekleństwa.

Chwilę potem był już na klatce ze swoim łupem. Zza drzwi obserwowały go w milczeniu szare, wymizerowane twarze o przerażonych oczach, przypominające mu wilgotne ślepie szczurów z kopalni.

Walka doszła do decydującego momentu. Ludzie Dymitra, uzbrojeni w AK-47, które kupił od czeczeńskich kadyrowców, zaczęli szturm betonowej twierdzy. U jej wejścia leżało kilku bandytów, a po okolicy włączyły się ogłuszone granatami ćpuny, wypłoszone ze swoich kokonów.

Dmitry dopadł do trzeciej klatki. Na głowę sypał mu się tynk i kawałki styropianu. W otoczeniu pokruszonych luksferów siedział jeden z jego ludzi.

– Stiepan, zabierz go stąd. Reszta na górę!

Pierwsze piętra były już opanowane, a dealerzy albo uciekali na wyższe kondygnacje jak szczury na tonącym statku, albo zabarykadowywali się w podziemnej wytwórni browna.

– Weź RPG i wal! – rozkazał hetman byłemu nauczycielowi WF-u, teraz dowódcy oddziału szturmowego.

Ślizg rakiety trwał ułamek sekundy, a po chwili całą piwnicę wypełniał już tylko pył.

– Mamy ich, nie strzelać. Poddają się!

– Tam na górze jeszcze strzelają, ale Elektrycy ich otoczyli.

– Dobrze, bardzo dobrze – wycharczał Dmitry, wiedząc, że jego słowa kończą bitwę.

Teraz już połowa osiedla była w jego rękach. Gdy wieczorem usiadł z przywódcami milicji wśród luksusów sprowadzonych zza kordonu, zaczęli snuć plany na przyszłość.

– Na zewnątrz panuje chaos. Administracja w Ługańsku ledwo działa. Separy walczą z Ukrami i nie ma kto rządzić. Podobno są inne miejsca takie jak nasze.

– Nie możemy dopuścić, aby samowola rozlała się po całym zagłębiu. Moskwa obserwuje nasze działania z nadzieją. To jakby pole eksperymentalne wojny hybrydowej.

– Niech lepiej ktoś załatwi nam tutaj konwój. Zapasy w sklepach się wyczerpują, zasiłki nie docierają do wszystkich, bankomaty nie działają.

– Niektóre bloki się buntują. Mówią, że przed zimą było lepiej. Ci z drugiej strony za przedszkolem stworzyli jakąś unię rolną i chcą obsiać łąki. Nie uda im się, podobno snajperzy strzelają do siebie z balkonów.

– Dmitry, osiedle popada w ruinę. Pokaż nam, co jest na dachu.

Agent GRU uśmiechnął się mimowolnie. Na to czekał. Był jedynym, który może zjednoczyć bloki walczące o dostęp do dróg, sklepów i surowców. Jedynym sposobem, by powstrzymać konflikt, było podporządkowanie sobie osiedla i przywrócenie porządku. Pod brezentem trzymał narzędzie, które mu to umożliwi.

W zasadzie nie pamiętał, kiedy to się zaczęło. Z powodu wojny wielu ludzi miało broń, ale nie miało pracy ani perspektyw. Chyba zaczęło się od kolejki po zaopatrzenia z konwojów. Ludzie z poszczególnych bloków zaczęli się kłócić o przydziały jedzenia. Zawiązały się sojusze i wybuchły konflikty. Potem wszyscy zauważyli, że nikt nie przyjeżdża, by te spory rozwiązywać i ukarać winnych, więc zrozumieli, że muszą wziąć sprawy w swoje ręce. Skorzystali na tym nieliczni, w głównej mierze tacy jak on. W mieszkaniu zaroilo się od zszabrowanego sprzętu. Rodzina Złomiarza dobrze wiedziała, skąd jest, ale o nic nie pytała. Nie mówiła też nic, gdy podłączył Samsunga i puścił film z Van Dammem. I wtedy się zaczęło.

Ekran zaczął śnieżyć, a potem fale interferencji wykrzywiły wizję. Rozstrojony obraz zaczął przesuwać się z góry na dół, aż w końcu całkiem zniknął. Złomiarz wykręcił numer do Włada, by zapytać, czy przyjdzie to zobaczyć, bo załatwił nowy telewizor, ale chyba się popsuł. Telefon był martwy, a eter skrzeczał jakimiś dziwnymi wyładowaniami. Złomiarz postanowił napisać do kolegi na vkontakte, ale zasięg modemu zniknął.

Ludzie spotykali się na klatkach i w windach, okazało się, że każdy ma to samo. Nie tylko w bloku, ale podobno na całym osiedlu padła łączność, a betonowe zamki zostały odcięte od świata. Ludzie z Kreszczat nie mogli obejrzyć wiadomości, połączyć się z bliskimi z Kanady przez Skype'a ani zadzwonić do Ługańska. Nagle odległości wydały się dużo większe, a osiedle urosło do rozmiarów całego świata, jak tego wieczoru, gdy wywaliło korki na całej klatce.

Złomiarz właśnie zjechał na dół, by czegoś się dowiedzieć, gdy pojawiły się samochody z megafonami. To byli ludzie Dymitra. Uzbrojeni po zęby, w mundurach z demobilu, jeździli od bloku do bloku i puszczały to samo nagranie:

– Drodzy obywatele, mieszkańcy Kreszczat. Nadchodzi kres chaosu. Przyłączcie się do sojuszu i rozmontujcie barykady, a Dmitry przywróci wam wodę, prąd, gaz i wyłączy zakłócający sygnał. Jeśli chcecie mieć telewizję, Internet i telefon, przyłączcie się do nowej władzy.

Echo powtarzało słowa Dymitra tak, by dobrze wryły się w zmęczone walką umysły. Złomiarz rozejrzał się, mrużąc oczy od pierwszych, wiosennych promieni przedzierających się przez brudną skorupę chmur. Osiedle wyglądało jak po katastrofie, którą zresztą przeżyło – gruz na ulicach, ślady po kulach, czarne leje po wybuchach, które otaczała jakaś złowroga aura i do których nikt się nie zbliżał.

Szabrownik zaczął kalkulować – lepiej było się przyłączyć do Dymitra, sam ma broń, więc się przyda i lepiej na tym wyjdzie. Z jego doświadczeniem może nawet zostanie dowódcą. Przecież za granicą osiedla są inne blokowiska i trzeba będzie rywalizować o dostęp do Ługańska. Władza i tak już dawno się nimi nie interesuje. Ktoś będzie musiał zaprowadzić porządek.

Monokultura

Radio w samochodzie skrzeczało, jakby wychwytyjąc niesione podmuchami wiatru, radioaktywne izotopy. Wśród szumu usłyszał przywianą z daleka czytankę. Dziecięcy głos z innego wymiaru łamał się metalicznie i znikał w eterze. Tak jak mówiono, po Morzu Aralskim została biała równina, fale zastąpiły wydmy a bryzę tumany kurzu.

Zanim ruszył do Muynak, przeglądał stare pocztówki, przedstawiające dumną flotę rybacką ZSSR i pracujący prężnie przemysł. Wiele lat po tym, jak ktoś postanowił zawrócić rzeki, na próżno było ich szukać na horyzoncie. Gdzieniedzie halucynowały tylko ich

porzewiałe truchła i skorodowane konstrukcje, których przeznaczenia nie sposób było już odgadnąć.

Świt wstawał ponad pustynią i promienie słońca padły na porzucone maszyny przestarzałej technologii. Na moment, wśród rdzy rozbłysły barwy dawnej potęgi, lecz fabryki bliższe już były obeliskom dawno minionej cywilizacji.

Zatrzymał samochód na poboczu drogi, gdzie na betonowym postumencie stał trójkąt, w który wpisano znak ryby i nazwę miasta. Wsiadł i podszedł do symbolu. Bardziej przypominał pomnik, jakich wiele rozsianych było po dawnym Związku Radzieckim niż wjazd do miasta.

Nie wiedział, czego spodziewać się po kilkutysięcznej społeczności mieszkańców. Jak daleko zachowali pozory istnienia cywilizacji, która dawno stąd odeszła, czy patrzyli w mętną przyszłość, czy dalej dźwigali ciężar swojej przeszłości?

Z bagażnika wyjął aparaturę z Instytutu Naukowego. Rozstawił oscylometry, mierniki pola elektromagnetycznego i anteny radiowe. Nałożył słuchawki i z krzesła kempingowego nasłuchiwał fal transmisji. Poderwał się z miejsca, gdy z saturacji szumu nagle wydobył się czysty dźwięk delfinów. Nazwał go tak, gdy pierwszy raz usłyszał nagranie swojego poprzednika.

– Czym jesteście? – zadał sobie pytanie, kręcąc gałkami urządzeń. Jakie echo nawiedza te jałowe ugory, jaki eteryczny duch nie chce opuścić ruin przemysłowej cywilizacji, jakie radiowe widmo błąka się po bezdrożach? Nie potrafiono na razie określić dokładnego źródła ani kierunku dźwięku. Zapisał pierwsze dane i schował aparaturę. Według nawigacji, do pensjonatu zostało mu jeszcze kilka kilometrów. Musiał zacząć od ustanowienia swojej jednoosobowej placówki naukowej.

Zukov powinien już od dawna być na emeryturze, ale z jakichś powodów, zamiast odpoczywać na daczce, wolał biegać po gabinecie, tak jakby Morze Aralskie jeszcze nie

wyparowało, jakby istniał jakiś sposób, by powstrzymać katastrofę. Naelektryzowany wewnętrzną energią, pokazywał mu drobinki azbestu pod szklami, wykresy wegetacji roślin, objaśniał wpływ kwaśnych deszczy na środowisko. Przekrwione oczy, raz to kierował na okulary mikroskopów, raz na Woronowa, który stał osłupiały, wciąż nie domknąwszy drzwi na zalany słońcem korytarz Instytutu Agrotechniki, zmieniony w placówkę do badania skutków klęski ekologicznej w Muynak.

– Winien temu wszystkiemu jest też Instytut, w którym jesteśmy. W tym ja sam, ja sam Fiodor Andrejewicz Zukov. Dopiero robiliśmy badania, zresztą najważniejszy był przemysł, monokultura. Monokultura agrarna na przestrzeni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, megalomańska skala, która nas przerosła. Miliony hektolitrów wody, tysiące ton pestycydów. Monokultura sama siebie wchłonęła i zostawiła za sobą toksyczne ugory. Taką cenę musieliśmy zapłacić za wykonanie planu.

Fiodor Zukov pokazywał mu plansze skali opadu, mapy topograficzne, wyświetlał slajdy ze zdjęć lotniczych obrazujące odwrót wody. Morze Aralskie z ogromnego basenu zmieniło się w ciemną plamę na tle czerwonego pustkowia. Na jego brzegu, czarna kropka oznaczała miejsce, w którym stali. I rzeczywiście, wokół bloku rozciągało się marsjańskie pustkowie, gdzieśgdzieś oznaczone kępami lichej roślinności, kształtem jakiejś porzuconej budowli lub osiadłego kutra. Horyzont rozmywał się w śmiało nakreślonych krzywiznach pyłowych zamieci.

– Całe terytorium zostało zepchnięte na śmietnik dziejów. Z centrum, historyczna kolizja wyrzuciła nas na peryferyjną orbitę. Nikt już nie zwraca na nas uwagi, choć rozpaczliwie wysyłam sygnał SOS. Naraziłem się władzom, spędziłem miesiące w upale, w skażonej strefie, w miejscach, które napawają mnie dreszczem, żeby dokumentować i opisywać co tu się stało. Pojechałem z wynikami badań do Moskwy, obiecano mi seminaria na Uniwersytecie Łomonosowa. A potem cisza. Nikt nawet nie pofatygował się, żeby odpisać.

– Dlaczego właściwie pan to robi?

Fiodor początkowo zdawał się nie dosłyszeć pytania. Otworzył okno i wyszedł na mały balkon, skalną półkę nad szarym klepiskiem, ciągnącym się po najdalszy perymetr. Wrócił i pokazał mu pył, który docierał nawet na siódme piętro.

– Nie wiem, może dlatego, że to ja opracowywałem odwrócenie Amu–darii. Ja we własnej osobie. Pod koniec nawet kierowałem zespołem. To był wspaniały, wielki projekt,

mieliśmy najlepszych ludzi, wielkie plany. I one zadziałały. Żyliśmy tu z rodzinami w najlepszych luksusach na tamte czasy, nawet pan sobie nie wyobraża.

– Nikt nie ma do pana pretensji? No wie pan...

– Nikt tu nikogo nie rozliczył. Niedaleko, w Aralsku postawiono pomnik twórców monokultury.

– Pomnik katastrofy, po co?

– A po co stawiają pomniki Stalinowi? – Wzruszył ramionami Zukov i wytarł pył z rąk.

Zjechali głośnie windą na dół. Na wysadzonym kamiennymi kwietnikami dziedzińcu, Woronow zobaczył pierwszą soczystą zieleń. Podlewała ją jedna z nielicznych pracownic, utrzymująca konstruktywistyczny kolos przy życiu. W stołówce na parterze usłyszał dźwięk radia i poczuł zapach papierosów ze stróżówki. Trwała tu jakaś z góry skazana na porażkę walka z entropią. Wystarczyło, że na moment zostanie odpuszczona, a kurz pochłonie to miejsce.

Naukowiec, wytrącony na chwilę z entuzjazmu, szybko wrócił z nowym zapałem.

– Fundusze na rewitalizację środowiska można by zdobyć sprzedając fabryki. Pisałem do kombinatów, do wielu instytucji, przedstawiłem swój plan powtórnego odwrócenia Amu-darii, stworzenia sztucznych zbiorników odnawialnej wody, które pozwoliłyby przywrócić ekosystem. To by oczywiście zajęło dziesięciolecia, nie dysponujemy dziś takimi środkami....

Woronow usiadł na kamiennym schodku i przyglądał się rzeźbą z tłuczki i fragmentów ceramiki. Myślał o tym, jak technologia, na równi z naturą tworzy wykluczone strefy. W ruinach przeszłość została wyrzucona z ciągłości czasu, stoi w zawieszeniu w stosunku do wciąż obecnej przeszłości i przyszłości, która nie chce nadejść. Ruina burzy to, co uważane jest za oczywiste, a w procesie upadku, zostają odsłonięte nowe warstwy, które były maskowane przez użyteczną rzeczywistość. Ruiny fabryk i wysypiska to wykopaliska tego, co zbyt cenne i wyparte, wolne od przymusu przydatności.

Naukowiec nareszcie zapytał Woronowa o jego powód przyjazdu do Muynak.

– Mam kilka lat do odsłużenia na zagranicznej placówce. To znaczy teraz w Republice Uzbekistanu, potem wracam do Moskwy. Przyjechałem zmienić mojego poprzednika, który badał fale magnetyczne i radiowe. Tak płaskie tereny pozwalają zminimalizować dyfrakcję. Co ciekawe, pod koniec swojego pobytu natrafił na coś nietypowego. Nieznane pasmo fal krótkich, którego nie udało się zidentyfikować. Brzmi trochę jak nawoływanie delfinów, ale strukturą

przypomina technologię soniczną. Mój poprzednik badał echo dawnych testów broni hipersonicznej z czasów Sojuszu takich jak rakiety kindżał.

Naukowiec zasepił się, wytarł nos w wyszywaną chustkę i wręczył Woronowowi wizytówkę.

– Gdyby pan coś tam znalazł, coś co mogłoby mi pomóc w badaniach, proszę zadzwonić.

Po wyjechaniu z Instytutu postanowił odwiedzić jedyną atrakcję turystyczną, którą mógł pochwalić się Muynak. Znajdowała się niemal w szczerym polu, z dala od głównego szlaku. Zostawiając za sobą tumany kurzu, dotarł do niskiego pawilonu, którego przeznaczenie zdradzał kamienny posąg ryby. Wyglądała niczym skamielina z czasów zamierchłej cywilizacji, czerpiącej siłę z życiodajnej wody.

Ciężka kotara wprowadzała do obszernego pomieszczenia, w którym od zawsze królowała jedna ekspozycja – Bogactwo Naturalne Morza Aralskiego. Obok plansz z porostami, skamielin trylobitów, wypchanych zwierząt i manekinów stepowych łowców, ustawiono sztandary z sierpem i młotem, certyfikaty zdobyczy naukowych i miniaturowe modele kombinatów. Na tle kości mamuta, pracowały fabryki napędzające agragną monokulturę, wypuszczając z kominów kłęby waty.

– W czym mogę pomóc? – zapytał starszy człowiek, biorąc go zapewne za podróżnego, który zabłądził.

– Po ile bilet?

Emeryt, który okazał się kustoszem i jedynym pracownikiem muzeum, długo szukał w szufladach. W końcu znalazł druczek i pobrał opłatę w rublach.

– Niedawno mieliśmy tu dużą wycieczkę. Wydałem wszystkie bilety – skłamał. Woronow pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Oprowadzić pana? Co pana specjalnie interesuje? – pytał tamten niezbyt zręcznie, jakby dawno nie rozmawiał z obcymi.

– W zasadzie to jestem tu całkowicie nowy. Prowadzę badania nad promieniowaniem magnetycznym i falami radiowymi.

Kustosz zrobił się nieufny, spał się w sobie, jakby nabrał podejrzeń, że Woronow jest szpiegiem.

– Prowadzono tu wiele badań i nic z nich nie wynikło. Ja też prowadziłem badania nad historią tego miejsca. Zajmuje się przeszłością Muynak, bo nie ma ono już przyszłości. Nie ma nawet teraźniejszości, bo jest tylko swoim widmem. Dokładnie jak te pana fale radiowe.

Ponieważ kustosz przestał być rozmowny, a przykurzona ekspozycja niezbyt go zainteresowała, wrócił do samochodu i odjechał w stronę miasta. Na jego obrzeżach, niedaleko granicy, którą niegdyś zajmowało jezioro, znajdowała się placówka jego poprzednika.

Dobudówka z szarej cegły, postawiona nad zagraconym warsztatem, w niczym nie przypominała bazy naukowej. Co więcej, Woronow natrafił na nieoczekiwane trudności. Ku jego rozpaczy, właściciel budynku zażądał wyższego czynszu. Woronow nie potrafił się targować, obliczył szybko, że już w połowie będzie musiał dzwonić do centrali, by przysłali mu wyższe stypendium.

– Kiedyś prowadziłem tu pensjonat, przyjeżdżali oficjele, inżynierowie z całego Związku, prowadzili badania. Podejrzewaliśmy, że coś jest nie tak. Ktoś puścił plotkę, że rzeki zawróciły, a na północy hoduje się już tylko bawełnę. Był jeszcze wielki przemysł. Dopóki ktoś nie postanowił, że go przeniosą gdzie indziej.

Właściciel postawił popielniczkę na masce remontowanego kamaza i usmarowaną rękawicą zdjął gogle spawacza. Jego pordzewiały warsztat zdawał się podtrzymywać na chodzie resztki tutejszej motoryzacji. Stare łady i zaporożce czekały na swoją kolej na spękany parking. Można było nabrać podejrzeń, że bez niego mieszkańcy utknęliby tu na dobre.

– Można by przywrócić tym terenom świetność, gdyby ktoś tam na górze tego chciał. Najwyraźniej nie ma takiej woli. Można by sprowadzić technologię z Chin, zbudować tu drugi Bajkonur, dno jeziora idealnie nadaje się na kosmodrom. Leżymy w centrum kontynentu, można by wybudować tu lotnisko albo olbrzymi kombinat, który eksportowałby na całą Eurazję – snuł wizję gospodarz, ale Woronow nie chciał już go słuchać.

Musiał wyglądać śmiesznie, taszcząc swoje skórzane walizki pełne czulej aparatury. Prosty pokój gościnny mógłby znajdować się w każdym postsowieckim mieście, gdyby nie widok z okna na księżycowy krajobraz, w który przypadkowo wklejono prostopadłościany kombinatów. Stąd przypominały ceglane fabryki, które spadły z jakiegoś XIX wiecznego miasta i utknęły w wydmach szarego piasku.

Ku zaskoczeniu Woronowa, jego poprzednik wyniósł się stąd w pośpiechu, a może celowo zostawił dla niego trochę swoich rzeczy. Obok kilku przestarzałych przyrządów mierniczych, odręcznych mapek i biletów autobusowych do miejscowości położonych wokół niecki jeziora, były też książki Lermontowa i Turgieniewa. W jednej z nich zostawił notatki, których nie włączył do raportu. Ich treść mocno zdziwiła naukowca, jako że miał kolegę za osobę twardo stąpającą po uniwersyteckich korytarzach.

Na dwóch stronach skoroszytu poprzedni lokator snuł śmiałą tezę o tym, że nieznanne interferencje mogłyby być nawoływaniem zwierząt wodnych żyjących w endemicznych środowiskach pozostałych po jeziorze. Jego obecny kształt nie był dokładnie poznany, zmieniał się wraz z układem deszczy i porami roku. Na przerysowanej na kalce mapie topograficznej, zaznaczał miejsca, w których potencjalnie mogła pojawiać się głębsza woda.

Wiele miejsca poświęcał też własnym studiom, niezwiązanym z sygnałami. Interesowały go trajektorie sputników, róże wiatrów niosących siarczane pyły z ugorów, a nawet szlaki wędrówek ptaków.

Woronow schował rzeczy poprzednika do kartonu i postanowił, że do wieczora się rozpakuje. Myśl ta przychodziła mu z trudem, ponieważ oswajała go z faktem, że zostanie tu na dłużej.

Miał wrażenie, jakby został zminiaturyzowany i wpuszczony pomiędzy obwody scalone lub mechanizmy zegaru. Skróttem, przez pole prefabrykowanych płyt, omijając skomplikowany

labirynt osuwającego się w ruinę giganta, dotarł do siedziby dyrektoriatu. Niepozorny, niebieski wieżowiec skrywał w sobie przepych kamiennych posadzek i malowanych na złoto ornamentów. Woronow wyobraził sobie eleganckich gości z zamierzchłej epoki, chodzących z powagą po grubych dywanach.

Wjechali na wysokie piętro biurowca, w którym nadal tlił się pozór pracy. Jego przewodnik wręczył dokumenty sekretarce. Pokazała mu coś na kineskopowym monitorze. Woronow zauważył, że trwa tu jakaś sztuczna krzątanina, miarkuje się żwawe tempo pracy, podczas gdy w rzeczywistości wszystko tonie w rozleniwiającym upale i wrażeniu bezcelowości.

Przeszli do doświetlonego gabinetu dyrektora. Zza żaluzji wyzierał poszatkowany kombinat, przypominający jakąś abstrakcyjną tapetę.

– Czym w zasadzie jeszcze się tu zajmujecie? – zapytał nieco zbyt śmiało Woronow, ale jego flegmatyczny gospodarz nie wydawał się zaskoczony.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał zastępca dyrektora i ku uldze swojego gościa, od razu odpowiedział – Byłem tu specjalistą do spraw usuwania szkód. Można powiedzieć, że właśnie to tutaj robię. Sprzątam. Czy to panu wystarczy?

– Tak, wystarczy.

– Firma narobiła sobie długów, część sprzętu, który jest na chodzie i nie został rozkradziony, staramy się sprzedać. Dochodzi do tego stos roszczeń i podań do rozpatrzenia. Pracownicy po latach po coś się zgłaszają. Taśmy dawno się zatrzymały, ale kancelaria pracuje dalej.

– No tak, teraz rozumiem – przytaknął Woronow i podziękował za przyniesioną mu kawę.

– Pozwoli pan, że się zrewanżuję i zapytam – czym pan się zajmuje?

Woronow odpowiedział mu, nie wiedząc, który już raz, banały o swojej pracy na placówce naukowej.

– Czyli ma pan jakieś konkretne zadanie. Świetnie, interesuje to pana osobiście?

– Tak. – Wydał usta – choć przyznam, że badałem ciekawsze rzeczy.

– W ciekawszych miejscach?

– Nie chodzi o to...

– Wie pan, mnie też coś interesuje. W zasadzie dla dyrektoriatu byłem nikiem, inżynierem średniego szczebla prowadzącym okresowe szkolenia BHP. Pozornie teraz mam tu jakieś stanowisko, zastępuję swojego przełożonego, przejąłem nawet jego biuro. Prawda jest taka, że władza kompletnie o mnie zapomniała, trzymają mnie tutaj, żebym odpisywał na listy – tego nie można, tamto zaginęło, to się przedawniło. O długach decydują ci z góry, na maszyny machnęli ręką. Im jest na rękę by to wszystko pochłonął piach.

Urzędnik dolał sobie armeńskiego koniaku do herbaty i usiadł za dyrektorskim biurkiem z ciemnego drewna wenge.

– Ale ja jestem stąd, jako jeden z nielicznych z kadry. Dodatkowo nie chciałem wyjechać. Dlatego dali mi to stanowisko, bo nikt inny go nie chciał. Prowadzę tu własne badania, znam ludzi, którzy tu pracowali, konserwujemy sprzęt, linie montażowe. I wiem pan co? Ta fabryka może dalej produkować dobrej jakości konserwy. Przed odwróceniem rzek zaopatrywaliśmy pół Rosji. Brakuje nam prawie wszystkiego, tym bardziej nia mamy nic do stracenia. Gdyby przywrócić choćby mały procent produkcji, zacząć wytwarzać, sprzedać nowemu państwu Uzbekistan. Oni teraz mają prawo do kombinatu, stare syndykaty to puste nazwy, spadkobiercy długów, których nikt nie spłaci.

– Chcecie zacząć produkować na własną rękę?

– Wtedy może ktoś się nami zainteresuje. No ale...słusznie pan myśli, że to mrzonki. Brakuje nam przede wszystkim zasilania, generatory zostały zabrane jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Pan wybaczy. Czasami zdarza mi się po paru łykach zapalać do czegoś, mamieć że odbudujemy... . Eh. – Machnął ręką urzędnik, odganiając własne słowa – wróćmy lepiej do pana badań. Rozumiem, że mogę się przydać. Po to pan tu przyszedł, prawda?

– Faktycznie, jest coś. Potrzebuję bezpiecznego miejsca, w którym mógłbym rozstawić sprzęt, utworzyć siatkę nasłuchu. Wiem, że do zakładów należały wieże. Jest też stacja pogodowa, gdzie mógłbym przenieść odbiorniki.

– Kombinat jest pana, proszę rozstawiać swoją aparaturę, gdzie panu się podoba.

Przez kolejne tygodnie intensywnie pracował, przemierzając południową skarpe i kursując pomiędzy wieżami kombinatu. Wszystko wykonywał z właściwą sobie skrupulatnością. Kiedyś jego promotor stwierdził, że może ona stać się jego hamulcem. Coś w tym było. Nigdy nie dźwignął się ponad poprawną przeciętność. Miał dobre oceny, ale nie zrobił doktoratu, wyjechał na zagraniczny staż, ale nie zrobił tam kariery, pod namową żony przenieśli się do Moskwy, ale nigdy nie zżył się z tym miastem.

Teraz na odludziu karmił systemy megabajtami danych, wieczory spędzał z ołówkiem nad mapami i w słuchawkach na uszach. Monotonię drobiazgowej pracy przerywały tajemnicze dźwięki delfinów, które z początku pojawiały się zupełnie zniecka, czyste i wyraźne. Potem nauczył się sam je ścigać po falujących przestrzeniach radiowego eteru. Początkowo wiele godzin błdził, zjednoczony umysłem z częstotliwościami, sondując odległe pola magnetyczne, by natrafić na dryfującą po krótkich falach interferencję. Potem nauczył się zwyczajów tych pustynnych duchów, interwałów, pomiędzy którymi nawiedzały plateu jeziora, dyfrakcji, które przecinały ich swobodny dryf przez skalę oscylometrów.

Czasami czytał książki, głównie Lermontowa. Z rzadka odwiedzał miasto, raczej poruszał się po jego obrzeżach, po parkingach, wielkopowierzchniowych sklepach. Do centrum zajrzał tylko raz, jakby nie chcąc widzieć normalnego życia, które przecież tam się toczyło, niczym turysta, który nie chce zmącić obrazu, który nakreśliły przed jego oczami przewodniki. Jak fatamorganę, obserwował vegetację peryferyjnego miasta, ludzi na wymyślnych przystankach, autobusy zabierające ich do odległej pracy, spokój straganów w sobotnie poranki, wypłowiele cerkwie, zbyt duże dla nielicznych mieszkańców i ich leniwy, zamknięty świat, nieosiągalny dla przybysza z zewnątrz.

W swoich wędrówkach kręcił się nadal po skraju mapy, zataczał kręgi, nie mogąc zdecydować się czy wkroczyć na właściwą arenę. Wreszcie jednak postanowił, że przełamie barierę. W tym celu spotkał się z technikiem, który obsługiwał stację meteorologiczną. Jako jedyny z zakładów, Jakowlew zapuszczał się na równinę, by reperować czujniki pogodowe, niczym boje ustawione nieopodal brzegu. Jego zadanie było dla miasta kluczowe, ostrzegał ludzi przed toksycznym i nieobliczalnymi purgami, które pustoszyły okolicę i zdrowie mieszkańców.

– Jestem coraz bliżej rozwiązania zagadki. Nauczyłem się śledzić dźwięki, o których wam opowiadałem. Tylko nadal nie określiłem ich źródła. Ich linie rozbiegają się z jednego kierunku we wszystkie strony. Gdyby udało mi się złapać jedną z nich dostatecznie mocno, jak po nitce mógłbym wrócić do kłębka. Oczywiście dysponując lepszym, wojskowym dajmy na to sprzętem zrobiłbym to dawno, a tak muszę radzić sobie z tym co mam. Bardziej to się nadaje wie pan, dla studentów.

– No rozumiem, rozumiem. No i jak pan już odkryje skąd to przylatuje, to co pan chce zrobić, pojechać tam? – Uśmiechnął się gorzko Jakowlew, zmieniając swoją opaloną twarz w zmiętą mapę zmarszczek.

– Wiem, że pan tam jeździ, widziałem Toyotę z zabezpieczonymi folią szybami.

– Tak, gdyby jakaś się w czasie burzy, broń boże zbiła, ale myli się pan, nie jestem jedyny.

– Nie? Myślałem, że wszyscy trzymają się z daleka. Im dalej na północ, tym gorzej, wyjałowione przez monokulturę ziemię pełne pestycydów, solne pustynie, niestabilne pierwiastki hulające przy ziemi, czego tam szukać?

– Miedzi, skarbów, elektroniki, nie wiem? Wie pan, ile statków osiadło na tych wodach? Są tacy, nazwijmy ich zbieracze, którzy tam jeżdżą. Jedni mówią, że handlują z żołnierzami z bazy, inni, że nie ma już żadnych żołnierzy, a nasi jeżdżą ją po prostu rozkradać. Fabryki, które nie mają ochrony, rozkradają do reszty.

– A co z tą bazą?

– Na półwyspie podobno siedzą żołnierze. Jedni mówią, że ruscy, inni, że tutejsi. Faktem jest, że za czasów Związku stacjonował tam batalion wojsk chemicznych. W czasie zimnej wojny składowano tam węglika. Więc teraz chronią bazę przed terrorystami.

– A pan co o tym sądzi? – zapytał Woronow.

– Ja niewiele o tym sądzę. Wolę działać. Inni potrafią tylko narzekać, a ja przynajmniej coś robię. Krok po kroku. Widzi pan tamten mur? – Pokazał mu ścianę wysokości człowieka, skleconą z blachy i desek.

– Widzę.

– To mój wiatrochron – wyjaśnił Jakowlew.

Pewnego dnia ktoś ukradł jego aparaturę. Wydawało mu się, że ich widział. Mafia złomiarzy, o której mówił operator stacji pogodowej. Mijał ich z daleka, gopników z maskami przeciwpyłowymi jadących na pace białej mazdy. Załamany krążył od wieży do wieży, upewniając się, że jego przyrządy zniknęły. Tego dnia wydawało mu się, że to koniec badań.

Nad ranem, oszołomiony bezsenną nocą powrócił nad jezioro z nowym planem. Znał mapę z promieniami interferencji na pamięć. Za pomocą GPS odnalazł miejsce, w które uderzał wyjątkowo silny sygnał. Ustawił jedyny zapasowy ekran i wiele godzin wsłuchiwał się w eter. Wreszcie z ziarnistej saturacji coś się wyłoniło. Wysoki dźwięk wzbierał długą falą, coraz bardziej klarowny. Jego tony połyskiwały jeszcze po przeciwnych stronach skali, aż w końcu wykrył się śpiew. Jasne i tęskne nawoływanie delfinów płynęło przez spectrum.

Tego wieczoru zadzwonił do Jakowlewa:

– Jest pan pijany?– – zapytał zaspany głos w słuchawce, gdy wyjaśnił co ma zamiar zrobić.

– Nie, może trochę a pan?

– Żarty pan sobie robisz?

– Nie, jestem całkowicie poważny. Da mi pan numer do tego przewodnika złomiarzy? Nie jest wykluczone, że to on zwinął moją aparaturę, ale co tam, nie ma wyjścia.

– Niech pan się prześpi.

– Spróbuję. Da mi pan ten numer, wie pan, gdzie go mogę spotkać?

– Dobrze, dam panu jego numer, ale niech pan już da mi spokój.

Woronow odłożył słuchawkę i przełknął ślinę. Zaszło mu w gardle. Nie wiedział, czy to od samogonu z kombinatu, czy ze strachu.

Na skraju miasta, gdzieś za wypalonymi piekącym słońcem chaszczami, u stóp obłożonego miętową emalią pawilonu, przykucnęło kilku mężczyzn w wielobarwnych dresach. Podawali sobie z ręki do ręki butelkę wódki i rozmawiali już od dłuższego czasu. Co jakiś czas zapadała cisza, aż ktoś znowu podejmował temat, wyrzucał coś komuś niby dla żartu, wspominał jakąś robotę.

– Kiedy ty Jura wreszcie przestaniesz chlać, jak coś trzeba zrobić? – rzucił jeden z nich, o rzadkich włosach i przekrwionych oczach, ciskając na schody reszkę papierosa, z którego udało się jeszcze wyciągnąć trochę dymku.

– Zrobiliśmy? Zrobiliśmy – odszczeknął się zadowolony z siebie Jura.

– Nie czepiaj się go – rzucił trzeci, zakąszając kielbasą – dobry chłopak tylko go nosi. Chciałbyś Jura zawojować świat, ale tu nie ma świata. Jest gdzieś tam – pokazał ręką w nieokreśloną stronę, za skorodowane maszyny i betonowe klocki porośnięte suchymi trawami.

– A co z tymi sprzętami tego uczonego? Da się to gdzieś sprzedać?

– Kto wie. Może on będzie chciał kupić? – zarechotał Grisza i splunął – Trzeba by gdzieś z tym jechać, a szkoda wydać na benzynę jak nikt tego szmelcu nie kupi.

– Jura a jak tam twoi wojskowi? Odezwali się coś?

– A no odezwali.

Grisza pchnął go w ramię i zaczęli się obrzucać obelgami. Jura, najmłodszy, z jasną grzywką i oraz srebrnym łańcuchem na szyi nie był w humorze.

– Nic nie mówisz Jura – powiedział trzeci, by uspokoić kolegów – pracujemy w grupie. Jak zobaczę, że sam coś kombinujesz...czego chcieli tym razem?

– Zachciało im się czekoladek i dobrej wódki, psia jego mać. Pytam się ich, a skąd ja ci wezmę bombonierki. Z piachu wykopię? No to się wkurzyli i rozłączyli. Potem zadzwonili znowu i zaczęli prosić, że przyjeżdża jakiś dygnitarz, specjalista, czy cholera wie kto i że chcą go ugościć, a wszystkie zapasy przejedli i muszą kombinować, żeby dowództwo nie zaczęło.

– I co, pojechałeś?

Jura wziął łyk wódki, zapalił, spojrzał na kolegów spode łba.

– Nie. Za małe zamówienie, nie mają już kasy.

- Ja bym pojechał.
- Nawet nie znasz bezpiecznej drogi durniu.
- Pamiętacie, jak posterunek miał pieniądze? Ciągle coś zamawiali.
- Raz co zadzwonił ich mechanik i mówił, że padły im pompy.
- Nie pompy, tylko agregaty.
- Padły im te pompy i nie potrafią ich naprawić. Trzeba im sprowadzić z miasta kogoś mądrzejszego. Ależ oni wtedy kręcili, żeby nie wyszło na jaw, że nasz człowiek umie a ich nie.
- Ale wtedy było jeżdżenia. Po kraju, a potem z powrotem po kasę, bo przecież ten mechanik bał się jechać z zawiązanymi oczami na pustynie.
- Dziwisz się, z bezrobotnymi z Muynak? – Zaśmiał się Grisza spluwając w kurz.
- Ciekawe koledzy, dlaczego oni sami sobie nic nie załatwią.
- Ich tam zdalnie pilnują.
- Ciekawe, po co tam siedzą? Wojny nie ma.
- A skąd wiesz, że nie będzie? Amerykańce myślisz, że swoich też gdzieś tu nie trzymają?

Nie byli pewni co o tym sądzić, więc zapadła znowu cisza, przerywana jedynie wiatrem dudniącym o blachę i skrzypieniem porzuconych konstrukcji. Nagle odezwał się dzwonek z rosyjskim popem.

- Czyj to? – zahaczył podejrzliwie Grisza.
- Jura ma telefon. Zuch chłopak – skomentował któryś złośliwie, gdy najmłodszy zniknął za metalową podporą.
- Słyszałem, jak gadał z tym świrem z kombinatu, który buduje wiatrochron. Podobno nagrał mu jakiegoś pacana, który chce badać jezioro. Rozumiecie? Jura ma go zawieść na sam środek jeziora.

Rano przetarł wysuszone oczy i zamknął walizkę. Jego przewodnik nie pytał o nic oprócz zapłaty. Spotkali się przy wraku spychacza wiszącego nad wyschniętym brzegiem. Przewodnik kazał się nazywać Jura, wyglądał jakby przesiedział swoje młode życie w zakładach poprawczych, ale podchodził do sprawy profesjonalnie. Woronow trochę obawiał się wyjąć przy nim mapę, cyrkiel i zestaw linijek, ale tamten wykazał zrozumienie.

– Glonass może nie działać.

– Dokładnie z tego położenia, musimy jechać na te współrzędne – powiedział Woronow.

Przewodnik obrzucił mapę spojrzeniem i wrócił do mocowania pasów utrzymujących nadajnik na dachu. Szyby były już zabezpieczone, karton z wodą i prowiantem w bagażnik, kanister i zapasowe koło na miejscu. Woronow dopiero zaczynał rozumieć, na co się porywa. Potwierdzała to śmiertelna powaga Jury.

– Będę jechał powoli, dno jeziora jest bardzo niebezpieczne, czasami latają uzbeckie helikoptery, będziemy przystawać, żeby łapać kierunek. Gdy siedzieli już w środku, przewodnik chwycił kierownicę i zapuścił popkę z radia.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Czego tam szukamy?

Woronow jakoś nic nie odpowiedział, więc po chwili Jura już o nic nie pytał i zapuścił silnik. Stoczyli się ze skarpy w kierunku jeziora.

Z początku mogło się wydawać, jakby jechali na piknik, później jednak niebo nad jeziorem zasnuło się pyłami, a dno stało się mniej stabilne. Jura sprawnie kluczył między uskokami, a silnik wył na podjazdach, zagłuszając gwałtowne podmuchy wiatru. W oddali czerniały punkty wraków i platformy podobne do metalowych krabów. Tak minęły pierwsze godziny, podczas których Woronow przyzwyczał się do milczenia i wpatrywania się w kompas.

Nagle coś strzeliło, jeepem zatrzęsło i gwałtownie skręcił w bok. Jura założył maskę przeciwpyłową i wyskoczył z samochodu. Potem pokazał, że musi zmienić koło. Woronowowi było głupio siedzieć w samochodzie. Wysiadł i zapalił. Dopiero na zewnątrz poczuł, że jest pośrodku białej równiny wyschniętego jeziora. Zastanawiał się, jak daleko może być źródło sygnału, czy minęli je, czy też radiowe wezwanie wielorybów, mknie teraz przez nich, czy falujące cząsteczki przelatują nad ich głowami? Jak dotąd nie usłyszał nic w słuchawkach.

- Był pan tu już kiedyś? – zagadnął Woronow, gdy kierowca ustawiał podnośnik.
- Zdarzyło się.
- Jak daleko?
- Jak daleko co?
- Jak daleko pan dotarł?
- Nigdy tak daleko, żeby zobaczyć drugi brzeg.

Jura zmarszczył czoło i pokiwał głową. Rozmowa się urwała, oboje nie chcieli zdradzić, po co zapuszczają się na skażone pustkowia.

Następne godziny rozciągały się niczym otaczający ich, pokryty saturacją pyłów horyzont. W południe słońce zmieniło nieckę jeziora w palącą szklarnię. Około pierwszej, przewodnik nagle zatrzymał samochód. Woronow zdjął słuchawki.

- Jesteśmy na środku jeziora, to nie jest już mój teren, opłata wzrosła dwukrotnie.
- Dobrze, zapłacę jak tylko...
- Teraz.

Woronow wyciągnął portfel i wydobyl z nich plik rubli. Pójdzie z torbami przez tę wyprawę – pomyślał, ale jego dawne problemy zdały się zostać tam – za topograficznymi liniami. Tutaj istniało tylko to zaprzeczenie krajobrazu, postcywilizacyjna pustynia poza kadrem, interferencja na rewersie historii. Jadąc przez nienazwany obszar pustki, miał wrażenie, że znaleźli się w tych niedokładnych obszarach map satelitarnych, gdzie wszystko zredukowane jest do nieostrych płaszczyzn.

Po południu zrobiło się nieznośnie gorąco, nie pomagały nawet firanki z ceraty w oknach. Woronow stanowczo poprosił, by kierowca się zatrzymał. Wszedł na zewnątrz by złapać oddech i wylać na głowę całą butelkę wody. Zapamiętał, że wtedy zwątpił w jakikolwiek sens jechania przez bezdroża za dźwiękami. To coś fizycznie nie istniało. Nawet jeśli było zniekształconym echem jakiejś transmisji. Co w zasadzie spodziewał się tam odnaleźć? Czy naprawdę personifikował te dźwięki, śnił o eterycznych, świetlistych bytach, jakichś radioaktywnych widmach sprzed ustrojowej transformacji? Gdyby nie nauka, konkretny cel badawczy, mógłby sądzić, że oszalał. A jednak wydawszy grant uniwersytecki, nie mógł powrócić z pustymi rękoma.

Wtedy zawołał go Jura. Myślał, że go pośpiesza, żeby wsiadał do samochodu, ale tamten wręczał mu słuchawki i mówił, że coś pokazało się na oscyloskopie. Naukowiec wyrwał mu sprzęt.

Usłyszał je. Nawoływanie pozaczasowych delfinów niesło się wyraźniej niż kiedykolwiek, płynęło falami ponad siatką matrycy. Ich głosy zdawały się przyzywać go w głąb słonej równiny.

– Jedź, jedź! – krzyczał Woronow. Najchętniej sam chwyciłby kierownicę, nie zważając na pola kamieni.

Po jakimś czasie pogoni za głosami, coś pojawiło się na horyzoncie. Czarna kropka rosła ponad wycieraczkami, aż w końcu zmieniła się w wydłużający się cylinder. Podekscytowanie rosło wraz z obiektem. Ostatni odcinek przebyli na pełnym gazie. Stanęli zaledwie sto metrów od kształtu.

Wysiedli osłupieni. Przed nimi leżała łódź podwodna typu Komsomolec. Naukowiec, nie wiedząc jeszcze, czy wygra poczucie triumfu, czy rozczarowanie, podszedł do wielorybiego cielska i dotknął stali. Była ciepła i chropowata. Ni to pordzewiała beczka, ni okręt jakiejś zamierzchłej cywilizacji, wzbudzała zachwyt swoim niedopasowaniem. Tu, osiadła na mieliźnie i wyrzucała z siebie sygnał sonaru. Zamiast przemierzać wodę, mknął na oślep, podobny do wezwania delfinów.

Woronow obszedł statek. Właz ozdobionej czerwoną gwiazdą wieżyczki był otwarty, przy wyrzutni ktoś wyrwał ksywki i imiona. Czyżby opuszczający łódź marynarze, patrol żołnierzy, banda złomiarzy? Zbyt dużo na małą grupę więc raczej marynarze.

Jego przewodnik był wyraźnie niezadowolony.

– To po tę wojskową padlinę jechaliśmy? Ja się na to nie pisałem, jak mnie złapią, odsiedzę swoje za przemyt. Nie wiem jak ty, ale ja stąd spadam.

– Czekaj. – Przeraził się. – Nie możesz tak po prostu odjechać. Dopiero dotarliśmy. Chcę tam wejść.

– To sobie wchodź. Jak chcesz się zabrać, dawaj kasę i jedziemy.

– Ile? Oszalałeś, nie mam tylu, wszystko oddałem. Zapłacę później.

– Nie ma później. Ja autostopowiczów nie zabieram. Nic za darmo.

Potem wyrzucał sobie, że nie protestował, nie rzucił się na stalkera, nie przekonywał. Po prostu pozwolił mu zawrócić. Po chwili dotarło do niego, że wejście do łodzi jest teraz jego najmniejszym problemem. Teraz liczyło się jedynie wydostanie z solniska. Skoro Jura mówił dwie godziny wcześniej, że są po środku jeziora, rozsądniej będzie iść przed siebie niż zawracać. Ruszył dziarskim krokiem.

Malejąca kropka łodzi podwodnej była jego drogowskazem. Dopóki ją widział, wiedział że nie zboczył z drogi. Pocieszał się, że znajomość gwiazd pozwoli mu odnaleźć się w nocy. Popołudnie zaczynało tężeć, chyląc się ku wieczorowi, gdy opadając z sił, zobaczył przed sobą wyraźną linię. Była zaskakująco blisko i mogła oznaczać tylko jedno – brzeg jeziora.

Siedział jeszcze jakiś czas w cieniu urwiska, spoglądając na cichy krajobraz. Myśli ulatywały wraz z wiatrem. Czuł się idealnie przezroczysty, skupiony tylko na walce o przetrwanie. Na brzegu spotkało go zaskoczenie. Brudna gleba pokryta była hektarami uschniętych krzewów, brązowych krzaków smętnie zwisających z pałąków. Pomiędzy monokulturą, która wysała całą wodę, wyjałowiła okolicę pestycydami, stały pordezwiąłe wraki ciągników rolniczych.

Po dwóch godzinach doszedł do asfaltowej drogi, a gdy zapadał zmrok, natrafił na budynki. Miał szczęście. Ktoś jechał do Muynak.

– Pamięta pan, jak pierwszy raz się spotkaliśmy i mówiłem panu, że do uruchomienia fabryki brakuje nam generatorów? – mówił zastępca dyrektora z kombinatu.

Worow skinął głową. Ostatnie więcej czasu leniwie błądził po Muynak, przesiadywał w bibliotece Instytutu Agrotechniki, niż skupiał się na badaniach. Cieszył się, że uruchomienie generatora z łodzi zbiega się z jego wyjazdem.

– Oczywiście w nic takiego nie wierzyłem, ale jeśli to zadziała, panie Woronow, jeśli ta łódź podwodna pozwoli nam odwrócić czas. Oczywiście to na razie tylko mały krok, ale może jeszcze poczujemy się jakby wszystko było przed nami, może czeka nas lepsze jutro?

Grupka ludzi zgromadziła się w mazistej ciemności na rogu hali. Nagle obwody przeszły konwulsje elektryczności i posypały się iskry. Halogenowe lampy oświetliły scenę. Srebrzyste dźwięki zmieszały się z szorstkim warkotem. I po kilku minutach nadziei znów zapadła cisza.

I gdy wydawało się już, że nie uda się wskrzesić giganta, usłyszeli to narastające rytmem dudnienie. Pulsowało niczym obudzone z hibernacji serce maszyny. Potem zajęczały sworznie, popękał zastygły smar i ramiona poruszyły tłoki, obróciły się cylindry, aż w końcu zaskoczyły taśmociągi. Przez skwierczące druty popłynął prąd, a oleista limfa zaczęła krążyć w żyłach kombinatu. Fabryka obudziła się do życia.

Dziękuję za przeczytanie darmowego tomu opowiadań „Lepsze jutro.” Zapraszam do śledzenia strony PRL2028 i zapisanie się do grupy. Zachęcam też do śledzenia informacji na temat tradycyjnego i elektronicznego wydania książki osadzonej w uniwersum PRL2028, pod tytułem „Teoria Konspiracji”.

Pozdrawiam serdecznie

Michał Frąckiewicz

wszystkie prawa zastrzeżone